

Mistrz włoskiego kryminału

Ponad milion sprzedanych egzemplarzy



BĘKARTY
Z PIZZOFALCONE

MAURIZIO
DE GIOVANNI

MAURIZIO
DE GIOVANNI

**BĘKARTY
Z PIZZOFALCONE**

przełożył
Paweł Bravo



WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału: *I Bastardi di Pizzofalcone*

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Dorota Kielczyk*

Redaktor prowadzący: *Aleksandra Janecka*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

© 2013 by Maurizio de Giovanni.

Published by arrangement with The Italian Literary Agency

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Paweł Bravo

ISBN 978-83-287-1174-7

Wydanie I

Warszawa 2019

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6212519

Wersja elektroniczna: MAGRAF s.c., Bydgoszcz

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[I](#)

[II](#)

[III](#)

[IV](#)

[V](#)

[VI](#)

[VII](#)

[VIII](#)

[IX](#)

[X](#)

[XI](#)

[XII](#)

[XIII](#)

[XIV](#)

[XV](#)

[XVI](#)

[XVII](#)

[XVIII](#)

[XIX](#)

[XX](#)

[XXI](#)

[XXII](#)

[XXIII](#)

[XXIV](#)

[XXV](#)

[XXVI](#)

[XXVII](#)

[XXVIII](#)

[XXIX](#)

[XXX](#)

[XXXI](#)

[XXXII](#)

[XXXIII](#)

[XXXIV](#)

[XXXV](#)

[XXXVI](#)

[XXXVII](#)

XXXVIII

XXXIX

XL

XLI

XLII

XLIII

XLIV

XLV

XLVI

XLVII

XLVIII

XLIX

L

LI

LII

LIII

LIV

Podziękowania

*Severino Cesariemu,
bratu w każdym słowie*

Morze.

Morze w powietrzu. Morze na ulicy.

Morze pod niebem, aż po zaryglowane okna na wysokich piętrach.

Morze w uszach tłumi świst wiatru.

Morze na skałach, rozbija się o nie i głucho wyje.

Morze, niezliczone krople, które wznoszą się i wirują.

Przypomina mi ten twój przekłęty śnieg, wiesz. Kotłuje się, miesza, przez chwilę zasłania cały widok, a potem opada.

Nie zawsze w dół, tak naprawdę. Czasami na bok. Tak jak teraz. Kiedy się na nie patrzy, leżąc na boku.

Tylko jeden człowiek na całej ulicy. Ja. Zresztą o tej porze i przy tej pogodzie, kto by tu łąził? Można zostać porwanym przez wiatr na Bóg wie jaką wyspę.

Chciałbym tego.

Aż nie mogę uwierzyć, że dałem radę. A jednak dałem. Nie, żebym nie chciał, nie myślałem o tym. Myślałem, że porozmawiamy, że dasz się przekonać. Że powiesz: dobra, rozumiem. Że powiesz: zgoda, masz rację, wygrałeś. Skończymy, odejdę.

Myślałem, że może nie będę musiał długo cię przekonywać, żebyś zrozumiała. A tu nic. Ależ jesteś uparta.

Byłaś.

Boże, ile morza w powietrzu. I co za ryk. Ogłuszający. Miesza mi zmysły.

Musiałem to zrobić, wiesz? To było konieczne.

Bo miłość właśnie taka jest. Możesz ją ukrywać długo, chować za codziennymi spojrzeniami i gestami. Możesz ją zostawić w ciszy, hodować jak roślinę. Ale w dniu, w którym postanawiasz ją wydobyć na jaw, na światło słońca, już tracisz nad nią panowanie. To ona rządzi. Decyduje za ciebie, otwiera się jak piękny kwiat, chce całą przestrzeń dla siebie.

A ty nic. Nie chciałaś dać miejsca na miłość. Nie chciałaś zrobić tego kroku. Tym gorzej dla ciebie.

Powinnaś wyczytać w moich oczach. Powinnaś zrozumieć. Miałaś dość czasu, żeby zrozumieć, że nie przyjmę słowa „nie”. Że stracę głowę. To było jasno widać w moich oczach.

Śnieg. Twój przekłety sztuczny śnieg. Przypomina to morze, które mnie teraz przenika na wylot jak deszcz, napełnia mi głowę wiatrem i wodą.

Nie widzę twoich zamkniętych okien. Za dużo wiatru, za dużo morza w powietrzu.

Ech, ten twój śnieg, na który lubiłaś się gapić, kiedy wirował za szkłem, przesłaniając krajobraz. Przyszło ci kiedyś do głowy, że właśnie ten śnieg zobaczysz jako ostatnią rzecz? Wzbił się i zaczął wirować po raz ostatni, a potem osiadać. Po przeciwnej stronie niż krew.

Kiedy już opadł, byłaś wspomnieniem.

Giuseppe Lojaco siedział w radiowozie na siedzeniu pasażera, sztywno wyprostowany z rękoma na udach. Wyglądał naprawdę na Chińczyka, jak go przezywali koledzy. Oczywiście za jego plecami, bo on nie z tych, co pozwalają na poufałość. Wydatne kości policzkowe, skośne oczy, kiedy się koncentrował, robiły się z nich wąskie szparki. Proste czarne rozczochrane włosy. Kościste ciało w nieustannym napięciu, w każdej chwili gotowe do skoku. Małe zmarszczki przy ustach pozwalały się domyślić, że już stuknęła mu czterdziestka, ale niedawno.

Rozmyślał. O tym, jak łatwo było stracić wszystko to, co z wysiłkiem i uporem udało mu się zbudować. Myślał, że właśnie w tej chwili, pod koniec marca, w jego rodzinnych okolicach kwitną migdałowce, a słońce grzeje tak, że można sobie usiąść na plaży i gapić się na morze. Tam, gdzie przebywał, wciąż panowała zima, wiatr na przemian z deszczem, kobiety ganiały po chodnikach za porwanymi parasolkami, grzęznące w korkach samochody kipiały frustracją, nieustannie trąbiąc. Ale dom był daleko, odległy w czasie i przestrzeni. Może całkiem już nieosiągalny. Wcale go tam nie chcieli. Był zbyt niewygodny. Uwierał jako kolega, jako przyjaciel, jako krewny.

Przypominał sobie rozmowę z komisarzem Di Vincenzo, któremu podlegał. W sumie nigdy się nie lubili, ale atmosfera po sprawie Krokodyla zrobiła się naprawdę gęsta.

Krokodyl. Stary anonimowy desperat, który zabił czworo młodych ludzi. Lojaco wytropił go, prowadząc nieformalne śledztwo. Ustalił tożsamość i motyw. Podczas gdy policja całego miasta węszyła po schematach – camorra, nielegalny handel, narkotyki – bez żadnego skutku.

Ta historia częściowo go zrehabilitowała w oczach zwierzchników, ale zarazem stał się jeszcze mniej popularny wśród kolegów. Obcy, który nie zna miejsc, nie ma kontaktów, rozwiązuje skomplikowaną sprawę seryjnych zabójstw, kierując się wyłącznie logiką. Uwolnił od kłopotu swoich zwierzchników, bezlitośnie grillowanych przez prasę i opinię publiczną. W tej sytuacji coś z nim trzeba było zrobić. Nie dało się go zostawić w dziale zgłoszeń komisariatu na terenie o tak wysokim wskaźniku przestępczości. Należało mu się teraz osobne biurko, bo jak nie,

to jakaś gazeta wcześniej czy później, w poszukiwaniu newsów na pierwszą stronę, zadałaby głośno pytanie: jaki los spotkał człowieka, który wytropił Krokodyla?

Di Vincenzo przez jakiś czas się opierał, wreszcie ustąpił i niechętnie oddał mu parę „zamrożonych” dochodzeń, w których od lat nie poczyniono żadnych postępów. Nikt nie miał prawa się wtrącać w to, co przydziela podwładnym. Potem, parę dni temu, wezwał go do siebie.

Opowiedział mu o komisariacie w Pizzofalcone. Może to najlepsze wyjście, myślał Lojaco. Zawsze tak się myśli, kiedy się trafia z deszczu pod rynnę.

Młody policjant za kierownicą już dwa razy próbował zagadać, ale jego konwencjonalne teksty padały w próżnię. Prowadził więc w milczeniu, spoglądając ukradkiem na pasażera.

Niepokoił go profil tego Sycylijczyka. On też się sporo nasłuchał o inspektorze wyrzuconym z lotnej brygady w Agrigento, bo świadek koronny zeznał, że przekazuje informacje mafii. Z tego, co mu opowiadano, nie było żadnych twardych dowodów, ale jak zwykle w takich przypadkach zwierzchnicy uznali, że lepiej pozbyć się podejrzanego.

Spotykał go już nieraz, kiedy pełnił służbę w dyżurce przy wejściu do komisariatu, i oczywiście znał historię Krokodyla. Całe miasto o tym mówiło. I to jeszcze przez wiele dni po zamknięciu sprawy. Zanim coś nowego – inna śmierć, inna krew – nie zajęło miejsca na stronach gazet i w serwisach telewizyjnych. Nie potrafił ocenić, jak naprawdę mają się sprawy. Ale w obecności tego milczącego człowieka czuł się wyjątkowo nieswojo.

– Włączyć koguta, inspektorze? – zapytał. – Tu, jak tylko spadną dwie krople deszczu, całe miasto wsiada do samochodów, wszystko stoi.

Lojaco odpowiedział bez odrywania wzroku od sznura aut przed nimi:

– Nie, daj spokój, nie ma pośpiechu.

Kolumna samochodów na chwilę drgnęła, jakby dostała czkawki, zaraz potem znieruchomiała. Pewnie znów włączyło się czerwone światło gdzieś kilometr dalej.

Wiatr ciskał słonawym deszczem o szybę. Szedł prosto od morza. Sirocco.

Nie podnosząc wzroku znad biurka, Di Vincenzo wskazał inspektorowi krzesło.

– Proszę, niech pan spocznie. – Pogrzebał w papierach, zdjął okulary, opadł na oparcie fotela. – No więc, Lojacono, przegląda pan trochę teczek, co? Może dzięki pana intuicji coś pchniemy do przodu. Stare sprawy, wiem. Ale ktoś naprawdę bystry zauważył to, czego inni nie zobaczyli.

Inspektor milczał z nieporuszoną twarzą. Di Vincenzo zastukał palcami o blat i kontynuował temat.

– To wcale nie jest takie łatwe. Ci na zewnątrz myślą, że pracujemy jak w amerykańskim serialu, że skaczymy na rozpędzonych motocyklach z mostu, strzelamy do złodziei na ulicy. A tymczasem papiery, papiery i ciągle papiery. Chyba że ktoś ma farta, to coś mu się przydarzy.

Ofermy, pomyślał Lojacono, zawsze przypisują cudze sukcesy szczęściu. Chciałby móc dostać jedną setną tego szczęścia za każdym razem, kiedy o tym słyszał.

– Komisarzu, potrzebował mnie pan? Jestem do dyspozycji.

Di Vincenzo przytaknął, nie ukrywając złości, która niemal wyzierała z jego oczu.

– No dobra, już bez ściemniania. Jestem pewny, że całe to zamieszanie z Krokodylem to w połowie fart, a w połowie efekciarstwo. Jeszcze podlane dziwną zażyłością, jaka pana łączy z prokuratorem Piras, ale w to nie chcę wchodzić. – Obłeśny przytyk do Piras, która wymusiła na policji, żeby włączyć Lojacono do sprawy Krokodyla, miał go zranić. Ale po inspektorze spłynęło to jak woda po kaczce. Wyobrażał sobie, co mówiło się dookoła o nim i Laurze. Ta piękna, lecz bardzo wycofana w kontaktach kobieta nie kryła sympatii do niego.

– Komisarzu, pan nie lubi mnie, a ja pana. Ograniczmy rozmowy ściśle do tego, co konieczne, w interesie nas obu. Pytam: potrzebuje pan czegoś ode mnie?

Komisarzowi na moment zacisnęła się szczęka, w jego oczach błysnęła furia, ale się zaraz opanował.

– Ma pan rację, Lojacono, nie lubię pana. Dlatego z radością przekażę, co mam do przekazania. Poproszono mnie o oddelegowanie kogoś z moich zasobów kadrowych, na czas nieokreślony, do innego komisariatu. Mogę nawet udowodnić, że ze wszystkich moich podwładnych tylko pan nie prowadzi obecnie żadnego dochodzenia.

Lojacono wzruszył ramionami, nie chciał mu ułatwiać zadania.

– Ale, jak się domyślam, to przejście powinno być dobrowolne i potrzebna jest moja zgoda. Na piśmie. Skoro chce pan się mnie pozbyć, musi mnie pan do tego przekonać, prawda?

Di Vincenzo aż się podniósł, potem usiadł, zaciskając usta.

– Nie wątpię, że zna pan procedury, to typowe dla obiboków, że mają w małym palcu wszystkie prawa pracownicze. To prawda. Ale też prawda, że jeśli się pan nie zgodzi, mogę tu pana oddelegować do dowolnych obowiązków. A to całe specjalne traktowanie, które zawdzięcza pan sprawie Krokodyla, nie potrwa wiecznie.

Lojacono odczekał chwilę, wreszcie się odezwał.

– Co to za zadanie, niech pan opowie więcej, może się zgodzę.

Komisarz ożywił się na myśl, że się pozbędzie tego Sycylijczyka o nieodgadnionej twarzy, na którym nie mógł porządnie się wyżyć w obawie przed reakcją prokurator Piras. Poza tym musiałby odesłać innego swojego człowieka, jakiegoś zaufanego, gdyby Lojacono odmówił. A przy ograniczeniach kadrowych i tak ledwo dawał radę z organizacją pracy. Trzeba było tego faceta przekonać. Postarał się być ugodowy.

– Chodzi o wyzwanie zawodowe, w pewnym sensie. Słyszał pan o komisariacie w Pizzofalcone?

Lojacono beznamiętnie wpatrywał się w komisarza, więc ten postanowił wyjaśnić:

– To niezbyt duży, ale mocno zaludniony obszar, obejmuje część dzielnicy hiszpańskiej i schodzi aż do morza. Cztery światy w jednym: proletariat, jak to się kiedyś mówiło, urzędnicy, wyższe warstwy kupieckie i arystokracja. Na odcinku trzech kilometrów ma pan wszystko z wyjątkiem przemysłu. To jeden z najstarszych komisariatów w mieście, niewielki, ale strategiczny. – Zmarszczył czoło i zmienił ton, teraz miał do przekazania mniej przyjemną część opowieści: – Mniej więcej rok temu nasi ludzie stamtąd przejęli sporą partię kokainy, jeszcze niegotowej do sprzedaży, dopiero co dotarła. Mnóstwo tego było. Ale zgłosili mniej niż połowę.

Lojacono zapytał cicho:

– Kto?

– Dopiero po pewnym czasie to się wydało, było ich czterech, wszyscy z pionu śledczego. Przeprowadzili świetnie zorganizowaną operację, kilka skojarzonych

sygnałów od informatorów, długie obserwacje, weszli dokładnie w chwili przekazywania towaru. Nie za wcześnie, kiedy niczego nie ma, i nie za późno, kiedy przestępcy zdążyliby zorganizować obronę. Czysta robota, szybka i bez przemocy. I oczywiście każda strona miała interes, żeby zadeklarować mniejszą ilość towaru. Goście z camorry dzięki temu mogli liczyć na lżejsze zarzuty, a nasi koledzy, niestety, mogli pohandlować koksem na własną rękę.

Inspektor milczał, przynajmniej ten jeden raz podzielał odczucia komisarza. Paskudna sprawa. Paskudna dla każdego uczciwego gliniarza.

Di Vincenzo ciągnął dalej:

– Jeden z nich miał syna chorego na raka, drugi był w separacji i żona go oskubała. Ojciec trzeciego dopiero co zamknął sklepik, bo splajtował. Ostatni przegrywał w karty. Spojrzeli po sobie, wystarczył ułamek sekundy. Dwóch z nich znałem, dałbym za nich głowę. Ech... W każdym razie jak się zaburza równowagę na rynku dilerskim taką ilością towaru, to trzeba uzyskać zgody klanów kontrolujących obszar i na dłuższą metę przekrętu nie da się ukryć. Koledzy z inspektoratu wewnętrznego w końcu się połapali. Miesiące podsłuchów, obserwacji, filmowania. Wreszcie dorwali całą czwórkę.

Nagły podmuch wiatru szarpnął oknem.

– Rozumiem, smutna historia – odparł Lojacono.

Di Vincenzo westchnął.

– Poleciał też komisarz Ruoppolo, nasz starszy kolega tuż przed emeryturą, świetny człowiek, dobrze go znałem. Czysty jak łąza, trzeba to podkreślić. Ale nie dopilnował, a to jego obowiązek. No więc przyspieszyli mu emeryturę. Przez parę miesięcy komendant miejski rozważał, czy po prostu nie zamknąć komisariatu i nie przerzucić jego kompetencji na sąsiednie placówki. Ale w końcu podjął inną decyzję.

– I tu pojawia się potrzeba oddelegowania kogoś stąd.

– Właśnie tak. Trzeba ściągnąć czterech ludzi do pionu śledczego. Ci z góry zwrócili się do czterech największych komisariatów. Nowym komisarzem został Palma, młody, ma dobrze rozkręconą karierę, pochodzi z dzielnicy Vomero, może go pan pamiętać z zebrania w sprawie Krokodyla. Gdybym był na jego miejscu, w życiu bym się nie zgodził, może tylko na tym stracić.

Na twarzy Lojacono pojawił się grymas.

– A pan im zaproponował mnie.

Di Vincenzo uniósł brew.

– Zrobiłbym tak, gdybym zdążył, w takich przypadkach zawsze warto skorzystać z okazji, żeby się pozbyć zgniłego jabłka. Ale tym razem to Palma zażądał pana osobiście. Z tego, co rozumiem, dobrze pana wspomina z tamtego zebrania. Nie zna się na ludziach, od razu go wyczułem. Ja oczywiście natychmiast wyraziłem zgodę. No więc, co pan na to?

Inspektor długo milczał. Potem zapytał:

– Co ryzykuję, jeśli się zgodzę? Czego mogę się spodziewać?

Di Vincenzo prychnął, stracił rezon i walnął otwartą dłonią w blat, aż wszystkie szpargały podskoczyły.

– Tego, że misja utrzymania komisariatu Pizzofalcone się nie uda. Że zostanie rozwiązany i odeślą was skąd przyszlście, w najgorszym razie. Albo gdzie indziej, czego bym sobie życzył, bo do tej pory znajdziemy sobie ludzi na wasze miejsca. I że wyląduje pan w grupie złożonej z typów znienawidzonych przez swoich szefów, którzy tylko marzą, żeby was wykopać. Z renegatów, nieudaczników, łobuzów!

Na inspektorze nie zrobiło to wrażenia.

– Panie komisarzu, ja bym się zgodził nawet na Patagonię, byleby stąd się wynieść. Ale chciałem trochę potrzymać pana w niepewności. No więc kiedy zaczynam służbę w nowym miejscu?

Kobieta wchodzi i trzaska drzwiami. Zanim się zamknęły, mężczyzna zdążył zauważyć na twarzach paru urzędników zdumienie, jak z hiperrealistycznego obrazu, który przedstawia zaskoczenie, zmieszanie i przerażenie w jednym. Ktoś nawet uniósł się z krzesła, tak jakby chciał zapobiec temu wtargnięciu. Jakby mógł ją zatrzymać.

Mężczyzna wzdycha, kuląc głowę w ramionach z powodu huku, jaki zrobiły drzwi – mało nie rozwaliły framugi.

– Co, do kurwy nędzy, zamierzasz zrobić? Zdecydowałeś? Powiesz mi wreszcie łaskawie?

Ręce na bokach, długie nogi w lekkim rozkroku, zaciśnięte zęby. Rude włosy lśnią, jakby zaraz miały się zapalić, oczy również. Ależ ona piękna, myśli on. Piękna nawet kiedy się wścieka. Co się ostatnio zdarza coraz częściej.

– Mów ciszej. Zwariowałaś? Chcesz prać brudy przy wszystkich?

Odpowiada ciszej, ale tylko trochę:

– Muszę wiedzieć, co zamierzasz zrobić. Bo już mam dość, nie będę dalej odgrywała roli biednej idiotki, którą dojrzały facet na stanowisku robi w balona. Urządę cię tak, że się nie pozbierasz, zobaczysz. Nie do wiary, że tak długo wytrzymałam.

On dobrze wie, że jak teraz zacznie jęczeć, to ona się wścieknie jeszcze bardziej. Stara się myśleć w pośpiechu.

– Nie robię cię w balona. To skomplikowana sprawa. Całe życie... Jest sporo wspólnych rzeczy, niektóre zapisane na jej nazwisko ze względu na podatki. A poza tym to kwestia moralna, nie można tak z dnia na dzień odesłać kogoś kopem w tyłek, takiej osoby jak ona. I jeszcze przyjaciele, wszystkie kontakty, też te polityczne... to nie takie proste.

– Przyjaciele? Politycy? Pieprzę twoje kontakty, rozumiesz? Ośmieszę cię przed całym światem. Myślisz, że nie wiem, że wszystko przechodzi przez kurię? Jak sądzisz, co by powiedział jego eminencja, gdyby się dowiedział, że... gdyby wiedział o mnie i o moim położeniu? Posłałby cię do diabła, ot co!

Siada wygodniej na fotelu, splata palce. Musi zachować spokój.

– Świetnie, w ten sposób stracimy wszystko. Oplaca ci się? Oplaca się... no więc, oplaca się nam? Nie lepiej poczekać na dobrą chwilę? Może ktoś inny to wszystko rozwiąże. Porozmawiam, mówiłem ci już. Zrobię to. To konieczne. Jest rozsądna, nie jest głupia.

Patrzy na niego wnikliwie swoimi zielonymi oczami. Pierś ciągle faluje w jeszcze przyspieszonym oddechu. On nie może oderwać od niej zauroczonego wzroku.

– Lepiej żebyś to naprawdę zrobił. Bo jak nie, to pójdę i powiem wszystko prosto w twarz. Może jak kobieta z kobietą lepiej się zrozumiemy, bez owijania w bawełnę. Może jej zaniosę prezent i powiem, że nie oplaca się jej stawać na drodze komuś takiemu jak ja.

On dobrze wie, że jest do tego zdolna. Że potrafi złapać byka za rogi.

– Jeśli nie ściszysz głosu, nie będę musiał nawet do niej iść. Wiesz, ilu ona ma tu szpiegów? W każdym razie to by nic nie dało. Tobie nigdy nie powie: tak. Pomyślałaby tylko, że musi stoczyć bitwę, że skoro nie ja zacząłem rozmowę, to nie mam odwagi jej zostawić i można jeszcze zawalczyć. Skończy się awanturą i procesem, jest córką byłego prokuratora, ciągle wpływowego. To ja muszę porozmawiać.

Kobieta podchodzi do biurka, napięta jak tygrysica przed skokiem na ofiarę. Opiera dłonie na blacie, długie czerwone paznokcie są skierowane w jego stronę. Syczy:

– No to do roboty. Pogadaj i to szybko. Bo jak nie, przysięgam, że pójdę i skończymy z tym. Tak lub inaczej.

Do komisariatu w Pizzofalcone wchodziło się przez podwórze starej kamienicy, z której w wielu miejscach odpadał tynk. Sprawiała wrażenie zaniedbanej, w stanie upadku – zresztą typowym dla starych dzielnic miasta.

Pozdrowił kierowcę, a ten zaraz ruszył z piskiem opon i na sygnale. Lojacono wszedł po schodach do pokoiku oświetlonego jarzeniówką. Światło dzienne nie dochodziło tam nawet w południe.

Za kontuarem siedział policjant rozkraczony na obrotowym krześle, zatopiony w lekturze gazety sportowej. Czuć było zapach kawy z automatu, przy którym rozmawiało i chichotało dwóch mundurowych. Dyżurny nawet nie podniósł wzroku. Lojacono podszedł po cichu i czekał, wpatrując się w policjanta. Po dłuższej chwili ten spojrział na niego znad gazety i z pytającym wyrazem twarzy mruknął:

– Słucham.

– Jestem inspektor Lojacono. Zdaje się, że komisarz na mnie czeka.

Dyżurny nawet nie odłożył gazety i ani drgnął.

– Pierwsze piętro, ostatnie drzwi.

Lojacono się nie poruszył.

– Wstawaj – syknął.

– Że co?

– Wstawaj, śmieciu. Nazwisko, imię, stopień służbowy. I to zaraz, bo jak nie, to przeskoczę tę ladę i skopię ci dupę.

Nie zmienił tonu ani wyrazu twarzy, ale to było tak, jakby się wydarł. Dwaj przy automacie z kawą wymienili szybkie spojrzenia i czmychnęli po cichu.

Policjant wstał z trudem, na wydatnym brzuchu miał niedopiętą bluzę mundurową. Rozpięty pas i kołnierzyk, poluzowany krawat. Stanął na baczność, gapiąc się pustym wzrokiem przed siebie.

– Dyżurny Guida Giovanni, komisariat w Pizzofalcone.

Lojacono wciąż świdrował go wzrokiem.

– Słuchaj no, Guida Giovanni z komisariatu w Pizzofalcone. Ludzie, którzy tu wchodzi, widzą najpierw ciebie. Dlatego to logiczne, że sobie myślą, że wszyscy jesteśmy jednym wielkim syfem, dokładnie takim jak ty. Nie lubię, kiedy ktoś się mnie brzydzi.

Policjant stał nieruchomo, z oczami pozbawionymi wyrazu. Do pomieszczenia zajrzał jeden z tych, co pili kawę, ale zaraz zniknął.

– Jeśli znowu cię zobaczę w takim stanie, będę cię na kopach gonił godzinę po podwórzu, zrozumiałeś? A po tej kondycyjnej zaprawie zdasz mi raport.

Guida wyszeptał:

– Przepraszam, inspektorze, to się więcej nie powtórzy. Ale w tym rzecz, że tutaj już prawie nikt nie przychodzi. Ludzie wołają... idą do karabinierów, jak mają coś do zgłoszenia. Wołają, od kiedy... od jakiegoś czasu.

– Nie interesuje mnie to – warknął Lojacono. – Nawet jak nas przerobią na klasztor klauzurowy, masz wyglądać jak należy.

Skierował się do drzwi, podczas gdy Guida, czerwony na twarzy, klnąc pod nosem, wpychał sobie koszulę w spodnie.

Do schodów prowadził krótki korytarzyk. Kątem oka Lojacono dostrzegł bajzel, brud i zaniedbanie. Poczuł, jak dusi go niepokój. Czy kiedykolwiek odnajdzie dawny entuzjizm do tej pracy?

Pokój komisarza był zaraz przy schodach. Palma siedział za biurkiem i wkładał papiery do segregatora. Lojacono od razu sobie go przypomniał. Około czterdziestoletni facet o niechlujnym wyglądzie, z podwiniętymi rękawami i cieniem zarostu na twarzy. Ale nie był zaniedbany, raczej sprawiał wrażenie kogoś wiecznie zajętego.

Gdy się zorientował, kto wszedł, uśmiechnął się szeroko.

– Lojacono, nareszcie. Miałem nadzieję, że cię już dzisiaj zobaczę. Nawet chciałem do ciebie od razu dzwonić, ale dla przyzwoitości musiał najpierw odbyć z tobą rozmowę ten stary zgred Di Vincenzo. Siadaj.

Inspektor zrobił krok do przodu. Okno było zamknięte, ale przez zmoczone deszczem szyby widać było wzburzone morze, zajęte tysiącletnim trudem podmywania zamku z tufu, który wyrastał na cyplu. To miasto zawsze potrafiło zaskakiwać, oferując nagle widoki pełne zwodniczego piękna.

– Cudowna panorama, nie? Ale nie możemy się rozpraszać, jest kupa roboty. Siadaj, siadaj, chcesz kawy?

– Nie, dziękuję panie komisarzu. Jak się pan miewa?

Palma rozłożył ramiona.

– No nie, tak nie możemy zacząć, Loja'. Musimy być na ty. Jest nas tu garstka i płyniemy na tej samej łódce. Poza tym prawie wszyscy jesteśmy nowi. Ja od zeszłego poniedziałku, reszta dotarła w ciągu ostatnich trzech dni, ty zjawiłeś się ostatni. Jak już jesteś, możemy od razu zrobić pierwsze porządne zebranie. Co ty na to? Czy wolisz najpierw się rozgościć?

Inspektor czuł się przytłoczony entuzjazmem komisarza.

– Nie ma problemu, jeśli pan chce... jeśli chcesz, choćby zaraz.

– Świetnie. Nie traćmy czasu, czekałem tylko na ciebie. Ottavia! Ottavia!

Otworzyły się boczne drzwi, weszła kobieta w garsonce.

– Słucham, komisarzu.

– Nie, żadne „słucham, komisarzu”, mówiłem ci, jesteśmy na ty. Wchodź, to inspektor Giuseppe Lojacono, ostatni nabytek tego komisariatu. Loja', przedstawiam ci wiceinspektor Ottavię Calabrese, pracowała tu już przedtem... może nam bardzo pomóc się oswoić z miejscem.

Calabrese zrobiła krok do przodu, Lojacono wstał i uścisnął jej dłoń. Ładna kobieta tuż po czterdziestce, o zmęczonej twarzy, z włosami spiętymi z tyłu głowy.

– Witam, inspektorze. W razie jakichkolwiek pytań jestem do dyspozycji.

Ciepły, cichy głos był dobrze wymodulowany i brzmiał pewnie. Lojacono lubił oceniać ludzi po pierwszym wrażeniu, chociaż umiał potem zmieniać opinię pod wpływem faktów. Calabrese mu się spodobała.

Palma się zaśmiał.

– Widzę, że nie wychodzi ci mówienie na ty. Loja', ona jest tutaj naszym geniuszem komputerowym. Czegokolwiek potrzebujesz z internetu, to ci znajdzie. Ottavia, zawołasz resztę do małej sali? Zamówmy kilka kaw i wodę, uczcijmy nową drogę. Chodź, Loja', zaczekamy tam na nich.

Ściany. Ściany tego pokoju.

Sześć kroków i pół, nie, dokładnie osiem i trzy czwarte. A osiem w poprzek. Pamiętam ze szkoły: aby obliczyć powierzchnię prostokąta, trzeba pomnożyć dłuższy bok przez krótszy. Lubiłam szkołę. Ale potem, oczywiście, jak skończyło się gimnazjum, to przestałam chodzić.

Żeby zmierzyć krótszy bok, trzeba wziąć pod uwagę szafę pod ścianą, trzeba skrócić przy niej trochę w bok, a to wydłuża wszystko o prawie ćwierć kroku. Z kolei wzdłuż dłuższej ściany jest wyszczerbiony kafelek, dokładnie tam, gdzie się stawia stopę po trzecim kroku.

Tyle rzeczy można się dowiedzieć, siedząc tutaj. Z okien balkonu widać pięć mieszkań w kamienicy naprzeciwko. Gdybym mogła wyjść, zobaczyłabym pewnie więcej, ale lepiej nie. Poprzednim razem on wetknął kawałeczek papieru przy drzwiach i sprawdzał potem, czy ten skrawek tam jest. Był, bo nawet nie przyszło mi do głowy otwierać okno w sypialni. Co bym powiedziała, gdyby go nie znalazł? Miałam szczęście, że nie otwierałam.

Minęło piętnaście dni. Przyszedł wczoraj, kto wie, kiedy będzie mógł znowu przyjść. Powiedział: mam nadzieję, że szybko. Też mam nadzieję.

Osiem kroków i trzy czwarte, według mnie to prawie siedem metrów. Ogromny ten pokój. Tylko dla mnie. Poza tym sypialnia, kuchnia, łazienka. W naszej dzielnicy, w przestrzeni mniejszej o połowę mieszkaliśmy w piątkę i wydawało się, że jest wygodnie. Naprawdę mam szczęście.

Mogę podnosić żaluzję. Powiedział mi, że lepiej nie całkiem, chociaż są zasłony, ale trochę – tak. Lubię patrzeć na zewnątrz, obserwuję, co robią ludzie. Na przykład na trzecim piętrze mieszka taka staruszka, która gapi się tak jak ja. Raz chyba nawet mnie zobaczyła.

Siedem metrów długości, sześć szerokości. Ponad czterdzieści metrów jeden pokój. O mamo, ale mam szczęście.

Zostawił mi jedzenie, lodówka jest pełna, kto widział naraz tyle dobra? Niesamowite.

Czasami jest mi trochę duszno. Kazał mi włączyć klimatyzację, dał mi do ręki pilota, ale było śmiechu, bo nie umiałam rozgryźć, jak to działa.

Mam nawet pralkę, która suszy uprane rzeczy. Nie do wiary, co za cud. Powiedziałam mu, że nie potrzebuję, że te parę ciuchów mogę rozwiesić nad wanną, ale nie chciał słuchać, powiedział, że muszę mieć wszystko, czego potrzebuję. Jak królowa. Tak właśnie powiedział: jak królowa. Kto by przypuszczał, że zostanę królową!

Cały czas wszystko sprzątam, chociaż nic się nie brudzi. Kiedy przyjdzie, nie może sobie pomyśleć, że nie dbam o porządek. Kiedy kończę, włączam telewizor. Pilota umiem obsługiwać. Ale nastawiam bardzo cicho, powiedział mi, że nikt nie może mnie usłyszeć. Chociaż gdyby coś było słychać, to tylko głos z telewizora, nie mój.

Ciągle na niego czekam. Co jakiś czas do mnie dzwoni, tylko on zna ten numer. Ostatnim razem pozwolił mi pozdrowić mamusię. Ale było miło usłyszeć jej głos. Jaka była szczęśliwa! Powiedziała, że kupił jej mnóstwo rzeczy, że dał pracę tacie i braciom, że wszyscy dobrze się czują. Powiedziała mi: dziękuję, kochana córeczko.

„Dziękuję”. Poczulałam się dumna.

Muszę teraz zjeść. Powiedział, że nie mogę się zaniedbać, że jestem zbyt ładna i że nie mogę zrobić się brzydka, bo mnie wyrzuci. Śmiał się, kiedy tak mówił, ale ja się przestraszyłam. Mówi, że mam osiemnaście lat i że w moim wieku można stać się brzydką, jak się je za dużo albo za mało. Przyniósł rzeczy, które powinnam jeść, i napisał, co każdego dnia mam ugotować i o której godzinie.

Przyczepiłam kartkę do lodówki magnesem w kształcie biedronki. Czytam powoli i gotuję, jem w oznaczonych porach.

Wcześniej wyjrzałam przez okno, staruszka patrzyła właśnie w moją stronę.

Boję się jej. Ciekawe, czego ode mnie chce.

– No to jesteśmy w komplecie – zaczął Palma. – Czekałem z zebraniem na inspektora Lojacono. Możemy się teraz przedstawić.

Lojacono chciał wierzyć, że entuzjastyczne podejście komisarza służy do motywowania obecnych, a nie jest tylko wynikiem nieuzasadnionego jego zdaniem optymizmu. Grupa obecnych była zbieraniną, jak złośliwie się wyraził Di Vincenzo, „zgniłych jabłek” z innych komisariatów. Mieli teraz zająć miejsce nieuczciwych wyrzuconych policjantów, którzy na oczach publiki całego kraju zafajdali wizerunek swoich kolegów.

Z drugiej strony on też był wyrzutkiem, bękartem. O nim też się mówiło, że zdradził policję.

Palma ciągnął dalej:

– Nie ukrywam, że to będzie trudne zadanie. Wszyscy mi odradzali objęcie tego stanowiska, komendant też do ostatniej chwili się wahał, czy nie zamknąć komisariatu. Ale że lubię wyzwania, zgodziłem się. Jeśli pójdzie dobrze, zyskamy wszyscy. Jeśli nie, oberwę głównie ja, bo wy, z tego czy innego powodu, nie macie specjalnego interesu wrócić tam, skąd was przysłali.

W przerwie, jaka nastąpiła, Lojacono omiół wzrokiem długi owalny stół z jasnego drewna, z wypalonymi śladami po papierosach. Siedem osób łącznie z nim, obojga płci, różniących się wiekiem i wyglądem. Zastanawiał się, co ich tu przyniosło, jakie historie kryją się za każdym z nich.

Komisarz, jakby mu czytał w myślach, wtrącił:

– Chciałbym, żebyśmy się przedstawili, tak jak gdyby nikt tu nie znał nikogo. Jestem Gigi Palma, komisarz z Pizzofalcone. Zawsze do waszej dyspozycji, moje drzwi są stale otwarte, chyba że to może być niezręczne dla kogoś, kto przyszedł ze mną rozmawiać. Jestem przekonany, że jak się uczciwie popracuje, to wyniki zawsze będą, i to zadowalające. Staram się nie mieć uprzedzeń i chrzańię to, co napisali mi o każdym z was. Od dziś jesteście czyści. Powodzenia. Zaczęlbym od tych, którzy już tu wcześniej służyli, jeśli możecie nam coś opowiedzieć...

Wskazał na kobietę, którą już przedstawił inspektorowi. Przytaknęła i przemówiła cichym melodyjnym głosem:

– Ottavia Calabrese, wiceinspektor. Zajmuję się pozyskiwaniem danych z zasobów informatycznych i prowadzeniem sekretariatu, a także kontaktami z prasą, w ostatnich czasach to akurat zajęcie było piekłem, możecie mi wierzyć, chociaż sprawą... no tym, co się zdarzyło, zajmował się też rzecznik komendy miejskiej. Inspektorat wewnętrzny prześwietlił dokładnie cały komisariat, jak pewnie przypuszczacie. Myśleliśmy, że go zamkną, próba utrzymania tego miejsca to dla nas miła niespodzianka. Ech, bądźmy dobrej myśli.

Jej westchnienie przyjęto z ogólnym nerwowym chichotem. Po niej odezwał się łysy mężczyzna, dość stary, z zachrypniętym głosem:

– Giorgio Pisanelli, wicekomisarz. Zanim zdążycie zapytać, od razu powiem: mam tylko sześćdziesiąt jeden lat.

Znów ogólny śmiech, który przyjął ze spokojnym dystansem. Potem podjął wątek:

– Jestem tu od piętnastu lat. Może mógłbym zejść wyżej, ale moja żona... no w każdym razie miałem problemy rodzinne i postanowiłem dać pierwszeństwo innym sprawom. Mógłbym powiedzieć o sobie, że jestem chodzącą pamięcią tego miejsca, mieszkam w tej dzielnicy i znam prawie wszystkich. Inspektorzy wewnętrzni przejrzeni każdy papier, jaki przeszedł przez moje ręce, żeby upewnić się, że nie mam nic wspólnego z tym, co się tu działo, zanim przyszlście. Mogę więc spokojnie zapewnić, że jestem uczciwy, o czym się przy tej okazji dowiedziałem.

Z zadowoleniem stwierdził, że prawie całe towarzystwo się zaśmiało, także Palma. Lojacono pomyślał, że musi być z niego fajny gość, skoro zrozumiał potrzebę rozluźnienia atmosfery.

Palma wskazał na drugą kobietę wśród obecnych. Szczupłą, młodą, ubraną schludnie, ale bez wyrazu.

– Nazywam się Di Nardo. Di Nardo Alessandra. Młodszy aspirant. Przeniesiono mnie z komisariatu w dzielnicy Decumano Maggiore.

Mówiła, patrząc przed siebie, nie zwracając się do nikogo konkretnie, głosem wypranym z emocji.

Palma wskazał na Lojacono.

– Inspektor Giuseppe Lojaco z komisariatu San Gaetano.

Komisarz pokazał palcem na młodego mężczyznę obok inspektora. Ten jakby uruchomiony pilotem, nagle wstał. Był niski, miał dziwną fryzurę na Elvisa, która ukrywała zaczątek łysiny na czubku, i długie bokobrody. Rozchylona koszula odsłaniała starannie wygolony tors. Jego skóra miała pomarańczowy odcień od solarium. Śmiesznego wyglądu dopełniały przyciemniane na niebiesko sportowe okulary, które zdjął wystudiowanym powolnym ruchem.

– Jestem Marco. Marco Aragona, aspirant, przysłali mnie z komendy miejskiej.

Lojaco pomyślał, że sprawy mają się gorzej, niż przypuszczał, i że nie będzie łatwo podnieść tego komisariatu chociażby na przyzwoity poziom. Palma westchnął. Inspektor po raz pierwszy dostrzegł, jak w komisarzu zachwiała się pewność co do powodzenia tego planu.

– Dobra. A ty tam, na końcu?

Na drugim końcu stołu siedział tęgi facet z ponurą miną, który nie śmiał się dotąd z innymi i nie komentował. Palcami lewej ręki ciągle bębnił o blat, prawą trzymał pod stołem. Krótka ostrzyżona głowa, szeroki kark, wyrazista szczeka – to wszystko uwydatniało zmartwiony wyraz oczu.

Odezwał się z wyczuwalną niechęcią.

– Romano Francesco z komisariatu w Posilippo.

Palma przytaknął.

– Dobra, to się przedstawiliśmy. W stosunku do innych placówek mamy o tyle trudniej, że tu nowi są większością, nie mamy więc zgranego zespołu, a taki zwykle stanowi prawdziwy atut.

Opalony zachichotał:

– Powiedzmy, że tu poprzednio panował duch zespołowy aż do przesady, mam na myśli tych czterech, co obracali koksem.

Palma spojrzał na niego krzywo. Lojaco zauważył, jak komisarz się zmienia, kiedy zrzuca maskę dobrotliwości.

– Aragona, jeszcze jedna taka uwaga i wrócisz tam, skąd cię przysłali, a wier mi, potrafię dać solidnego kopa. – Aspirant zapadł się w krześle, jakby chciał zniknąć. Palma mówił dalej: – Musimy więc postarać się jak najszybciej poznać siebie nawzajem. Wszystkie dochodzenia poprowadzicie w parach. Na razie, żeby

lepiej wspierać pracę reszty, Pisanelli i Calabrese, którzy znają komisariat, będą pracować stacjonarnie. Wy w terenie. Jasne?

Odczekał, aż wszyscy przytakną, skinął głową z zadowoleniem.

– Dobra. Kazałem przygotować dużą salę z sześcioma biurkami. Będziecie siedzieli razem, żeby się szybciej zżyć. Powodzenia!

Wstał. Parę minut potem, w swoim gabinecie, komisarz Luigi Palma, zwany Gigi, po raz enty przeglądał poufne akta, które dostał z kartoteki wydziału personalnego.

O Pisanellim i Calabrese, czyli tych miejscowych, nie znalazł zbyt wiele. Cała ich kariera zawodowa została przetrzepana na wylot, a skoro nic nie znaleziono, to znaczy, że nie było czego szukać. Ale fakt faktem – oboje byli typowymi policjantami zza biurka, bez doświadczenia w terenie.

Di Nardo – młoda dziewczyna, dopiero co skończyła dwadzieścia osiem lat. Pasjonowała się bronią, zdobywała maksimum punktów na zawodach strzeleckich i właśnie to jej zaszkodziło: któregoś dnia jej pistolet wystrzelił w komisariacie, w niejasnych okolicznościach.

Romano – narwaniec. Mało nie udusił gołymi rękoma podejrzanego i nie podbił oka koledze, który skutecznie go przyblokował, zanim zdołał zabić tamtego faceta.

Westchnął i podrapał się po głowie. Aragona, ten śmieszny opalony typek, był z polecenia, miał wujka prefekta w jednym z miast w regionie Basilicata. Prowadził jak wariat, już dwóch prokuratorów oświadczyło, że nie życzy sobie, aby jeździł w ich obstawie. W komendzie miejskiej aż nie wierzyli swojemu szczęściu, że nareszcie się go pozbędą.

A Lojacono? Cóż, miał za sobą tę paskudną historię ze świadkiem koronnym, który wymienił jego nazwisko. Ale Palma widział, jak gość działa podczas sprawy Krokodyla, i to mu się spodobało. To on w sumie bardziej chciał Lojacono ściągnąć, niż Di Vincenzo się go pozbyć. Czuł przez skórę, że to świetny facet. I do tego uczciwy.

Miał nadzieję, że się nie myli, komisarz Luigi Palma, zwany Gigi.

Liczył na to z całego serca.

VII

Siedząc na swoim tronie, donna Amalia nieruchomo wpatrywała się w okno na czwartym piętrze w kamienicy naprzeciwko. Dokładnie rzecz biorąc, w balkon, a donna Amalia, jak wiadomo, umie być dokładna. Bardzo dokładna. Prawie od razu, siedemnaście dni temu, zorientowała się, że coś jest nie tak. Śledziła prace remontowe w tamtym mieszkaniu. Trwały krótko, ale były gruntowne i zostały zrobione porządnie, przynajmniej z tego, co mogła dostrzec. Musiały kosztować kupę pieniędzy.

Donna Amalia rozmawiała nawet o tym z Iriną, ale ta zdzira jak zawsze jej tylko przytakiwała, choć w rzeczywistości myślała o swoich sprawach. Może o jakimś starym bogatym świntuchu, którego – kiedy szła na zakupy – na pewno obsługiwała na szybko, żeby sobie dorobić parę groszy. Nigdy jej nie starczało pieniędzy. Wydawała je wszystkie na mieście albo posyłała do tego swojego gównianego kraju. Pokazywała parę fotek stamtąd, straszny syf nawet na zdjęciach, co dopiero w naturze.

Donna Amalia nie mogła się ruszać, miała chore stawy, „zaawansowane stadium choroby zwyrodnieniowej”, jak mówiła z tragiczną dumą. Cierpiała na rozdzierające bóle, ledwo była w stanie dojść do kibla, ale nigdy nie pozwoli, żeby ta zdzira podkładała jej basen, choćby miała się czołgać. Kiedy wstawała z łóżka, z pomocą zdziry ubierała się, dochodziła z balkonikiem do fotela i tam już przesiadywała cały dzień, gapiąc się albo w telewizor, albo przez okno.

Syn mieszkał w Mediolanie, wymyślał tysiące powodów, żeby nie przyjechać nawet na święta. Żył z jakąś wywłoką, a ta nie chciała, żeby odwiedzał mamusię, która tyle dla niego poświęciła. Myślał, że pozbędzie się wyrzutów sumienia, przysyłając pieniądze, co za gnojek. Tak jakby pieniądze wystarczyły.

Nogi donny Amalii nie działały, ale głowa owszem. Kobieta miała umysł świeży jak wiosenna róża, wszystkie kółka zębate chodziły jak w zegarku. Przyglądała się światu, uważna na zmiany. Mówiła o tym Irinie, tamta potakiwała, ale nic nie rozumiała, że to zmiany mówią ci, w jakim kierunku zmierza świat. Wszystkie zmiany, od małych do tych wielkich, miały sens w ramach ogólnego obrazu.

Prezenterka o męskim głosie na piątym kanale prowadziła program z udziałem starców? To znak. Nowy papież pochodzi z Argentyny? To znak. Żołnierz zabił żonę, żeby móc mieszkać z żołnierką? To znak. Najtrudniej, droga ukraińska zdziro, to je wszystkie razem zestawić. Kluczem jest interpretacja. Zrozumieć system znaków to rozpoznać kierunek zmian.

Na przykład mieszkanie w kamienicy naprzeciwko jest znakiem. I to bardzo ważnym.

Wcześniej mieszkała tam normalna rodzina. Okropna, ale normalna. Ojca prawie nigdy nie było. Matka za to, rozlazła gaduła, cały dzień wisiała na telefonie. Donna Amalia widziała, jak kobieta chodzi w tę i we w tę koło okien, wymachując rękoma, ze słuchawką między uchem a ramieniem. Jakim cudem nie dostała od tego skurczów, tego donna Amalia nigdy nie rozumiała. I jeszcze dwoje dzieci, nastolatków, dziewczyna przyprowadzała sobie chłopaków i zamykała się z nimi w pokoju. Syn z kolei zamiast się uczyć, grał ciągle na gitarze i po kryjomu palił na balkonie.

Potem ni stąd, ni zowąd się wyprowadzili. Musieli dostać dobrą cenę, bo donna Amalia nie widziała typowych długotrwałych przygotowań do wyprowadzki. Nagle zjawiała się ciężarówka i w dwa dni już ich nie było, wynieśli się z całym dobytkiem nie wiadomo dokąd. Donna Amalia nie zamierzała po nich płakać, nie warto było obserwować tych ludzi, znała ich zwyczaje aż za dobrze.

Remont poszedł szybko, z tego, co zauważyła. Przez wiele godzin dziennie w mieszkaniu uwijało się mnóstwo robotników. Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała prawie wszystkie pokoje przez otwarte na oścież balkony. Nawet zainstalowali klimatyzatory w każdym pomieszczeniu. Luksus. Od miesiący nie mogła się tego doprosić od syna. Ten skąpiec zapłacił tylko za jeden w salonie. Mówił, że klimatyzacja szkodzi na kości. Tak jakby kościom donny Amalii coś jeszcze mogło zaszkodzić.

Potem wprowadziła się ona. Samotna młoda kobieta.

Musiała przyjechać w nocy, bo donna Amalia nie zorientowała się, a przecież pilnuje podwórka od świtu do wieczora. Najpierw przywieźli meble, wszystkie nowe. Później parę skrzyń z pościelą, donna Amalia dostrzegła markę znanego sklepu z centrum. A potem nagle zaczęło się palić światło i widać było poświatę od telewizora.

Raz otworzyło się okno w pokoju, zapewne sypialni. Jakiś ciemnowłosy facet coś gmerał przy kłance. Od tamtej chwili okno pozostało zamknięte, nie poruszyła się nawet jedna zasłona. W całym mieszkaniu. Nie do wiary.

Facet już się więcej nie ujawnił. Tylko dziewczyna chodziła za zasłonami. Można było rozpoznać jej sylwetkę. Pewnego razu pokazała twarz w oknie balkonowym salonu. Donnę Amalię aż zatkało, bo taka jej się wydała piękna. Nawet ona, która umiała dostrzec u każdego najmniejszą wadę, musiała przyznać, że dziewczyna ma twarz doskonałą. Ale zaraz zniknęła i tyle po niej.

Donna Amalia poprzez swoją Ukrainkę dyskretnie rozpytała się wśród okolicznych sklepikarzy. Nikt, ale to nikt nie wiedział, kto tam teraz mieszka. Nikt nie zaopatrywał tego mieszkania, nikt nie zanosił tam zakupów, nikt nie miał wśród nowych klientek pięknej dziewczyny. Nikt.

To było trudne do wyjaśnienia, myślała donna Amalia. Musiało coś się za tym kryć, coś ważnego, bo kiedy znaki nie wpasowywały się w system, to coś jej umykało. Postanowiła więc zaczekać. Czekala i czekała, dzielnicą żyła zwyczajnym życiem, ale mieszkanie naprzeciwnie wciąż nie pasowało do żadnego schematu. Usiłowała pomówić o tym z synem w trakcie cotygodniowej rozmowy, ale on odpowiadał dokładnie tak jak zdzira Irina: tak, tak, tak. I pod jakimś pretekstem uciął temat.

Wszystko to wydawało się takie dziwne, że wreszcie donna Amalia posłała Irinę, żeby zadzwoniła do tego mieszkania domofonem. Kazała jej powiedzieć, że szuka pani Esposito, tej z pierwszego piętra, potem, kiedy ktoś by się odezwał, miała przeprosić, rzucić: „Ojej, pomyliłam guziki”, wrócić, żeby opowiedzieć, jaki głos miała ta osoba. Ale nikt nie odpowiedział, chociaż Irina przysięgała, że dzwoniła dwa razy. A przecież dziewczyna siedziała w domu, bo donna Amalia widziała jej sylwetkę za zasłonami. Dlaczego nie podnosiła słuchawki domofonu? Może był zepsuty, to nie byłoby nic dziwnego. Przeklęte urządzenia. Kilka lat temu jeszcze wystarczyłoby zadać parę pytań portierowi, ale dziś już w żadnej kamienicy nie było portiera, za dużo kosztowali. Na zewnątrz wiatr i deszcz miały przechodniami, a ci chowali się po bramach. Donna Amalia przyklejona do szyby, zmrużyła oczy: skoro znak nie dawał się zinterpretować, to nie pasował do systemu. I trzeba o tym donieść. Zawołała dzirę Irinę i kazała jej przynieść telefon.

VIII

Zanim poszedł na kolację, tam gdzie zwykle jadał, Lojacono odebrał telefon od Marinelli.

Po wielu miesiącach dotkliwej ciszy nawiązali ponownie kontakt i odtąd już rozmawiali z córką codziennie. Jeszcze za wcześnie na spotkanie, ale i tak sytuacja szła w dobrym kierunku. Od milczenia do monosylab, potem zdawkowe relacje z tego, co się dzieje w jej życiu. Ich rozmowy rozwijały się powoli i z trudem.

Lojacono uwielbiał swoją córkę, brak kontaktu z nią doprowadzał go do szaleństwa. Ale tuż po tym, jak wszczęto przeciwko niemu postępowanie i wydalono go z pracy, żona bez wahania odwróciła się od niego. Nie tyle dlatego, że wierzyła w zarzuty, ale dlatego, że cała sprawa odbiła się mocno na pozycji społecznej rodziny. Czuć się jak parias, widzieć, jak zatrząskują ci drzwi przed nosem, a koleżanki zaczynają cię unikać: za coś takiego należała mu się kara, niezależnie od wyroków sądu.

Co gorsza, Sonia wraz z Marinellą w obawie przed możliwym odwetem zostały przeniesione do Palermo. Lojacono nie był w stanie sobie wyobrazić, wedle jakiej logiki mafia miałaby się zemścić na rodzinie za coś, czego nie zrobił, ale wszyscy musieli się dostosować do tego, co zdecydował prokurator. Marinella miała piętnaście lat, oprócz zwyczajnych u nastolatki trudności z przystosowaniem i uczuciami dochodził jeszcze jej skryty, nieskory do zmian charakter. Wyrwanie jej z kręgu przyzwyczajzeń i wywiezienie z Agrigento, małego miasta, gdzie od zawsze wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich, było jak wybuch bomby atomowej na atolu koralowym. Na domiar złego ciągle słyszała, jak matka pluje jadem na ojca i zwała na niego winę za każdy problem. Lojacono stracił kontakt z dziewczyną. Kiedy miał do czynienia z niewinnymi młodymi ofiarami Krokodyla, nieobecność córki wydawała mu się nie do zniesienia. Wbrew warunkom separacji i wbrew zdrowemu rozsądkowi zadzwonił do niej. Spodziewał się, że Marinella nie odpowie. Ku jego zaskoczeniu odebrała i teraz znów rozmawiali regularnie. Stopniowo opowiedziała mu o tym, jak trudno było wpasować się w nowe życie, jak skomplikowane miała relacje z koleżankami i nauczycielami. Potem Lojacono kibicował jej w powolnym

przekształcaniu paru kielkujących znajomości w przyjaźnie. Z sąsiadką z tej samej szkoły, i jeszcze inną koleżanką, która do nich dołączyła. Marinella miała więc już swoje stałe towarzystwo do wieczornych wypadów do kina czy na pizzę.

Żeby nie stawiać jej w trudnej sytuacji wobec matki, bo ta rościła sobie prawo do wyrażania zgody na każdy, choćby najkrótszy kontakt, to nie on dzwonił. Czekał, aż Marinella odezwie się do niego. Bał się przerwać ciekawą nić, którą z takim trudem przeciągnął, z całą świadomością, że sam nie należy do ludzi szczególnie komunikatywnych. Ale nawet cisza może być czymś pięknym, kiedy wiesz, że po drugiej stronie przy słuchawce jest ktoś, kogo bardzo kochasz.

Tym razem córka miała podekscytowany głos.

– Cześć, tatusiu, co robisz, jesi?

– Nie, jesi, nie. Pracowałem do późna, wiesz, zmieniłem biuro.

– Naprawdę? Super. Co jakiś czas trzeba zmieniać, nie? No i wcale nie było ci dobrze w tamtym starym miejscu. Poznawałem to po głosie.

Po głosie... kobiety, nawet te nastoletnie, mają jednak specjalne radary.

– A ty? Jak klasówka z łaciny?

– Spoko, całkiem dobrze, mam nadzieję. Gadałem z Deborą, jest niezła w łacinie i obie przetłumaczyłyśmy tak samo. Ale jest coś ważniejszego: dziś wieczorem idę na imprezę! Koleżanka zaprosiła mnie na urodziny, w lokalu pod Palermo.

Impreza. Pod Palermo.

– Naprawdę? Jak tam pojedziesz? Z kim?

– Tatusiu, no weź, martwisz się? Nic się nie stanie, to nie żadne *rave party*. Tylko urodziny. Ta koleżanka powtarza klasę, więc ma osiemnaście lat. Fajnie, że mnie zaprosiła, jesi, kilka dni temu nawet nie wiedziała, że istnieję. No i będą chłopaki. I tańce.

Ostrożnie, napomniął się Lojaco. Nie możesz teraz ostudzić jej entuzjazmu, bo przestanie ci cokolwiek mówić.

– A mama wie?

– No coś ty, jak jej powiem, to będzie mi truła do jutra. Jasne, że nic nie wie. Ściemniłem, że się prześpię u Enzy, będzie zadowolona, będzie miała luz i zajmie się sobą.

– Mari, nie mów tak. Nie podoba mi się to. I nie podoba mi się, że okłamujesz matkę. Jestem daleko, nie mogę ci pomóc, jeśli byś potrzebowała...

Głos jej spoważniał.

– No więc tobie też nie mogę mówić szczerze o swoich sprawach?

– Nie, to nie tak. Ufam ci, jesteś inteligentna i dojrzała. Ale kręcą się tacy ludzie... gdybyś miała pojęcie, co ja tu oglądam od rana do wieczora... No dobra, idź, ale miej naładowany i włączony telefon. W razie czego, czegokolwiek, od razu dzwoń. Jasne?

Odpowiedziała znów pogodna, ale z lekkim dystansem.

– Dobra, tatku. Bądź spokojny, obiecuję. Jutro zadzwonię i wszystko ci opowiem, okej?

– Tak, kochana, będę czekał. I pamiętaj...

– ...tak, tak, tak, zawsze włączona komórka. Pa, pa, tatku, do jutra.

I znów był sam, z głuchym telefonem w dłoni i dodatkowym zmartwieniem na karku, które na pewno odbierze mu spokojny sen.

Kiedy szedł zaułkiem prowadzącym do restauracji Letizii, miał czas pomyśleć nad faktem, że nie odczuł niczego, kiedy Marinella powiedziała, że dzięki jej nocnej nieobecności mama będzie miała luz i lepiej zajmie się sobą.

W innych czasach, nawet parę miesięcy temu, ta wiadomość byłaby dla niego jak cios w żołądek, zagnieżdżyłaby się mu w trzewiach i bolała przez wiele godzin. A teraz nic. Sonia stała się dla niego obcą osobą. Aż nie do wiary, że tyle lat robił z nią plany na przyszłość, która miała nigdy nie nadejść. Obca osoba. Życzył sobie nawet, żeby nawiązała z kimś trwałą relację, to pewnie nieco złagodziłoby złość płynącą w jego stronę. Dzięki temu mógłby znów utrzymywać z córką normalne kontakty.

Letizia zauważyła go przy wejściu kątem oka, bo jak co wieczór na niego czekała. Tyle jej wystarczyło, żeby oszacować, w jakim Lojaco jest humorze. Zawsze się dziwiła, jakim cudem ona, która wcale nie jest dobra w rozumieniu mężczyzn, potrafi wyczuć stan ducha inspektora, choć jego skośne oczy nigdy nie zmieniały wyrazu. Kąciki ust, postura, ruchy dłoni – to wszystko przemawiało do niej jasno i wyraźnie. Może chodziło tylko o to, żeby przyjrzeć mu się z uwagą.

Może dlatego, że to, co on traktował jako miłą ciepłą przyjaźń, dla niej było czymś więcej. Mimo że nigdy by się do tego nie przyznała, nawet przed sobą. Usiadł przy stoliku w kącie – zawsze trzymała dla niego to miejsce, nawet kiedy lista oczekujących, co się zdarzało dość często, była długa na metr. Jej lokal był bardzo popularny, także z powodu uroku właścicielki. Klienci uwielbiali proste domowe dania, które serwowała, a obfity biust i radosny uśmiech stanowiły najlepsze dodatki.

Panie z kolei czuły się bezpiecznie, bo nigdy nie przekraczała granic. Zachowywała się uprzejmie i otwarcie, ale bez poufałości. Wszyscy liczyli, że zaśpiewa, co czasem robiła. I wszystkich bawiło jej zachowanie w stosunku do tego dziwnego faceta o orientalnych rysach. Jako jedyny chyba nie zdawał sobie sprawy, że Letizia jest w nim zakochana. To było jak dobra kolacja z telenowelą na żywo w bonusie. Czego chcieć więcej?

– Co cię martwi? Coś z Marinellą, prawda? – Przysiadła się do jego stolika, wytarła ręce o fartuch. Nieznacznie podniósł wzrok znad talerza pełnego rigatoni z sosem mięsny.

– Wcześniej czy później musisz mi zdradzić, co dodajesz do tego sosu. Mój żołądek po prostu sam się otwiera, nawet kiedy wcale nie jestem głodny. A przy okazji wyjaśnisz, jak czytasz w myślach. Marinella idzie na imprezę urodzinową. Dzisiaj wieczorem.

– No i w czym problem? Urodziny to chyba nic groźnego.

– Nic groźnego... Teraz wszystko jest niebezpieczne, jeśli masz piętnaście lat i jesteś ładną dziewczyną. Wiesz, że najczęściej do pierwszych eksperymentów z narkotykami dochodzi właśnie przy takich okazjach?

Letizia się zaśmiała.

– Zwariowałeś, jakie znów narkotyki. Zamiast się cieszyć, że wreszcie ma przyjaciół. A poza tym... Daj spokój, sam powinieneś pójść na jakąś imprezę. Robisz się stary i zgorzkniały, Peppuccio.

Poza jego kumplami z młodości ona jedyna używała tego zdrobnienia.

– Gdybym nie był stary i zgorzkniały, to myślisz, że bym tu przychodził jeść?

Już miała odpowiedzieć równie zaczepnie, kiedy zadzwonił telefon Lojacono. Na wyświetlaczu pojawiło się imię „Laura”, co nie umknęło uwadze Letizii. Inspektor przeprosił, wziął komórkę i wyszedł na zewnątrz, śledzony wzrokiem nagle posmutniałej restauratorki i zaciekawionych gości.

– Cześć, jak pierwszy dzień w nowej szkole?

Sardyński akcent i wesoły ton wprawiły Lojacono w dobry humor, choć zaraz za drzwiami chlusnęła w niego fala deszczu. Z jakiegoś powodu nie miał ochoty rozmawiać z Laurą przy Letizii.

– Cześć, jak zwykle wiesz wszystko, możesz zdradzić skąd?

Zaśmiała się, a Lojacono wyobraził sobie jej dołeczki w policzkach.

– Pamiętaj, jestem prokuratorem, nic się przede mną nie ukryje. Jeśli coś mnie interesuje, zawsze się dowiem. No jak poszło?

– Co mam powiedzieć? Komisarz Palma wydaje się fajnym gościem. Inni, cóż, chyba znają się na rzeczy, z wyjątkiem jednego chłopaczka, który wygląda na gnojka.

Laura się namyśliła.

– Hm... to musi być Aragona. Opalony na solarium, ubrany jak z serialu kryminalnego?

– Założyłaś podsłuchy? – zapytał Lojacono rozbawiony. – Tak, to on. Skąd o nim wiesz?

– Pracował wcześniej w komendzie miejskiej, próbowali go wcisnąć każdemu, nawet ja go dostałam do obstawy, domyśliłam się, że wreszcie odesłali go tam. To krewny prefekta nie wiem skąd, nic koleśowi nie mogą zrobić. Nie pozwól mu prowadzić samochodu, bo to świr, raz mało go nie udusiłam. A poza tym? Jakies spódniczki?

Tu cię mam, pomyślał. Kluczowe pytanie.

– Dwie. Jedna pani już pracowała w tym komisariacie. Druga... dziwna dziewczyna, nie patrzy nikomu w oczy i pasjonuje się bronią. A co?

Wyobraził sobie, że się zagapiła, podążając za jakąś swoją fantazją. Nie spotykali się od dłuższego czasu, ale często rozmawiali przez telefon. Tworzyła się między nimi dziwna więź, napięta jak struna wokół wzajemnej, ale przemilczanej świadomości, że się sobie podobają, i to bardzo.

– A tak, z ciekawości pytam. Może sobie znajdziesz narzeczoną, hm...?

Lekki beztroski ton. Jednak z całkiem innym podtekstem.

– Nie sądzę, przynajmniej nie tam. Może ją znajdę gdzie indziej.

Zaśmiała się, a on – ni stąd, ni zowąd – zaczął sobie wyobrażać jej biust pod bluzką.

– A może ona znajdzie ciebie któregoś dnia. Do usłyszenia, panie inspektorze. Opowiesz mi później, jak sobie radzisz w szkole.

Przemoczony i zziębnięty wrócił do restauracji. Letizia siedziała przy innym stoliku roześmiana, tyłem do niego.

Maja otworzyła drzwi, nie były zamknięte na klucz jak zwykle.

Pan notariusz musiał późno wrócić, jak mu się czasami zdarzało, i pewnie zapomniał przekręcić zamek. Już tak bywało, nie za często co prawda, ale bywało. Postawiła w przedpokoju torby z zakupami, starając się za bardzo nie zmoczyć podłogi. Potężny wiatr podnosił morze i przerzucał strugi wody przez ulice. Trudno było się rozeznać, czy pada, tyle tej wody wchłonęło powietrze.

Pomyślała o swoim mieście w Bułgarii, oddalonym od morza. Tam kiedy padało, to padało, a kiedy świeciło słońce, to świeciło na całego. Tu nigdy nie można było dokładnie stwierdzić, jaka jest pogoda.

Zdjęła płaszcz, odwiesiła do szafy w przedpokoju. Panowała cisza. Nie czuć zapachu kawy, pani jeszcze nie wstała. Dziwne, już ósma, powinna się krzątać co najmniej od godziny. Może się źle poczuła albo zabalowała poprzedniego wieczora. Maja od paru dni martwiła się o panią. Lubiła ją, bo była miła i delikatna, nigdy nie podnosiła głosu. W porównaniu z innymi pracodawczyniami wydawała się nawet cudowna. Także koleżanki, które spotykała co czwartek na placu przed dworcem, potwierdzały swoimi opowieściami, że naprawdę miała farta.

Ale pani wcale nie była szczęśliwa, na pewno. Coś ją dręczyło i to mocno. Nie zwierzała się jej wcale, była skryta, Maja z kolei nie pozwalała sobie na wścibstwo. Ale milczenie nie kłamie, jak mawiają u niej w wiosce. Słowa kłamią, milczenie nie. A w milczeniu pani, w jej wzroku utkwionym w pustce nie było radości. Coś innego, raczej strach.

Może lepiej, że postanowiła sobie dłużej pospać, pomyślała Maja. Czasami dobry sen przywraca spokój, pozwala spojrzeć optymistycznie.

Poruszała się po ciemku, kątem oka odnotowała zasunięte zasłony – a zatem nikt jeszcze nie wstał. Poszła do kuchni, chciała przygotować śniadanie: kawę z ciasteczkami. Zastanawiała się, czy pan notariusz jest w domu, przypomniała sobie, że na wieszaku przy drzwiach nie widziała jego płaszcza. Może już wyszedł, a może, co bardziej prawdopodobne, wcale nie pojawił się na noc.

Rzadko go spotykała. Kończyła pracę po południu, na długo przed jego powrotem z kancelarii. Parę razy natknęła się na niego rano, ona wchodziła, a on wychodził. I jeszcze w niektóre dni przedświąteczne, kiedy zostawał dłużej w domu. Przystojny mężczyzna, wysoki, dystyngowany, z gęstą siwą czupryną, bardzo zadbany. Ale Mai się nie podobał. Czuła na sobie jego zimny wzrok, taksował jej ciało tak, jak się ocenia krowę na targu. Aż za dobrze znała ten typ facetów. Najmniej odpowiedni dla pani.

Układając ciastka na tacy i czekając, aż się zrobi kawa, rozmyślała, jak tak źle dobrana para mogła wytrzymać razem tak długo, w dodatku bez dzieci. Dzieci łączą, dają powód do rozmowy. Cementują więź męża i żony, zostają, kiedy wszystko inne znika. Ale oni nawet tego nie mieli.

To normalne, że w takim stanie człowiek szuka czegoś, co zajęłoby umysł. A niekiedy także ciało. Pan notariusz ciągle był poza domem, między pracą a spotkaniami przy kartach, a może i jeszcze czymś innym. Pani ciągle zajęta zbiórkami dobroczynnymi, herbatkami z koleżankami, przyjęciami w klubie. I swoją kolekcją szklanych śnieżnych kul.

Dziewczyna pokręciła głową, nalewając kawę. Każdy ma swoje manie. Pani zbierała te okropne kule. Jak się nimi potrząsnęło, sztuczny śnieg wirował wśród postaci i dekoracji. Tak jej na nich zależało, że Maja nie miała prawa nawet ich odkurzać. Tylko pani to robiła, w lateksowych rękawiczkach, poświęcała na to jeden poranek w tygodniu. Tylko w tym jedynym momencie, pośród setek kul podobnych do baniek mydlanych, wydawała się naprawdę szczęśliwa.

Kolekcja była sławna, wszyscy znajomi jadący gdzieś w podróż wzbogacali ją o kolejne egzemplarze. Raz kiedyś przyszła dziennikarka, żeby zrobić właścicielce zbioru zdjęcie wśród śnieżnych cacek. Potem pani z dumą pokazywała artykuł w gazecie. Powiedziała, że kiedyś zorganizuje wystawę kul, a dochód przeznaczy na cele dobroczynne. Maja nie mogła uwierzyć, że ktoś będzie chciał zapłacić za oglądanie tych przedmiotów. Ale ludzie, wiadomo, nie takie rzeczy robią.

Stąpając ostrożnie, żeby się nie potknąć, poszła z tacą do sypialni pani. W świetle przenikającym przez zasunięte rolety zobaczyła, że łóżko jest nietknięte, a w pokoju nie ma nikogo.

Dziwne. Naprawdę dziwne.

Gdyby nagle musiała dokądś wyjechać, poinformowałaby ją przez komórkę. Kiedy miała pilne sprawy, zawsze dzwoniła, a w pierwszych słowach pytała, czy nie przeszkadza. Dlaczego teraz jej nie uprzedziła?

Poszła do salonu, gdzie stały śnieżne kule. Może pani zasnęła w fotelu z książką w ręku. Wiatr wył potępieńczo za zamkniętymi oknami, które stawały się skuteczną barierą. Morskie fale waliły o ulicę, starając się zdobyć dla siebie przestrzeń, której nie powinny naruszać.

Fotel stał pusty. Chmury na chwilę odsłoniły słońce, ostry promień oświetlił podłogę salonu i odbił się od kawałka szkła pod fotelem. Maja zauważyła, że to jedna ze śnieżnych kul i zdziwiła się, co też robi na podłodze.

Zaraz potem zorientowała się, że na podłodze leży też ciało pani z roztrzaskaną czaszką, wokół której zakrzepła plama krwi.

Taca ze śniadaniem upadła na ziemię z brzękiem tłuczonej porcelany, kawa z mlekiem rozbryzgnęła się dookoła. Maja zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła krzyczeć.

Wiceinspektor Ottavia Calabrese wyszła z komisariatu, z roztargnieniem pozdrawiając Guidę pełniącego dyżur przy wejściu. Prawie go nie poznała: nienagannie zawiązany krawat, uczesane włosy, bluza munduru zapięta na ostatni guzik. Siedział prosto ze wzrokiem utkwionym przed siebie. Zawsze dotąd traktowała go jak zbędny bibelot, swego rodzaju figurkę z gipsu, która przedstawia pijanego gliniarza czytającego gazetę sportową. Teraz przypominał prawdziwego policjanta.

Przyznała w duchu, że coś się w tym miejscu zaczyna zmieniać. To zasługa komisarza, człowieka nietuzinkowego. Od razu go tak oceniła, kiedy tylko zjawił się po raz pierwszy w jej pokoju. Uprzejmie zapukał, uśmiechnął się nieśmiało jak uczeń, który pierwszy raz przychodzi do nowej klasy.

Palma z miejsca jej się spodobał. Trochę zaniedbany wygląd, potargane włosy, podwinięte rękawy. I wesoła młodzieńcza aura, jaka zawitała razem z nim w te stare ściany. Poza tym nie miał obrączki na palcu. Kto wie: kawaler, a może rozwiedziony? Albo wdowiec? Ale wdowcy często dalej noszą obrączkę.

Ona nosiła obrączkę i nie była wdową. Zanim wsiadła do kolejki linowej, zatrzymała się w garmażerii. Nie chciało jej się gotować, poza tym było już późno. Zawsze o tej porze kończyła pracę. Wcale jej to nie przeszkadzało, robiła tak specjalnie. Od dawna praca stanowiła najlepszą część jej dnia. Dla kobiet praca nigdy się nie kończy, a policjantki mają jej wyjątkowo dużo.

Weszła do zatłoczonego wagonu, w jednej ręce torba, w drugiej pakunek z garmażerii, nie znalazła wolnego miejsca do siedzenia. Jakiś chłopaczek rozkraczony na siedzeniu spojrzał na nią wyzywająco i podkręcił głośność w słuchawkach. Potem zaczął się gapić przez okno i żuć gumę, szeroko otwierając usta.

Ottavia poczuła, że ktoś na nią napiera i ociera się o jej tyłek. Prychnęła: co wieczór ta sama historia. Zatłoczony wagon, zawsze jakiś debil ją przyuważy i się do niej przyciska. Zdawała sobie sprawę, że ma ponętne bujne kształty i jędrne ciało.

Starła się to ukryć w skromnych niemodnych ciuchach, ale to wszystko na nic. Zawsze ktoś ją sobie upatrzy, zawsze.

Nie odwróciła się, to by pogorszyło sprawę. Opuściła wzrok, dostrzegła czubek czarnego mokasy, wycelowała i nadepnęła z całej siły. Jeden cios obcasem w paluch. Stłumiony jęk i przekleństwo. Ottavia dopiero teraz spojrzała za siebie, na zaślinionego starucha, i powiedziała: „Przepraszam najmocniej, przysunie mi pan drugą nogę? To będzie symetrycznie”. Facet, patrząc na nią spode łba, zaczął przeciskać się przez tłum w poszukiwaniu innych, mniej temperamentnych i bardziej spolegliwych właścicielek tyłków.

Od kolejki do domu miała około kilometra. Sklepy były pozamykane, ale i tak droga zajęła jej więcej niż to konieczne. Moje stopy zdradzają moje serce, pomyślała. Wyciągnęła klucze z przesadnym namaszczeniem, wyobrażając sobie, że porusza się pod wodą. Potem z westchnieniem otworzyła drzwi.

– Kochanie, to ty?

Jakim cudem, do kurwy nędzy, mógł być tak wesoły, czuły i miły po całym dniu pracy? Ottavia nie potrafiła tego zrozumieć.

– Tak, a kto niby ma być? To ja.

Gaetano, jej mąż, stanął radosny w drzwiach kuchni.

– Ale wiatr, co? Antena satelitarna majta się jak flaga, da się używać tylko zwykłej. Napijesz się czegoś?

– Nie, dzięki, jestem wykończona – odparła zmęczonym głosem, zdejmując kolczyki i wisiołek. – Wzięłam coś z garmażerii, nie chce mi się gotować.

– Gotować? Żartujesz. Ja się tym zająłem. Zobacysz, będzie pycha. Fettuccine z grzybami i śmietaną, sznycelki w sosie cytrynowym. Kupiłem też czerwone wino, aglianico, takie jak lubisz. Za pięć minut będzie gotowe, odsapnij sobie.

Przed lustrem w łazience, dokąd poszła zmyć makijaż, pomyślała, że mieć za męża Supermana to za ciężka kara do zniesienia. Ceniony inżynier, świetnie zarabia, ma pod sobą piętnastu pracowników, a jeszcze wystarcza mu czasu i ochoty, by kupić aglianico i ugotować fettuccine z grzybami.

W każdym normalnym kraju zostałyby publicznie rozstrzelany na głównym placu miasta.

Weszła do jadalni i rzuciła okiem na kanapę. Jak zwykle siedział tam Riccardo. Jak zwykle z flamastrem. Jak zwykle mazał coś na kartce. Jak zwykle zamknięty w świecie, do którego nikogo nie dopuszczał.

Gaetano wszedł z dymiącą miską i śladem śmietany na brodzie.

– Do stołu! Rodzino moja, jemy! Riccardo, skarbie, widziałeś? Mama wróciła!

Chłopak powoli podniósł wzrok znad kartki i potoczył nieobecny wzrokiem po pokoju. Zatrzymał go na Ottavii i odezwał się głębokim głosem:

– Mama, mama, mamaaa...

Z kącika ust pociekła mu ślina. Ręka ciągle kreśliła kółka na kartce, koncentryczne i równe jak wyrysowane cyrklem. „Mama”. Jedyne słowo, jakie wypowiedział zrozumiale w ciągu trzynastu lat życia, pośród bełkotów, którymi komentował programy w telewizji. Nic więcej.

Nic poza tym. Żadnego okna otwartego na ten świat, którego był jedynym mieszkańcem.

Ottavia podeszła do syna, pogłaskała po twarzy, tak podobnej do jej własnej. Pomogła mu wstać, zaprowadziła go do stołu, gdzie Gaetano, gadając jak najęty o swoim wspaniałym dniu, nakładał na talerze fettuccine w ilości wystarczającej, aby wykarmić drużynę piłkarską, łącznie ze składem rezerwowym. Ottavia zastanawiała się przez moment, co takiego dziś wieczorem je na kolację komisarz Palma.

– Mama, mama – powiedział Riccardo.

Gaetano spojrzał na nią czule.

Ottavia zaczęła jeść, myśląc o tym, jak bardzo ich nienawidzi.

Ekipa Palmy zajęła starą stołówkę komisariatu. Komisarz kazał w niej zburzyć przepierzenie z płyt gipsowych, które zamieniło ładną, pełną światła salę w dwie ponure kanciapy.

Sześć biurek ustawiono tak, żeby zapewnić odrobinę dyskrecji, jeśli ktoś rozmawiał cicho przez telefon. Ale każdy mógł też łatwo nawiązać kontakt z resztą. Lojacono, zajmując miejsce koło okna, skąd było widać zamek nad morzem, przyznał w duchu, że komisarz ma pewną strategiczną zręczność zarządzania ludźmi. Jedyne sposob, żeby jakoś scalić w zespół grupę tak różnych osób, to jak najdłużej trzymać wszystkich razem. Jako jeden z pierwszych zjawił się Pisanelli, wicekomisarz od zawsze służący w Pizzofalcone. Za plecami przymocował do ściany dużą tablicę korkową i zaczął starannie przypinać pinezkami zdjęcia i wycinki z gazet. Widząc zdziwienie Lojacono, Calabrese, która gmerała przy kablach dwóch komputerów na swoim biurku, wyszeptała:

– To jego obsesja. Samobójstwa popełnione w tej dzielnicy od dziesięciu lat. Jest przekonany, że tak naprawdę to zabójstwa, zbiera materiały, żeby to udowodnić.

Pisanelli odezwał się do nich z głębi sali.

– Słyszałem cię, Ottavia. Wiem, że mówisz, że jestem starym wariatem.

Nie wydawał się zezłoszczony. Raczej zasmucony.

– Wcale tak nie mówię! – odkrzyknęła Calabrese. – Tłumaczyłam tylko, co znaczą te wszystkie wycinki i zdjęcia. Żeby Lojacono nie pomyślał, że tropisz jakąś międzynarodową siatkę przestępczą.

Pisanelli zwrócił się wprost do inspektora łagodnym tonem.

– Problem w tym, drogi Lojacono, że czasami nie widzimy dalej niż czubek własnego nosa. Wybieramy najwygodniejsze wyjście. Jeśli ktoś chce nam wmówić, że jakaś osoba popełniła samobójstwo, wystarczy napisać liścik. A mnie się wydaje, że to nie w porządku, że można wyrzucić jak starą szmatę kogoś, kto jest samotny i w depresji. Uważam, że taka osoba ma prawo do porządnego śledztwa. Nic więcej.

Aragona, ten opalony, właśnie stawiał na biurku srebrną tacę na papiery, która byłaby na miejscu w pałacu prezydenckim, ale w komisariacie wyglądała zupełnie bez sensu.

– Widać, że nie mieliście tu nic poważnego do roboty – skomentował kwaśno. – Jeśli bierzemy samobójstwa, żeby sprawdzić, czy to nie zabójstwa, to w następnym kroku możemy zacząć grać w karty.

Pisanelli spojrział na niego z wyraźną irytacją.

– No to życzę ci wielu lat zdrowia, kolego. I żebyś zestarzał się samotnie, jak większość z tych tutaj na mojej tablicy. Jak ktoś ci zrobi „samobójstwo”, zostaniesz zaraz umorzony, trafisz do archiwum i wszyscy o tobie zapomną.

Ottavia chciała się wtrącić, ale się powstrzymała i wróciła do rozplątywania kabli. Dziewczyna, która dotąd milczała – Di Nardo, z tego co Lojacono sobie przypominał – zwróciła się cicho do Pisanellego:

– Udało się jakoś powiązać te samobójstwa? Ustaliłeś coś?

Wydawała się naprawdę zainteresowana. Patrzył na nią dłuższą chwilę, żeby się przekonać, czy nie kpi z niego.

– Nie, bezpośrednich związków jeszcze nie mam. Zajmuję się tym poza godzinami pracy, gros materiałów trzymam w domu. Ale jest parę szczegółów, które dają do myślenia. Te same powtarzające się słowa w listach pożegnalnych. Fakt, że wiele z nich napisano na maszynie albo na komputerze, czego raczej ktoś nie robi w takiej ostatecznej chwili. Sposób, w jaki te osoby wzięły... no, zrobiły to... Taki niespójny, niepasujący do ich osobowości, do profilu psychologicznego. Szereg elementów, które...

Przerwał mu Romano, ten gruby, który siedział bezwładnie na krześle i tępo gapił się przez okno.

– Jak ktoś się zabija, to się zabija. To tchórzostwo, znaczy, że ktoś nie ma odwagi żyć. Życie trzeba brać na klatę, nawet jak jest do dupy.

Głos zabrzmiał jak daleki grzmot. Aragona zaśmiał się nerwowo.

– To dla ciebie facet, który skacze z trzydziestometrowego wiaduktu, jest tchórzem? Albo ktoś, kto strzela sobie w usta albo wypija butelkę kwasu? Mnie się wydaje, że trzeba więcej odwagi, żeby się zabić, niż żeby żyć.

Romano zamierzał się odgryźć, ale właśnie wszedł Palma – wyraźnie poruszony, z kartką w ręku.

– Kochani, zabawa się zaczyna. I to coś dużego: w domu przy nabrzeżu zamordowano żonę notariusza. Pojadą Lojacono i Aragona.

Spójrzmy, która to godzina?

O tej porze na pewno już cię znaleźli. Pewnie ta bułgarska gosposia. Najpierw szukała cię po całym domu, w kuchni, sypialni. Może sprawdziła, czy nie jesteś zamknięta w łazience. Ale drzwi były otwarte, za nimi tylko pustka i ciemność.

Dom pewnie wydawał się opuszczony. Nic, tylko wycie wiatru na zewnątrz. Żadnego innego odgłosu. Szła niepewnie korytarzem. Może pomyślała, że wyjechałaś.

Ciekawe, jak by to było, gdyby emocje pozostawały zawieszony w powietrzu jak zapach. Gdyby trwał zapach twojego smutnego uśmiechu, tego, który miałaś, gdy widziałem twoją twarz po raz ostatni. Ciekawe, jak by pachniał.

Na pewno zaczęła cię szukać. Poruszała się ostrożnie po dywanach, wśród mebli, uważając, żeby po ciemku niczego nie strącić. Może nawet nie zapaliła światła, bo uznała, że śpisz gdzieś, więc nie chciała cię zbudzić.

Ale nie ma takiego ryzyka, prawda? Nikt już cię nie wyrwie ze snu. Ciekawe, jak zareagowała na twój widok. Na widok tego, co z ciebie zostało, dokładniej mówiąc. Bezładna masa w półmroku pokoju, z oknami zamkniętymi, żeby zatrzymać noc.

Patrzę na zewnątrz. Ciągle wiatr. Czarne chmury pędzą po niebie. Nie pada.

Ale parę metrów od twojego martwego ciała morze ciągle wiruje i kłębi się w powietrzu, nasączając solą ściany domów. Wokół ciebie wszystko jest nieruchome, bezładne.

Te twoje kule śnieżne. Setki, tysiące. Tłoczą się na półkach ustawione w tym dziwnym porządku, jaki sobie wymyśliłaś. Sztuczny śnieg grzecznie czeka na dnie każdej z nich, aż ktoś go poruszy. Kto wie, co się z nimi teraz stanie? Trzeba się zastanowić, co z nimi zrobimy. Ze wszystkimi z wyjątkiem jednej. Tę jedną czeka inny koniec, jak sądzę. Będzie wędrować po laboratoriach i sądach, wyląduje na wiele lat w jakimś pudle na zapomnianym regale, aż ją wyrzucą. To specjalna kula. Jedyna. Ta z dziewczynką, która gra na gitarze. Ta z twoją krwią na powierzchni.

Ta, która odebrała ci ostatni uśmiech, a potem życie.

Ciekawe, co zrobi gosposia, jak się zorientuje. Kiedy zrozumie, że ta z roztrzaskaną głową w kałuży krwi to ty. Chyba będzie wrzeszczeć. A może nie. Imigranci to twardzi ludzie.

A teraz zaczyna się trudny okres. Dla mnie, dla nas, którzy tu zostaliśmy.

Nie dla ciebie.

Dla ciebie wszystko się skończyło.

Szkoda. Gdybyś tylko umiała być rozsądna. Gdybyś nie odwróciła się ode mnie plecami.

XIII

Po słowach Palmy Aragona podskoczył jak na sprężynie, gotowy do działania. Lojacocono spojrział z niemym błaganiem na komisarza, który jednak postarał się tego nie zauważyć, przenosząc wzrok w inną stronę.

– Ja poprowadzę, wiem dobrze, gdzie to jest – krzyknął młody i złapał kartkę z danymi.

Palma wzruszył ramionami.

– Róbcie, jak chcecie, nie ma pośpiechu. Na miejscu już są dwa radiowozy. Lekarz sądowy i ekipa kryminalistyczna mają się zjawić potem. Spory ruch o tej porze.

Lojacocono założył płaszcz.

– Naprawdę? – odezwał się ironicznie. – Musicie mi kiedyś zrobić rozpisę, kiedy w tym mieście nie ma dużego ruchu. Może w sierpniowe święto...

Wzięli mały nieoznakowany samochód zaparkowany na dziedzińcu. Aragona uruchomił silnik, zanim Lojacocono zdążył wsiąść, i ruszył ostro, kiedy inspektor jeszcze trzymał jedną stopę na ziemi.

– Zwariowałaś? Chcesz kogoś przejechać? Fajny początek, nie ma co, pozabijamy trochę ludzi z dzielnicy, przecież i tak nas szanują.

Młody prowadził tak, jakby jechali po pustej drodze, przechodnie rzucali się do ucieczki. Lojacocono kątem oka dostrzegł staruszkę, która odskoczyła ruchem godnym baletnicy i usłyszała bluzg w dialekcie, skierowany pod adresem kierowcy. W pełni się z nią zgadzał, choć nie rozumiał słów.

– Spoko, Loja', wyluzuj. Skończyłem zaawansowany kurs jazdy, wiem, co robię.

– A gdzie go skończyłeś? W pierdlu? Słyszałeś, że nie ma po co się spieszyć. Po chuja tak pędzisz?

Ale Aragona nie zwolnił.

– To zaszczyt pracować z facetem, który dopadł Krokodyla! Parę tygodni nie mówiło się o niczym innym, tylko o tym, jak żeś wystawił do wiatru wszystkich

komisarzy od tej sprawy. Jesteś legendą!

Kurczowo trzymając się uchwytu, Lojacono wycedził przez zęby:

– Na niewiele mi się to zdało. W każdym razie do domu mnie nie odesłali.

– A to już inna para kaloszy. Doszły mnie słuchy, że ktoś w twoich stronach uważa, że naprawdę kontaktowałeś się z mafią. Choć dowodów brak. Ale nie rozpaczaj, jeśli będziesz dobrze pracował, to w końcu cię odeślą.

Lojacono spojrział na kolegę, który najwyraźniej próbował zabić każdego, kto mu się napatoczy przed maskę.

– A co ty możesz wiedzieć o moich sprawach, Arago’?

– Wiem mnóstwo rzeczy. Mówiłem ci, pracowałem w centrali. Tamtędy przechodzą wszystkie papiery. Jak ktoś ma znajomości, to zawsze odkryje to, co chce odkryć. Jak tylko pojawiła się sprawa nowej obsady w Pizzofalcone, przeczytałem teczkę wszystkich ludzi, których komisariaty z miasta chciały się pozbyć. Niezła zbieranina desperatów.

– No to dlaczego też dałeś się zesłać? Z tego co rozumiem, mogłeś wybrać sobie lepsze miejsce, nie?

– Ale dla mnie to jest idealne. Pomyśl tylko: tu się zdarzył ciężki skandal, który splamił policję w całym mieście. Chcieli zamknąć ten bajzel, ale w końcu przysłali najbardziej porąbanych gliniarzy, jakich mieli pod ręką. Kapujesz?

Lojacono zauważył, że kiedy Aragona mówi, jedzie trochę wolniej. Postanowił więc poddać się męce wysłuchiwania jego bredni, żeby uratować życie paru niewinnych pieszych.

– Kapuję, i co dalej?

– Wiesz, jak nas nazywają gliny z miasta? Bękarty z Pizzofalcone. Nie wydaje ci się to piękne?

Lojacono wzruszył ramionami.

– Nic mi się nie wydaje. Co w tym pięknego?

Młody spojrział na niego i o mało nie przejechał rowerzysty, który na szczęście w porę odskoczył na chodnik.

– Piękne jest to, że jeśli zrobimy coś dobrego, to zostaniemy bohaterami. A jeśli nie zrobimy nic, wszystko zostanie po staremu.

– A tobie nie zależy, żeby dobrze wykonywać swoją pracę? Co jeśli ktoś chce służyć w policji, żeby naprawdę być policjantem?

– Co ty sobie myślisz? Oczywiście że to najważniejsze. Ale trzeba też dbać o karierę, nie? Jeśli kogoś wcześniej wyrzucili, tak jak całą naszą czwórkę, trudniej udowodnić, że się jest dobrym. Ale dlatego to też dodaje energii.

– Wyrzucili? Przesada.

Aragona zrobił poważną minę.

– Słuchaj, obejrzałem sobie teczki. Mogę cię zapewnić, że na każdego z nas są jakieś haki w papierach. Choćby taka Di Nardo, cicha dziewczyna, ta od broni. Wiesz, że regulamin zakazuje noszenia w komisariacie nabitej broni bez zabezpieczenia. A ona nawet strzelała w komisariacie. Mało brakowało, żeby zabiła kolegę. Niesamowite, co?

Lojacono, podskakując na siedzeniu, musiał przyznać rację.

– Jasne. Nie wygląda na szybkostrzelną ta dziewczyna. A tamten koleś...

– Romano, Francesco Romano. Wiesz jak go nazywali koledzy? Hulk. Ale po kryjomu, bo w przeciwnym razie nogi by im z dupy powyrywał. Nie panuje nad swoją siłą ani złością. Za trzecim razem jak zaczął dusić podejrzanego, to go zawiesili. Kiedy skończyła mu się odstawka, przysłali gościa do nas.

Lojacono przytaknął.

– Hmm... rzeczywiście wygląda na nerwowego. O mnie wiesz wszystko. A ty?

Chłopak przeszedł do defensywy.

– No cóż, drogi kolego, w moim przypadku fakt, że jestem... że noszę pewne nazwisko, spowodował wygórowane oczekiwania. A kiedy wszyscy na ciebie patrzą, w końcu robisz jakieś głupoty. Albo każą ci je robić. Ale chrzanię to, wcześniej czy później udowodnię, że się mylili. Może z twoją pomocą właśnie. Dobra, dojechaliśmy. Widzisz, dwie minuty?

Lojacono wyskoczył z wozu.

– Muszę sobie kiedyś przypomnieć, jak się dziękuje Panu Bogu za zachowanie przy życiu. Następnym razem ja prowadzę, jasne? Idziemy.

Wyszli, smagani przez wiatr i morze, które przelewało się przez jezdnię.

XIV

Pomimo złej pogody zebrał się tłumek gapiów. Brama do kamienicy była usytuowana prostopadle do alei biegnącej wzdłuż morza. Wchodziło się w nią z placu, który szedł w głąb lądu, a z drugiej strony sąsiadował z parkiem Villa Comunale.

– To bogata okolica, prawda? – Lojacono przekrzykiwał wiatr.

Aragona pokiwał głową, otulając ciasniej szyję kołnierzem płaszcza.

– I to jak, stary! Najbogatsza w mieście. Domy nad morzem, te nieruchomości nie mają ceny. Wszystko zabytki.

Przed bramą stały dwa radiowozy i karetka z włączonym kogutem. Lojacono pokazał odznakę i zapytał jednego z policjantów, od kiedy są na miejscu.

– Ze dwadzieścia minut, inspektorze. Dziesięć minut temu dojechał lekarz sądowy. Czwarte piętro.

– To znaczy, że zadzwonili do nas z poślizgiem – skomentował Aragona. – Chwilę nad tym myśleli. Jeszcze nam nie ufają, to oczywiste.

Wchodząc, Lojacono przystanął, żeby przypatrzeć się drzwiom w bramie – nie nosiły śladów włamania. Skierował się na szerokie marmurowe schody.

Aragona, który już zmierzał do windy, poszedł za nim.

– Hej, to czwarte piętro, czemu idziesz po schodach?

Inspektor wchodził powoli, patrząc na niskie stopnie z błyszczącego kamienia.

– Bo morderca nie ściąga sobie windy, żeby zwiać. Przynajmniej nie zawsze. A jak ktoś ucieka, to może po drodze coś zgubić. Albo niechcący upuścić. Słuchaj, muszę pracować, a nie przeprowadzać szkolenie. Patrz, co robię, i nie zwracaj dupy. Jeśli naprawdę nic nie rozumiesz ani nie jesteś w stanie wydedukować, to zapytaj, odpowiem. Dobra?

Aragona zrobił obrażoną minę.

– Pamiętaj, że też pracuję w pionie śledczym, szkoliłem się, mam pojęcie o robocie. Tylko że chcę to wszystko sprawdzić w praktyce, bo nie było dotąd

okazji.

– Tak czy siak, na schodach nie widzę niczego. Albo zabójca był ostrożny, albo miałeś rację i zjechał windą. Albo uleciał z wiatrem.

Na czwartym piętrze znajdowały się tylko jedne drzwi z ciemnego drewna, bez tabliczki, z małym czerwonym guzikiem dzwonka, obramowanym lwią paszczą z brązu na framudze. Aragona z namaszczeniem zbadał brzeg drzwi, czy nie ma tam śladów włamania. Lojacocono nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu.

Po przejściu drugich drzwi z matową szybą z monogramem wchodziło się do przedpokoju. Światło dzienne wpadało przez kolejne drzwi, zza których dochodziły odgłosy żywiołowej rozmowy. Lojacocono i Aragona skierowali się w stronę głosów.

– Ile razy jeszcze mam to powtarzać? Sto, tysiąc, ciągle to samo. Nie wolno wam niczego dotykać, jasne? Niczego, dopóki się nie zjawię ja i faceci z kryminalistyki. To jest, kurwa, elementarz! Czego was uczą na szkoleniu?

Mówił to postawny facet około czterdziestki, z krótko ostrzyżonymi włosami. Nosił gruby sweter i dżinsy. Mundurowy próbował protestować:

– Doktorze, nic takiego nie zrobiłem. Otworzyłem tylko okno, żeby wpuścić trochę powietrza, straszny tu zaduch. A poza tym nic nie było widać, mogliśmy coś nieumyślnie potrącić. Zaraz zamknąłem z powrotem...

Lekarz nie dał się przekonać.

– Nie ma żadnego zaduchu, bo trup dość świeży, a poza tym widziałeś, jaki wiatr na dworze? Jesteśmy na czwartym piętrze. Jakby tu leżały jakieś papiery, wszystko by pofrunęło.

Lojacocono uznał, że czas się wtrącić.

– Doktor ma rację, przykro mi, że tak późno nas zawiadomiono, bobyśmy zabezpieczyli miejsce. – Podszedł do lekarza, który założył fartuch i rękawiczki. – Witam, inspektor Lojacocono i aspirant Aragona z komisariatu w Pizzofalcone.

Lekarz przyjrzał się im, jeszcze naburmuszony.

– Pizzofalcone? Nowa załoga? Mam nadzieję, że lepsza. Zresztą trudno, żebyście byli gorsi od tamtych. Lucio Marchitelli, lekarz sądowy. To ja jestem tym farciarzem, któremu przypada dyżur w tej dzielnicy.

Lojacocono zaczął się rozglądać. Dziwne miejsce. Obszerne pomieszczenie z dwoma balkonami, z czego jeden miał otwarte okiennice, i dwojgiem drzwi. Stół,

cztery krzesła, fotel obciągnięty oliwkowozieloną skórą. Wzdłuż długiej ściany regał z ciemnego drewna robiony na wymiar, z pięcioma głębokimi półkami, w całości zajętymi przez kilka rzędów podobnych przedmiotów: przez szklane kule ze sztucznym śniegiem.

Policjant w mundurze podszedł i zasalutował:

– Posterunkowy Cuomo Gennaro. Przyjechaliśmy jako pierwsi z centrali. Na rozkaz.

Lojacono patrzył na podłogę. Zamordowana kobieta w średnim wieku leżała na brzuchu, różowy szlafrok lekko podciągnięty ponad kolana. Skarpetki, jeden pantofel na stopie, drugi nieco obok. Zszarzała twarz, jeden policzek przytulony do ziemi. Widoczne oko, półotwarte, bez wyrazu patrzyło na panoramę zakończonego żywota. Uchylone usta. Regularne rysy, pomyślał Lojacono. Ale ogólnie dało się zauważyć otyłość, opuchnięte kostki, zbyt pulchne nogi.

Nieopodal przewrócona taca, rozlana kawa, rozsypane ciastka. Potłuczona filiżanka.

Znów skupił się na zwłokach: ciemna plama krwi na czaszce. Podobna przy głowie, na dywanie.

– Kto znalazł ciało?

– Bułgarska gosposia, nazywa się... – Cuomo zajrzał w kartkę i wydukał: – Nikołajewa Iwanowa Maja, to ostatnie to imię. Młoda dziewczyna, siedzi tu obok i płacze. Mówi, że nie chce więcej tego oglądać. Ofiara to De Santis Cecilia, po mężu Festa. Mąż, Arturo Festa, notariusz. Gosposia twierdzi, że nie wie, gdzie w tej chwili pan przebywa.

Lojacono przywołał Aragonę.

– Pogadaj z tą Bułgarką, znajdź numer do kancelarii notarialnej, cokolwiek, żeby go odnaleźć. Chcę wiedzieć, gdzie się podziewa.

Policjant ruszył w głąb mieszkania zadowolony, że dostał zadanie. Lojacono przeniósł wzrok na lekarza, do którego dołączył asystent – skrupulatnie notował w zeszycie to, co jego zwierzchnik wypowiadał, krążąc dookoła zwłok.

– Dobra, Matteo, przede wszystkim powiedz facetom z kostnicy, że muszą poczekać, bo jeszcze zbadamy ubrania i całą resztę, w ten sposób nie będzie problemu, że w czasie transportu zatrą się ślady. I pisz dalej.

Wyciągnął ze skórzanej torby narzędzia i zaczął recytować swoją litanie. Ręce przesuwały ciało i dotykały tkanek, wtykały termometry, zwinnie przekręcały kończyny. Martwa kobieta poddawała się miękko, jak manekin. Lojacoño słuchał, chłonał każdy szczegół. Wiedział, jak istotne są pierwsze dane.

– Temperatura otoczenia w pobliżu zwłok dwadzieścia stopni. Kaloryfery włączone, ale na małą moc. Ciało w pozycji leżącej, z głową zwróconą w lewo, prawa połowa twarzy spoczywa na podłodze, prawa ręka częściowo zgięta, lewa wzdłuż tułowia. Kończyny dolne proste, ułożenie równoległe. Stopy zwrócone do wewnątrz. Ofiara ubrana w jedwabny różowy szlafrok, pasek na miejscu, pod spodem koszula nocna. Kremowa, z koronkowym wykończeniem. Cieliste rajstopy, majtki tego samego koloru, koronkowe. Na szyi łańcuszek... biały. Po odwróceniu zwłok stwierdzono, że do łańcuszka są przymocowane okulary do czytania w czerwonej oprawie, prawe szkło pęknięte przy mostku. Ubrania zostaną przekazane do dalszych badań na obecność śladów biologicznych. Ciało długości stu sześćdziesięciu dziewięciu centymetrów, rozmieszczenie tkanki tłuszczowej typowe dla budowy kobiecej. – Lekarz przyklęknął w pobliżu twarzy. Westchnął. – Powieki otwarte. Rogówka lekko zmętniała, w kąciach oczu złogi wapnia. Z jamy ustnej wyciek strużki różowej cieczy. Z ucha lewego wyciek krwi, częściowo zakrzepła na ziemi, częściowo wokół małżowiny usznej i z tyłu policzka.

Wstępne oględziny zewnętrzne ujawniają w okolicy potylicznej lewej obecność miękkiego zgrubienia, które wskazuje na krwotok pod czepcem ścięgnistym. Pomimo gęstych włosów można stwierdzić obecność znacznego siniego przebarwienia skóry w okolicy potylicznej. Dalsze oględziny wykazują pośrodku tego obszaru obecność linearnej rany o długości około półtora centymetra. Po nieznacznym rozchyleniu brzegów stwierdza się obecność tkanek naderwanych wskutek uderzenia z niewielkim wpływem krwi. Pozostała powierzchnia skóry głowy nie nosi śladów urazowych. – Odwrócił ciało, delikatnie rozchylił szlafrok i uniósł koszulę nocną. – W okolicy pępka stara blizna długości centymetra. Kolejne dwie blizny po pół centymetra każda na linii łączącej kolce biodrowe, odpowiednio pięć centymetrów na prawo i lewo od linii pośrodkowej. Tego rodzaju ukształtowanie blizn pozwala wnioskować o przeprowadzonej laparoskopii.

Nie stwierdza się materiału obcego pochodzenia pod paznokciami rąk. Paznokcie są w dobrym stanie, bez uszkodzeń lakieru w kolorze białym. Stężenie pośmiertne zachodzi we wszystkich częściach ciała. Stwierdzono obecność plam opadowych

w przedniej części ciała, zgodnie z ułożeniem na brzuchu. Temperatura w odbycie dwadzieścia sześć i pół stopnia. Oględziny zakończono o godzinie dziewiątej. I dopisz, że okno było zamknięte.

Lojacono, patrząc ponad sylwetką zgnębnego Cuomo, który stał ze wzrokiem wbitym w czubki butów, dostrzegł panoramę ciągnącą się za otwartym oknem. Niesamowite widowisko stworzone przez wiatr, morze i niebo, z półwyspem zamykającym zatokę jako tłem. Jeśli ktoś ma tyle szczęścia, że mieszka w takim miejscu, powinien siedzieć i cały czas gapić się przez okno, pomyślał. A nie dać się zabić w szlafroku, ciosem w głowę.

– Doktorze, ma pan jakieś pojęcie, kiedy to się mogło wydarzyć?

Lekarz wstał z trudem, ściągnął rękawiczki.

– Inspektorze, na razie mogę stwierdzić, że obecna tu pani zmarła od dziewięciu do jedenastu godzin temu. Otrzymała mocne uderzenie w potyliczną część czaszki. Więcej teraz panu nie powiem. Nie widzę śladów walki. Zabierzemy ją do kostnicy na sekcję.

Skinął głową i wyszedł dokładnie w chwili, gdy nadchodziła ekipa kryminalistyczna w białych kombinezonach. Zaraz miał się zacząć inny spektakl, z flesztami i białym proszkiem rozsypywanym na wszystkich powierzchniach w poszukiwaniu śladów. Ale brakowało czegoś kluczowego. Inspektor miał nadzieję, że zabójca tego ze sobą nie zabrał. Dobrze wiedział, że możliwość wykrycia winnego zależy od szybkiego znalezienia tej rzeczy.

Przykucnął. Spod skórzanego fotela patrzyła mu prosto w oczy hawajska dziewczyna zamknięta w szklanej kuli. Poplamionej krwią.

Młodszy aspirant Francesco Romano wspomina poprzedni wieczór. A ściślej swój powrót do domu.

Myśli, siedząc w biurze, wgapiony w chmury pędzone przez wiatr. Podczas gdy reszta kolegów kręci się koło swoich zbędnych biurków tak, jakby urządzali prawdziwą przeprowadzkę. Gównu mnie obchodzi nowe biurko, zaklął w duchu. A co ja jestem? Biurwa jakaś? Księgowy? Jestem policjantem. W każdym razie mógłbym być, gdyby mi pozwolili.

Bębni palcami lewej ręki w blat, prawą trzyma w kieszeni. Zawsze ją trzyma w kieszeni, żeby nad nią panować, żeby nikt jej nie zobaczył. Myśli o tej ręce jak o niezbyt udomowionym zwierzęciu, jednym z tych niebezpiecznych psów zakazanych przez prawo, które można wyprowadzać tylko na grubej krótkiej smyczy, w solidnym kagańcu. Tylko że na tę rękę Romano nie jest w stanie nałożyć żadnego kagańca. Wczoraj też się nie udało.

Był w szczególnie złym humorze. Pierwszy dzień w nowym miejscu pracy docisnął do dna jego depresję. Zesłali go do miejsca pełnego przegranych ludzi. Do komisariatu sławnego na cały region z powodu zdrady i fatalnej pracy dawnej załogi. Zrobili z niego Bękartą z Pizzofalcone. I to kogo? Jego, który rozwiązał dziesiątki spraw. Jego, najuczciwszego i najbardziej nieprzekupnego gliniarza pod słońcem. Właśnie jego. Wystarczy tylko spojrzeć na tych jego nowych kolegów. Jakby się urwali ze składu zepsutych rzeczy. Policyjny śmietnik, nic więcej. Jeden podejrzany o kontakty z mafią. Młody koleś z protekcją, który udaje policjanta. Psychopatka z fiołem na punkcie broni. Spokojna gospodyni domowa. Stary pies, który w każdym samobójstwie widzi ślady zabójstwa.

A do tego komisarz z tym swoim udawanym entuzjazmem akwizytora odkurzaczy. Jakim cudem się znalazł wśród nich? Dlaczego trafił do tego szamba?

Wszystko przez tę rękę, myśli. Przeklętą prawą rękę uwięzioną w prawej kieszeni spodni. Uwięzioną aż do chwili, kiedy znów wyjdzie i narobi nowych szkód.

Pamięta ostatni raz, ten, po którym go zawiesili. Pamięta wkurwiającą mordę drobnego cwaniaczka z camorry. „Nic mi nie zrobicie”, mówił mu, śmiejąc się w twarz. „Nic, zupełnie nic. Ja wiem i wy wiecie, że miałem przy sobie koks i władowałem magazynek w tamtego skurwiela. Ale wywaliłem pistolet do studzienki, a najpierw go wyczyściłem, więc możecie mi naskoczyć. Mam dobrego adwokata, naprawdę dobrego. Wiesz co, glino? Mogę cię zapewnić, że dzisiaj wieczorem to ja wyjdę stąd pierwszy przed tobą”. A Romano wiedział, że to prawda. No i ręka sama złapała za gardło tego gnojka, nie był w stanie nad nią zapanować.

Dziesięć dni zawieszenia. A ten idiota komisarz cedził, aż ślina ciekła mu obleśnie z kącików ust: „Romano, w tym komisariacie z tobą koniec. Zabieraj swoje rzeczy, bo już tu nie wrócisz”. I tak się stało.

Dziesięć dni siedzenia w domu. Bez żadnej roboty. Nie czyta książek, nie słucha muzyki, nie ogląda telewizji. Puszczają głupie filmy z policjantami jeszcze bardziej lipnymi niż Aragona, ten opalony chłopak, który wygląda jak parodia gliny, a teraz jest jego kolegą z pracy. No, można totalnie zwariować, myśli Romano. To jasne, że czasem się robi rzeczy, których by normalnie człowiek nie robił.

Giorgia. Tylko ona dotrzymywała mu towarzystwa. I jeszcze bardziej wnerwiała go tymi długimi spojrzeniami z ukosa, tym ukradkowym, bezustannym spoglądaniem. Od kiedy są po ślubie? Osiem lat. Bez dzieci, nie zjawily się, to niczyja wina. Analizy, próby, obliczanie dni płodnych, jej płacz w poduszkę, kiedy udawała, że śpi. A potem cisza. Mnóstwo ciszy zawieszzonej w powietrzu jak koszmary zaduch, jak nieznośny wyziew. W takich przypadkach chwytasz się pracy. Zwłaszcza jeśli jesteś w niej dobry. Zwłaszcza jeśli praca to pasja i coś, co się chciało robić już od dziecka. A potem nagle cała praca idzie się pieprzyć. I on razem z pracą.

Poprzedniego wieczora Romano nie zastał jej w domu. Wyszła. Może na spacer albo do ojca, starego durnia, do którego chodziła się wyplakać na swój gorzki los.

Zimny ciemny dom. Po pierwszym dniu spędzonym na śmietniku, po tym jak został Bękartem z Pizzofalcone.

Kiedy wróciła, po niecałej półgodzinie, siedział zapadnięty w sobie, po ciemku. Podeszła do niego, wymamrotała jakieś usprawiedliwienie, bo przecież oczekiwał, że będzie miał ją blisko w tak trudnej skomplikowanej chwili. Gdyby na niego nie spojrzała, gdyby się nie odzywała, byłoby lepiej. Ale ona tym cholernym płaczliwym głosem, litościwym tonem, wyszeptwała: „Przepraszam, przykro mi. Przykro mi”.

Litujesz się, Giorgia? Jestem dla ciebie żaloszny? Ręka za niego przemówiła. Zanim zdążył pomyśleć, zanim mógł obmyślić jakąś odpowiedź, ręka zmieniła się w zwierzę i wyskoczyła. Uderzyła na odlew, prosto w tę wargę wygiętą w litościwy grymas. Teraz, nazajutrz, siedząc przy swoim nowym niepotrzebnym biurku, młodszy aspirant Francesco Romano, którego za plecami koledzy przezywali Hulk, czuł ranę na grzbiecie dłoni schowanej w kieszeni. Zranił ją lewy siekacz żony – na szczęście się nie ułamał od ciosu. Romano nie ruszył się z kanapy całą noc. Słyszał długo, jak Giorgia łka w ich łóżku. Absurdalnie czekał, aż powie mu: „No chodź, nic się nie stało. Chodź do łóżka, zapomnijmy o tym”. Ale nie powiedziała tak.

Kiedy zaczęło szarzeć, wstał i poszedł do niej. Wreszcie spała, z chusteczką w zaciśniętych palcach, wokół oczu miała zmarszczki. Górna warga, ta, w którą uderzył, spuchła.

Boże, jak on kochał Giorgię.

Boże, jak on jej nienawidził.

Akwizytor odkurzaczy zajrzał do sali z tym swoim wstrętnym entuzjazmem.

– Romano i Di Nardo, chodźcie do mnie. Mamy zgłoszenie, trzeba sprawdzić.

XVI

Lojacono powiedział tym w białych kombinezonach, że pod fotelem znajdują szklaną kulę, która wzbudziła wielką sensację jako narzędzie zbrodni, i dołączył do Aragony w kuchni. Aspirant stał z notesem w ręku. Przed nim, skulona na krześle, z chustką przyciśniętą do ust siedziała ładna blondynka o oczach czerwonych od płaczu. Aragona zameldował, że to bułgarska gosposia Maja Iwanowa Nikołajewa.

Inspektor dołączył do przesłuchania. Dowiedział się, że dziewczyna była bardzo przywiązana do zmarłej De Santis Cecilii, która zaiste wydawała się prawdziwą świętą. Dobra, uprzejma, hojna i tak dalej, nigdy nie dawała powodu, żeby się na nią skarżyć. Lubiły się nawzajem i tak dalej. Zmarła bardzo ceniła jej pracę i tak dalej.

Nie, nie mieli innej służby, w domu mieszkała tylko zmarła i jej mąż, nieobecny notariusz. Często nie wracał na noc do domu, był cenionym i ważnym specjalistą. Nierzadko w celach zawodowych udawał się poza miasto i tak dalej. Pani za to na ogół całe dni przesiadywała w domu, zajmowała się swoją kolekcją śnieżnych kul, widzieli panowie te kule? Sama je odkurzała i ustawiała w odpowiednim porządku. Tego dnia, tak samo jak w inne dni, dziewczyna przyszła do pracy, przygotowała śniadanie dla pani, która...

– O mamó, upuściłam tacę w salonie! Muszę sprzątnąć, tam wszystko teraz zabrudzone!

Już zamierzała wstać, ale Lojacono zatrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu.

– Nie ma co się teraz martwić o salon, proszę pani. Koledzy przeprowadzają tam badania. Proszę mi powiedzieć: czy wie pani o jakichś groźbach, które mogła otrzymać zmarła? Albo czy ktoś z jakiegoś powodu był jej wrogiem?

Bułgarka wytrzeszczyła oczy.

– Nie, pani dobra i uprzejma ze wszystkimi. Wszyscy lubią, nikt nie jest zły na panią.

No jasne, westchnął w duchu Lojacono. Naturalnie. Nikt nie jest zły na panią.

– Potrzebujemy numeru telefonu do męża, musimy natychmiast znaleźć pana notariusza.

Maja pokręciła głową.

– Nie mam, nigdy z nim nie rozmawiam. Ale na tablicy jest wypisany numer do biura.

Wskazała głową czarną niedużą tablicę, przymocowaną do ściany. Na tablicy, starannym charakterem pisma napisany był numer, a obok informacja: Kancelaria Artura. Lojacono zastanawiał się, czy to dobry pomysł, żeby od razu go powiadamiać o wszystkim. Dzięki temu uniknąłby sytuacji, że wiadomość przekaże jakiś podwładny, co by pozwoliło łatwiej kontrolować reakcje. Myśląc o tym, zdał sobie sprawę, że jak zawsze mąż jest pierwszym podejrzanym.

– Możemy sprawdzić komórkę ofiary, pewnie tam znajdziemy numer męża – zaproponował Aragona, czym go zaskoczył.

– Słusznie. Sądzę, że telefon leży w sypialni, skoro go nie ma w salonie. I jeszcze jedno: przejdź się z tą panią po mieszkaniu, obejrzyjcie wszystko uważnie. Zorientuj się, czy czegoś brakuje, zwłaszcza jeśli chodzi o wartościowe przedmioty.

Jakby szedł tropem tej samej myśli, Lojacono wybrał numer komisariatu. Po pierwszym dzwonku odpowiedział Guida. Kiedy inspektor się przedstawił, głos dyżurnego stał się jasny i wyraźny, można było sobie łatwo wyobrazić, że funkcjonariusz prostuje się na krześle. Poprosił o połączenie z Ottavią Calabrese.

– Słucham cię, Lojacono.

– Skończyłaś podpinać komputery?

– Jestem gotowa. Co tam macie? Czego potrzeba?

– Wszystko mniej więcej pod kontrolą. Faceci z kryminalistyki wzięli się do pracy, zwłoki zabrane do kostnicy. Możesz mi znaleźć coś w sieci?

– Jasne, czego mam szukać?

– Zmarła była żoną notariusza, zdaje się ważnego, bo dom jest naprawdę bajeczny. Nazywała się Cecilia De Santis, on to Arturo Festa.

– Chcesz czegoś szczególnie?

– Nie, na razie nie. Wszystkie istotne dane, na jakie trafisz. Oddzwoń zaraz na komórkę, jak trochę pozbierasz.

Ottavia miała zamyślony głos.

– Wyszukiwarka wypluła mi adres kancelarii, niedaleko stamtąd, via dei Mille 32, pięć minut piechotą. A co do reszty to zaraz zadzwonię. Czy coś przekazać

komisarzowi?

Lojacono zastanowił się chwilę.

– Powiedz mu, żeby skontaktował się z prokuratorem i zawiadomił, że zaczęliśmy czynności śledcze.

– Aragona będzie ci towarzyszył w drodze do kancelarii?

Wydało mu się, że koleżanka mówi to ironicznie.

– Niestety tak. Ale tym razem idziemy na piechotę. I dam ci radę: nigdy, ale to przenigdy nie wsiadaj z nim do samochodu. Rozumiesz?

Wybuchła śmiechem.

– Już mnie uprzedzało paru kolegów z centrali. Do potem.

Aragona wrócił do kuchni w towarzystwie gosposi, trzymając telefon przez chustkę.

– Wszystko słyszałem, uważaj! Jesteś bezpieczniejszy ze mną w samochodzie, nawet jak jadę dwieście na godzinę, niż siedząc tu z komórką w ręku, zapewniam. W każdym razie tu jest telefon pani Cecylii. Leżał na komódce, wyłączony, ładował się. Nie dotykałem go gołą ręką, dobrze zrobiłem?

Lojacono westchnął.

– Za dużo seriali oglądasz. Ale rzeczywiście lepiej jeden środek ostrożności za dużo niż za mało. Idźcie sprawdzić, czy czegoś nie brakuje.

Włączył urządzenie, poczekał na zasięg. Sprawdził ostatnie połączenia aż do poprzedniego wieczora, pamiętając, że według lekarza śmierć nastąpiła maksymalnie jedenaście godzin wcześniej. Kilka numerów nieznanymi, raz „Adele”, dwa razy „Monica”, raz „Arturo”. Jako ostatni, o dwudziestej drugiej dziesiątej.

Przez moment miał pokusę zadzwonić do notariusza z tego samego telefonu, ale uznał, że lepiej nie zmieniać zawartości pamięci aparatu. Zapisał numer w notesie i oddał komórkę kolegom z ekipy, żeby sprawdzili odciski i zabrali go do analizy technicznej.

Zamierzał teraz pójść do kancelarii notarialnej pod adres podany przez Ottavię, w nadziei, że już ktoś tam jest. Lubił patrzeć w twarz osobom, które powiadamiał o zbrodni. Z twarzy można wyczytać mnóstwo rzeczy.

Kiedy zbliżał się do drzwi, prawie zderzył się z podekscytowanym Aragoną.

– Miałeś rację, brakuje trochę sreber, rzeczy, które stały na stole w pokoju ze zwłokami i w przedpokoju.

– Tylko to?

– Tak, w sypialni kobiety jest wszystko. Szkatułka z biżuterią w komplecie, na komódce leżą jeszcze kolczyki i naszyjnik. Zdjęła do spania. A w pracowni męża, która była zamknięta, jest złoty przycisk do papierów, moim zdaniem wart tyle, co cały ten dom, łącznie z meblami, i zajebista kolekcja monet w gablocie. Wszystko na miejscu, z wyjątkiem paru sreber. Według dziewczyny był tam wazon, jeszcze patera, parę ramek ze zdjęciami i statuetka.

Lojacono myślał w pośpiechu. Zawołał mundurowego policjanta przysłanego z centrali.

– Przyjmij zeznanie pani Nikołajewej. Zrób spis zaginionych przedmiotów. Zależy mi na dokładnej liście. No i weź adres, numer telefonu komórkowego. Żeby ją łatwo odnaleźć, kiedy będzie potrzebna. Proszę pani, nie może pani na razie opuszczać miasta. I musi być pani zawsze osiągalna. Aragona, jazda, robota czeka.

XVII

Po drodze wymieniali tylko monosylaby, oboje zatopieni w myślach. Z drugiej strony, co niby mieli sobie do powiedzenia, o czym tu gadać?

Aspiranta Alessandrę di Nardo i młodszego aspiranta Francesca Romano łączył tylko przydział do tej samej ekipy, pogardliwie zwanej w środowisku policyjnym Bękartami z Pizzofalcone. Trochę za mało, żeby się zbliżyć. Nie całkiem najlepsza podstawa do zbudowania szczerej przyjaźni.

Szli więc w milczeniu pod wiatr, żeby sprawdzić jakieś dziwaczne zgłoszenie telefoniczne. Odebrał je tkwiący w stanie katatonii funkcjonariusz w dyżurce, przed którą w innych komisariatach kręciłoby się mnóstwo ludzi. Ale u nich akurat było pusto jak na pustyni Gobi.

Dzwoniła jakaś kobieta, która wbrew zwyczajom panującym w tym mieście nie chciała pozostać anonimowa, przeciwnie, parę razy powtarzała swoje personalia: Guardascione Amalia. Potem wysyczała adres. „Ocipiła mitomanka”, tak ją ocenił Romano.

Ponieważ jednak akwizytor odkurzaczy zarządził, żeby skrupulatnie sprawdzać każde zgłoszenie, musieli ruszyć tyłki w tę pogodę z powodu rojeń jakiejś wariatki. Ale w sumie to lepiej niż tkwić z nogami na biurku, gapić się na chmury i myśleć o spuchniętej wardze Giorgii.

Di Nardo czuła w kieszeni spodni bezpieczny ciężar swojej przerobionej beretty 92SB. Kupiła pistolet na specjalistycznej stronie i zgłosiła. Niektóre części tej broni zrobiono z polimeru, przez co o wiele łatwiej było nią operować niż modelem z metalu. Jak Di Nardo mogła się przekonać w trakcie niezliczonych sesji na strzelnicy, to znacznie skracało czas wyjęcia z kabury i złożenia się do strzału. Jasne, trzeba mieć o wiele pewniejszą rękę, żeby zachować precyzję. Ale to nie problem dla Alex, jak ją nazywało nieliczne grono przyjaciół.

Bo Alex była sobą tylko wtedy, kiedy strzelała. Strzelba, pistolet, pistolet maszynowy – cokolwiek, czuła się spełniona, kiedy przedłużenie jej ręki wyrzucało

z siebie małe śmiertelne kule. Kiedy roztrzaskiwało cel, kiedy dziurawiło tarczę.

Alex ćwiczyła bezustannie. Jeśli musiała wziąć parę dni urlopu, jechała do starej wiejskiej chałupy należącej do rodziny, chowała się za oknami i mając bardzo ograniczone pole ostrzału, celowała do starannie przygotowanych tarcz.

Strzelać nauczył ją ojciec, obecnie już emerytowany żołnierz. Kapitan, potem pułkownik i wreszcie generał Di Nardo chciał mieć syna, ale los i ta jego nieudaczna żona dali mu tylko tę córkę, marne chucherko, czyli nic, co by zasługiwało na większą uwagę. Ale pewnego dnia zabrał ją na strzelnicę, a mała wykazała niesamowity talent. Wreszcie zatem pojawił się jakiś wspólny temat do rozmów.

Od tego czasu Alex strzelała. Jak tylko mogła, w każdych warunkach, strzelała. Żeby mieć o czym rozmawiać z ojcem, do którego czuła psie przywiązanie, strzelała. Tylko wtedy się do niej uśmiechał. A strzelanie stało się prawie jedyną jej rozrywką. Prawie.

Dotarli pod adres zapisany przez Guidę. Była to jedna z tych dawniej ludowych dzielnic, które stały się modne, przez co ceny i oczekiwania szły w górę. Ale proces dowartościowania wyhamował, więc okolica stanowiła przykład zatrzymanego rozwoju. Eleganckie sklepy działały obok taniutkich przybytków, nowe kamienice sąsiadowały z ruderami. Budynek, gdzie mieszkała pani Guardascione, był w sumie przyzwoity, z czystą klatką schodową i działającą windą.

Otworzyła im młoda cudzoziemka, gospoia czy opiekunka, koścista, z jasnymi oczami. Wnętrze wypełniała intensywna woń czosnku duszonego na oliwie. Dziewczyna zaprowadziła policjantów do salonu urządzonego meblami starymi, ale w dobrym stanie. Wszędzie leżały szydełkowe serwetki – na stole, na oparciach kanapy i foteli, na kredensie. Przez aromat czosnku przebijał się też kłujący zapach zdradzający obecność starszej osoby, która ma problem z nietrzymaniem moczu. I rzeczywiście, na fotelu koło okna siedziała arcytęga kobieta o zaciętym wyrazie twarzy, z nogami przykrytymi kocem.

Romano się zdziwił, że na nich też nie leżała serwetka.

– Dzień dobry, młodszy aspirant Romano i aspirant Di Nardo z komisariatu w Pizzofalcone. Pani Guardascione Amalia?

Przypatrywała się im w milczeniu. Aż parowała z niej nieufność. Wreszcie odezwała się tubalnym głosem.

– Tak, to ja, pokażcie legitymacje. A ty – zwróciła się do cudzoziemskiej służącej – spadaj, bo to nie są sprawy dla ciebie.

Kiedy policjanci wręczali jej dokumenty, wysyczała:

– Plotkarska suka.

Po dokładnej kontroli, przeprowadzonej przez okulary założone na czubek nosa, gdy uznała, że wszystko w porządku, oddała legitymacje.

– Bez mundurów, co? – warknęła. – Na tym też oszczędzacie. Ja lubię, żeby policjant wyglądał jak policjant. I jeszcze kobieta do tego! No dobra, damy radę.

Romano i Di Nardo wymienili zdumione spojrzenia. Potem Romano zaczął:

– Proszę pani, złożyła pani zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. Może pani wyjaśnić, o co chodzi? W ten sposób nie zajmiemy pani zbyt wiele czasu, który musi pani poświęcić na swoje obowiązki.

Ewidentna ironia zawisła w próżni, bo donna Amalia odparła zadowolona:

– Słusznie, przejdźmy do rzeczy. No więc z tego okna, przy którym spędzam większość dnia, patrzę sobie na to czy tamto okno naprzeciwko.

Alex pomyślała, że nie chciałyby mieszkać w zasięgu wzroku tej baby.

– Widzicie tamto okno na czwartym piętrze kamienicy po drugiej stronie?

Romano od niechcienia rzucił okiem we wskazanym kierunku. Utwierdzał się w przekonaniu, że to wszystko koszmarna strata czasu.

– Zrobili remont w mieszkaniu, skończyli jakieś dwadzieścia dni temu. Potem ktoś tam zamieszkał.

Poprawiła się na fotelu, aż mebel jęknął. Po długiej ciszy, podczas której policjanci spoglądali na siebie z coraz większą irytacją, Di Nardo zapytała:

– A kto zamieszkał?

Donna Amalia przytaknęła z zadowoleniem, tak jak nauczycielka kiedy uczeń zrozumiał lekcję.

– No właśnie. Kto zamieszkał?

Romano zaczynał się niecierpliwić.

– Proszę pani, powtarzam, nie mamy czasu do stracenia. Jeśli chce nam pani coś ważnego powiedzieć, słucham. Jeśli nie, to, za pozwoleniem, pójdziemy sobie.

Łypnęła na niego oburzona.

– Sęk w tym, drogi panie, jak tam... aspirancie? Sęk w tym, że ktoś w tym mieszkaniu mieszka. Ale ten ktoś jest uwięziony.

– Co to znaczy „uwięziony”?

Donna Amalia złączyła dłonie jak do modlitwy.

– O Jezu! A według was co to znaczy, że ktoś jest uwięziony? Ta osoba czy te osoby nigdy nie wychodzą na dwór. Nigdy nie podchodzą do okien. Nawet ich nie otwierają. Nie odpowiadają na dzwonek domofonu. Są uwięzione, mówię wam. Musicie sprawdzić co i jak. Po to dzwoniłam.

Romano westchnął.

– Proszę pani. Fakt, że ktoś nie wychodzi z domu i nie otwiera okna, nie oznacza, że został uwięziony. Jeśli w ogóle założymy, że tak właśnie jest. Może tamtejsi lokatorzy wchodzą i wychodzą tylko o takich porach, których nie obejmuje, że tak powiem, nadzór szanownej pani. I podchodzą do okna wyłącznie z drugiej strony kamienicy, tam gdzie pani nie widzi.

Zaprzeczyła stanowczo.

– Nie, dam wam głowę, że to nie tak. Nie mogę chodzić, jak wiecie. Jestem całkiem zależna od tej ukraińskiej zdziury, która wam otworzyła. Ale moja głowa działa jak należy. Siedzę tu cały dzień i gwarantuję, że w tamtym mieszkaniu dzieje się coś dziwnego, bardzo dziwnego. Lata całe tu tkwię, długie lata. Jedyna moja rozrywka to patrzeć przez okno. I nigdy, ale to nigdy nie ubzdurałam sobie niczego, co potem nie okazało się prawdą. Tylko jeden raz zasłonę uchyliła kobieta. Widziałam jej twarz. Młoda przepiękna dziewczyna. Twarz madonny miała, przysięgam. A w oczach strach. Mówię wam, trzymają uwięzioną tę dziewczynę. Może są tam jeszcze inni ludzie, tego nie wiem. Jeśli zechcecie sprawdzić, sprawdźcie. Jeśli nie, wracajcie do biura. Ja mam spokojne sumienie, a z waszym zróbcie, co wam się podoba.

Po tej tyradzie zrobiła głęboki wdech, wzięła z pobliskiego stolika robótkę i wróciła do szydełkowania. Co wyjaśniało obecność wszystkich tych serwetek dookoła i oznaczało koniec rozmowy.

Romano rzucił okiem na Di Nardo i powiedział:

– Proszę pani, zgłoszenie podejrzenia przestępstwa to poważna rzecz. Nie można tego robić tak sobie, a my nie możemy tego lekceważyć. Mam nadzieję, że dobrze

się pani namyśliła, zanim zadzwoniła pod 112. My otrzymaliśmy informację i ją sprawdzimy. Dziękuję, miłego dnia.

Nie podnosząc oczu znad robótki, wrzasnęła piskliwie:

– Irinaaa! Odprowadź państwa do drzwi, no jazda!

XVIII

W końcu przyjdą.

Przyjdą i zaczną zadawać pytania. Będą grzebali w słowach, w grymasach. Będą starali się zrozumieć zabarwienie uczuć, będą węszyć jak psy w poszukiwaniu powodów do nienawiści.

I pewnie będą szukali bezskutecznie, bo nie wpadną na trop miłości. A to właśnie miłość w niektórych przypadkach kładzie kres życiu. Miłość to silny nurt – tak bym im powiedział. Jest jak rzeka, która najpierw płynie sobie spokojnie, aż za kolejnym zakrętem – z pozoru takim samym jak wiele innych pokonanych od źródeł – napotyka przepaść i staje się gwałtownym straszliwym wodospadem.

Można żyć samą miłością – tak bym im powiedział. Miłość to ta siła, która bierze cię za rękę i ciągnie aż do końca dnia, miesiąca, roku, nocy. Miłość jest marzeniem, tylko iluzją. Ale możesz ją zachować i podlewać, aż urośnie tak duża, że w niej zamieszkaż.

Przyjdą i zaczną grzebać w papierach, szukając brudnych śladów wokół pieniędzy i interesów. Może nawet znajdą jakieś i pomyślą, że są na dobrej drodze.

A ja bym im poradził, żeby poszukali w pieszczotach. W westchnieniach, w skórze, tam niech poszukają. Bo powód tego wszystkiego jest tam, w pewnej znajomości nawiązanej dawno temu, w spojrzeniu zatrzymanym na oczach kogoś o ułamek sekundy dłużej. Bo to w ten sposób rodzi się iluzja, przez spojrzenie i przez ułamek sekundy. Człowiek wtedy coś sobie wyobraża, nosi to na rękach jak dopiero co narodzone dziecko. Dba, by rosło. Karmi, aż będzie tak ogromne, że wypełni całą przestrzeń.

Powiedziałbym im, że cała wina jest po stronie miłości. Że kto staje na drodze miłości, wiele ryzykuje. Bo miłość jest mocna i kiedy płynie ku morzu, nie zważa na przeszkody. Porywa wszystko i obala, rozbija na drzazgi, unosząc ze sobą.

Powiedziałbym, żeby nie szukali w pieniądzech, bo racja miłości jest silniejsza od każdego interesu. Powiedziałbym, że próbowałem jej wytłumaczyć, że to absurdalne stawiać na drodze miłości. Wyjaśniałem jej, mówiąc z ręką na sercu, że

za tym ostatnim zakrętem, co się wydawał podobny do innych, otwierała się przepaść. Że to nie było jak za poprzednimi razami, że teraz wszyscy staliśmy przed decyzjami. Ale nie chciała mnie słuchać.

Zobaczymy, jak szperają w tych samych sprawach co zawsze, ale będą szukać w złym miejscu. Nie pomyślą o miłości i jej racjach.

Powiedziałbym im, gdyby zadawali właściwe pytania. Wyłożyłbym, dlaczego tak się stało.

Bo to zrobiłem.

Ale nie powiem, bo nie będą szukali po właściwej stronie. A zapłaci ten, kto powinien zapłacić.

Zapłaci miłość.

Dojście pod adres, jaki podała Ottavia Calabrese, zajęło im naprawdę tylko pięć minut. Wypolerowana mosiężna tabliczka przy bramie eleganckiej kamienicy głosiła: „Arturo Festa, notariusz”.

Było wcześniej, dochodziła dopiero dziesiąta. Inspektor zastanawiał się, czy w kancelarii kogoś zastaną. Nie chciał już dłużej czekać z przekazaniem mężowi wiadomości. Miał numer jego komórki, mógł próbować go odnaleźć. Ale zależało mu, żeby poobserwować reakcje osób bliskich notariuszowi na wieść o zabójstwie.

Napotkali portiera, który rozkładał do skrzynek pocztowych ulotki reklamowe. Nie odwracając się nawet, wskazał im głową schody:

– Półpiętro, klatka A.

Co oznaczało, że już ktoś przed nimi się zjawił. Aragona zadzwonił, ze środka ktoś odblokował elektryczny zamek. Weszli do saloniku, na ich spotkanie ruszyła niska grubawa dziewczyna w okularach. Wyglądała na bardzo zajęta.

– Witam, mogę w czymś pomóc?

– Chyba tak, dzień dobry. Nazywam się Lojacono, jesteśmy z komisariatu w Pizzofalcone. Musimy porozmawiać z panem notariuszem.

Nie wydawała się zaskoczona, widocznie to nie rzadkość, że do kancelarii zgłasza się ktoś z policji.

– Przykro mi, pana notariusza jeszcze nie ma. Może mi pan wyjaśnić, o co chodzi? Byliście panowie umówieni, rozmawialiście z nim osobiście?

– A jak pani myśli, kiedy będzie można z nim zamienić kilka słów? To sprawa prywatna, bardzo pilna. Kim pani jest?

– Przepraszam, nie przedstawiłam się. Imma Arace, odpowiadam za depozyty wekslowe, to jedyne, czym zajmuje się kancelaria o tej porze. Inni pracownicy przychodzą później, jestem tylko ja i Rino, pełnomocnik do spraw depozytów. Przykro mi, nie wiem, co panom poradzić.

– Ile osób pracuje w kancelarii? O której przychodzą?

– Są jeszcze dwie pracownice, docierają tu około wpół do jedenastej. My potem wychodzimy wcześniej niż one, więc ich dyżur jest przesunięty w stosunku do naszego. Wystarczy poczekać – rzuciła okiem na zegarek – pół godzinki, cały personel będzie na miejscu.

Lojacono i Aragona wymienili się spojrzeniami.

– Może w takim razie zaczniemy od rozmowy z wami dwojgiem. W oczekiwaniu na innych pracowników i na pana notariusza. A teraz naprawdę proszę nam powiedzieć, gdzie on się znajduje.

Arace wyczuła zmianę tonu, Lojacono mówił ostrzej i głośniejszym głosem. Zdała sobie sprawę, że obecność tych dwóch policjantów nie wiąże się z jakąś normalną procedurą służbową. Musiało chodzić o coś bardzo poważnego.

– Proszę, panowie się rozgoszczą.

Zaprowadziła ich do dużego pomieszczenia wyłożonego drewnem, gdzie stało sześć biurk. Tylko jedno było zajęte, siedział tam tęgi człowieczek z grubymi okularami, który układał weksle na różne kupki.

Kiedy zauważył całą trójkę w drzwiach, zmrużył oczy. Koleżanka odezwała się do niego zmartwionym głosem.

– Rino, panowie są z policji, chcą z nami porozmawiać. Szukają pana notariusza.

Odłożył weksle, które jeszcze trzymał w dłoni, podniósł się, okrążył biurko i podszedł do niej. Kiedy stali obok siebie, wyglądali na krewnych, oboje ze sporą nadwagą, w okularach, przestraszeni i zaskoczeni.

– Ale pana notariusza nie ma, jest na mieście, mówiłaś im?

Przytaknęła z obrażoną miną.

– No jasne, że mówiłam, masz mnie za kretynekę? Ale i tak chcą z nami rozmawiać.

– I tak chcą z nami rozmawiać. A co my możemy powiedzieć, jeśli szefa nie ma? Niech wrócą później.

Dziewczyna się zniecierpliwiła. Rino ewidentnie był trochę przygłupi.

– No to sam z nimi pogadaj. Ja im powiedziałam, ile razy mam ci powtarzać. Stwierdzili, że zaczekają.

– Że zaczekają.

Aragona spojrział na Lojacono. Wyglądało tak, jakby tamci odgrywali jakąś farsę. Powtarzanie ostatnich słów dziewczyny wprost przypominało scenkę z commedii dell'arte.

Inspektor rozerwał zakłęcie łączące tę parę.

– Musimy porozmawiać z panem notariuszem, z pewnością macie do niego kontakt. Musimy porozmawiać teraz.

Rino przeciągnął drżącą dłonią po zaczesce, która osłaniała mu łysinę, jakby chciał sprawdzić, czy włosy są na miejscu.

– Porozmawiać teraz. Notariusz jest na Capri, na konferencji. Miał wrócić wczoraj, ale przy tym sztormie wodolot nie odpłynął. Utknął na wyspie i nie wiemy, kiedy będzie mógł wyruszyć. Jeśli możemy w czymś pomóc...

Spojrział niepewnie na koleżankę, a ta spuściła wzrok. Coś tu nie gra, pomyślał Lojacono. Zaryzykował blef.

– Dobra, w takim razie skontaktujemy się z komisariatem na wyspie. Na pewno znacie nazwę hotelu i numer telefonu. Przypuszczam, że dla was szef musi być zawsze osiągalny, panie...

Facet parę razy otwierał i zamykał usta, jakby nie mógł z siebie wydusić odpowiedzi. Wyratowała go dziewczyna:

– De Lucia, Salvatore De Lucia. Jest pełnomocnikiem do spraw weksli, zajmuje się...

Aragona przerwał jej ruchem dłoni.

– Potem nam to pani wyjaśni. Teraz chcemy tylko wiedzieć, gdzie przebywa pan notariusz. I to zaraz.

Ostry ton policjanta jeszcze bardziej wystraszył urzędnika.

– Tak naprawdę to informacja poufna. Bardzo poufna – wyjąkał De Lucia i posłał z ukosa spojrzenie Immie.

– Już nie. Musicie mi powiedzieć, nie przyjmuję żadnych usprawiedliwień.

Pełnomocnik wbił wzrok w podłogę i wymamrotał:

– Jest w Sorrento z... na urlopie. Wraca dzisiaj około południa. Ale proszę, nikt nie może się o tym dowiedzieć, tym bardziej rodzina.

Rumienił się żałościwie. Koleżanka patrzyła na niego z niesmakiem, a Lojacono zastanawiał się przez chwilę, czy wynika to z faktu, że zdradził tajemnicę, czy odwrotnie, dlatego że wcześniej chciał ukryć schadzki notariusza.

Aragona zwrócił się do obojga:

– Nie musicie już się martwić o poufność tej informacji. Żona pana notariusza, De Santis Cecilia, została znaleziona dziś rano martwa w swoim mieszkaniu.

Efekt był taki, jakby ktoś nagle wystrzelił. Urzędnik gapił się na Aragonę z niedowierzaniem, jakby dopiero co usłyszał niezbyt śmieszny dowcip. Mina kobiety stanowiła kwintesencję zaskoczenia. Oczy i usta miała szeroko otwarte; wyglądały jak trzy wielkie litery O. Wkrótce zaczęła się trząść i łkać. De Lucia nieśmiało objął ramieniem koleżankę. Inspektorowi zrobiło się ich żal.

– Przykro mi, że dowiadujecie się o tym w taki sposób. Ale zależało mi, żeby uświadomić wam powagę sytuacji. A teraz, z łaski swojej, powiedzcie, jak mogę dotrzeć do notariusza?

Notariusz był nieosiągalny. Komórkę miał wyłączoną, pracownicy kancelarii przysięgali, że nie znają nazwy hotelu, gdzie spał tej i poprzedniej nocy – bo wreszcie policjantom udało się z nich wydusić jeszcze informację, że ich szef wyjechał z miasta w sobotę rano, czyli dwa dni wcześniej. Ani słówka, oczywiście, o tym, kto mu towarzyszy. Ale Lojacono miał wrażenie, że wiedzieli to doskonale.

Pozostawało czekać. W ciągu następnej godziny nadeszły kolejne dwie pracownice kancelarii, które zostały zaraz poinformowane o tym, co zaszło.

Pierwsza była dobrze po pięćdziesiątce: bardzo szczupła, wąskie usta, sprawiała wrażenie niezwykle rzeczowej i konkretnej osoby. Przedstawiła się z dumą, jakby recytowała listę zasług: Raffaella Rea, zwana Liną. Zajmowała się przygotowaniem odpisów aktów sporządzanych przez notariusza. Na wieść o śmierci jego żony zbladła, opadła na krzesło i więcej się z niego nie ruszyła.

Potem wpadła zziębnięta drobna blondynka Marina. Zajmowała się, jak od razu wyjaśniła, informatyczną obsługą całego ruchu dokumentów, co stawało się stopniowo coraz ważniejszą częścią działalności kancelarii. Wieść o zabójstwie ją zdumiała i wytrąciła z równowagi. Długo kręciła głową z wielkim smutkiem w oczach, wreszcie usiadła ponuro na swoim krześle. Potem jako pierwsza się ruszyła i zaproponowała policjantom kawę, którą przygotowała na maszynie schowanej w składziku.

Lojacono chciał ich wszystkich mieć na oku, by nikt po kryjomu nie uprzedził notariusza. W oczekiwaniu na jego powrót zadzwonił na komisariat, żeby się dowiedzieć, co też Ottavia znalazła w internecie. Odebrała właśnie ona.

– Cześć, miałam do ciebie dzwonić. Palma rozmawiał z prokuraturą, powiedział, że jesteście na miejscu, może potem do was dobieje. Ekipa kryminalistyczna kończy pracę, przed kamienicą zostawiliśmy radiowóz. Gdyby notariusz miał wcześniej zajrzeć do domu, przed pójściem do pracy, to dadzą mi znać, a ja puszcze sygnał tobie.

– A w sieci znalazłaś coś ciekawego?

– To nietuzinkowe postaci, notariusz i jego małżonka. O niej wspomina się na mnóstwie stron, głównie bale dobroczynne i tego rodzaju imprezy. Prawdziwa filantropka. Z niektórych wzmianek wynika, że pochodzi z bogatej rodziny, bardzo bogatej. Notariusz też jest niezwykle aktywny towarzysko; pełno go na salonach. Pojawia się w kółko na listach zaproszonych gości. Inauguracje, przecięcia wstęgi, bankiety. Co ciekawe, nigdzie nie wspomina się o nich razem. On idzie w jedno miejsce, ona idzie, a raczej szła, w inne. Żyli osobno. Przynajmniej tyle wynika z tego, co można znaleźć w internecie. Jeszcze coś. Na plotkarskiej stronie całkiem niedawno zamieszczono post, w którym pisze się o „nowej wybrance” notariusza; sądząc ze zdjęcia, wygląda na niezłego przystojniaka. No więc „nowa” wybranka oznacza, że wcześniej też już jakieś były. Według mnie to kobieciarz. Z kwiatka na kwiatek.

Lojacono docenił sprawność koleżanki. Naprawdę bardzo pomogła.

– Dzięki, Ottavia. Powiadomisz Palmę? My tu dalej czekamy na notariusza.

– Jasne, zajmę się tym. I jeszcze jedna rada. Dopilnuj, żeby nikt nie dotykał komputera notariusza, chociaż oficjalnie zabezpieczać może go dopiero prokurator. A nuż coś ciekawego nam stamtąd wyskoczy.

– Tak jest!

– Przy okazji, wiesz, że Romano i Di Nardo poszli sprawdzić jakieś zgłoszenie? Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie gładko, razem, we dwoje, trochę mnie niepokoją. Na razie.

Lojacono pozwolił urzędnikom podjąć zwykłe biurowe czynności, tylko zabronił im się oddalać. Przyszło paru interesantów wykupić weksle, czym zajęła się Imma. De Lucia dalej rozkładał swoje dokumenty na kupki, ale trzęsły mu się ręce, co jakiś czas zatrzymywał się i gapił w pustkę.

Pozostałe dwie kobiety nawet nie próbowały udawać, że pracują. Lina, ta starsza, tkwiła nieruchomo ze wzrokiem wbitym za okno na podwórze, czekając na nadejście notariusza. Druga, Marina, siedziała ze spuszczoną głową i dłońmi splecionymi na kolanach.

Arturo Festa nadszedł po mniej więcej godzinie, około jedenastej. Wydawał się w świetnym humorze. Przystojny mężczyzna pod sześćdziesiątkę, wysoki, szpakowaty, ubrany w dobry sportowy garnitur, na twarzy i szyi lekka naturalna

opalenizna. Na ramieniu miał torbę, która mogła zawierać rzeczy niezbędne na kilkudniowy wyjazd. Był sam.

Zaraz w progu zorientował się, że coś złego wisi w powietrzu. Lina chciała do niego podejść, ale Aragona szybko stanął jej na drodze.

Lojacono zrobił krok do przodu.

– Pan Arturo Festa? – zapytał. – Inspektor Lojacono z komisariatu z Pizzofalcone. Musimy z panem porozmawiać. Możemy przejść do gabinetu?

Notariusz zmarszczył czoło, szukając wyjaśnienia w oczach swoich pracowników. Imma znów zaczęła szlochać.

– Jasne, proszę za mną.

Duże drzwi na końcu pomieszczenia prowadziły do gabinetu notariusza. Wokół wszystkich ścian ustawiono przeszklone regały z książkami, co tworzyło ciepłą i bezpieczną aurę biblioteki. Duże stylowe biurko z cennym intarsjowanym blatem pokrywała tafla szkła. Przed nim dwa skórzane fotele. W drugim kącie pokoju owalny stół z ośmioma krzesłami.

Notariusz wskazał ręką fotele, ale ani Lojacono, ani Aragona nie usiedli, więc i on stał dalej.

Lojacono wreszcie się odezwał:

– Przykro mi, ale muszę pana powiadomić, że pańska żona Cecilia De Santis została dziś rano znaleziona martwa przez gosposię. Przypuszczamy, że śmierć nastąpiła wskutek urazu zadanego z zamiarem zabójstwa.

Słowa zawisły w ciszy. Festa zbladł i zachwiał się, po czym oparł się o biurko. Wciąż patrzył na policjantów, jakby się spodziewał, że powiedzą mu zaraz, że to tylko makabryczny żart. Podniósł drżącą dłoń do gardła.

– Nie, pomyliliście się, nie – wymamrotał. – To nie może być tak. To nie ona. Rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Nie, na pewno nie.

Lojacono westchnął.

– Niestety, szanowny panie, to nie pomyłka. Śmierć nastąpiła wczoraj późnym wieczorem.

Festa odwrócił się w stronę zamkniętych drzwi. Albo był naprawdę wstrząśnięty, albo jest świetnym aktorem, pomyślał Lojacono.

– Muszę... muszę do niej pojechać. Muszę zobaczyć na własne oczy. Muszę do domu.

– To nie miałyby sensu. Żonę już stamtąd zabrano, później będzie mógł pan zidentyfikować zwłoki w zakładzie medycyny sądowej. Ale dziewczyna, to znaczy gospoia, potwierdziła nam, że to pani Cecilia De Santis. Przykro mi.

Notariusz okrążył biurko, powłócząc nogami. Jakby nagle zrobił się o wiele starszy. Opadł na jeden z foteli i zakrył twarz dłońmi. Minęło parę sekund, zanim ją odsłonił. Wyraźnie cierpiał.

– Kto to zrobił? Jaki uraz... jak do tego doszło?

Lojacono starał się nie przegapić żadnej reakcji notariusza. Doświadczenie uczyło go, że żaden ból nie wydaje się tak prawdziwy jak ten udawany.

– Zdaje się, że brakuje kilku cennych przedmiotów ze srebra. Drzwi wejściowe i brama nie noszą śladów włamania, więc pańska żona otworzyła napastnikowi albo miał własne klucze. Uderzono ją raz w głowę, być może przedmiotem, który odnaleziono na podłodze, poplamionym krwią. Przypuszczamy, że nie cierpiała.

Notariusz przytaknął, dolna warga zaczęła mu drżeć. Powstrzymywał się przed płaczem, ale łzy same potoczyły się dwiema strużkami po policzkach.

– Brakuje paru rzeczy, mówi pan. A więc rabunek, tak? Cecilia zginęła w napadzie rabunkowym? W którym pokoju? Co to był za przedmiot?

Lojacono nie chciał wyjawiać zbyt wiele, nigdy nie wiadomo, może notariusz by się zdradził znajomością szczegółów, których nie powinien znać.

– Żonę znaleziono na podłodze w pokoju, gdzie trzymała szklane kule. A co do przedmiotu, który mógł posłużyć jako narzędzie zbrodni, to dopóki nie dostaniemy wyników analiz, wolałbym się wstrzymać od wypowiedzi.

Festa znów przytaknął, ciągle cicho płacząc. Po chwili jeszcze dodał:

– Jestem do waszej dyspozycji. Jak mogę wam pomóc odkryć, kto to...?

Lojacono westchnął. Teraz nadchodził naprawdę trudny moment.

– Przede wszystkim muszę zapytać, gdzie pan przebywał wczoraj wieczorem pomiędzy dwudziestą a północą. I czy ktoś może to potwierdzić.

Notariusz rzucił okiem na drzwi do pokoju urzędników. Lojacono usiłował nadażyć za jego myślami: może zastanawia się, czy ktoś już zdradził policjantom, że historia z Capri to bajeczka.

– Moja żona myślała, że jestem na Capri na konferencji i że nie wróciłem z powodu sztormu. W rzeczywistości byłem w Sorrento.

– Dlaczego pan kłamał? – zapytał Aragona.

Notariusz utkwiał w nim wzrok bez wyrazu, po czym odpowiedział, zwracając się do Lojacono:

– Byłem w towarzystwie pewnej osoby. Nie chciałem, żeby Cecilia o tym wiedziała.

Lojacono wyciągnął notes.

– W jakim hotelu się zatrzymaliście? – zapytał. – Zameldowaliście się pod prawdziwymi nazwiskami?

– Nie, byliśmy w domu przyjaciół. Wyjechali, zostawili mi klucze do willi.

– Musi nam pan podać dane tej osoby. Trzeba potwierdzić pana relację.

Notariusz wyglądał tak, jakby powoli zaczynał się wynurzać ze stanu nieświadomości, jakby dopiero zdał sobie sprawę, że siedzi we własnej kancelarii.

– Potrzebuję chyba pomocy adwokata. Tak, na pewno potrzebuję. Nie sądzę, żebym mógł teraz odpowiadać na pytania. Przepraszam, inspektorze, chcę zostać sam.

Lojacono próbował jeszcze go docisnąć.

– Szanowny panie, te pytania służą nam do tego, żeby się rozeznać, w jakim kierunku prowadzić dochodzenie, tylko o to chodzi. Jeśli pan nie ma się czego obawiać...

Festa mu przerwał.

– Rozumiem, ale muszę się zabezpieczyć, właśnie dlatego że to nie ja zamordowałem żonę – oświadczył cichym, lecz stanowczym głosem. – Nie chcę, żeby zostały w to wciągnięte... osoby, które nie mają z tym nic wspólnego.

– W takim razie pozwoli pan, że porozmawiamy z pracownikami i sprawdzimy sprzęt komputerowy?

Notariusz wstał. Miał jeszcze zbolalą minę, ale szybko odzyskiwał rezon.

– Powtarzam, inspektorze, chcę najpierw skontaktować się ze swoim adwokatem. Sądzę, że to konieczne. Teraz, jeśli panowie pozwolą, udam się do domu sprawdzić, jak to wszystko wygląda. A więc...

Kiedy wskazywał drzwi, żeby ponaglić policjantów do wyjścia, te otworzyły się i stanęła w nich młoda piękna kobieta. Przywitała się i z wyraźnym akcentem sardyńskim powiedziała:

– Dzień dobry, Laura Piras, prokurator okręgowy. Od tej chwili przejmuję nadzór nad śledztwem.

Po wyjściu od donny Amalii Romano i Di Nardo stanęli na chodniku niepewni, co teraz mają zrobić. Oboje uważali ją za mitomankę, ale to, co młodszy aspirant mówił o poważnym traktowaniu zgłoszeń, było prawdą.

Minęła dłuższa chwila milczenia, Di Nardo jak zawsze cichym głosem zaproponowała:

– Ja bym spróbowała zadzwonić domofonem do tego mieszkania. Tak żeby móc powiedzieć, że sprawdziliśmy. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent otworzą nam i zaproponują kawę. Wtedy będziemy mogli wrócić do tej baby i oznajmić jej, że może sobie żyć spokojnie i nie dręczyć nas telefonami.

Romano był tego samego zdania.

– Skoro i tak tu przyszliśmy, nie mamy nic do stracenia. Chociaż czuję się jak ostatni palant, kiedy mam sprawdzać wymysły jakiejś wariatki.

Podeszli do domofonu. Na każdym piętrze były dwa mieszkania, jedyny przycisk bez tabliczki odpowiadał lokalowi na czwartym piętrze. Romano nacisnął, odczekał i znów nacisnął. Bez odpowiedzi.

Popatrzyli po sobie. Potem Di Nardo nagle nacisnęła guzik drugiego mieszkania na czwartym piętrze, obok którego widniał napis: Casa Sprint sp. z o.o. Zaraz rozległ się brzęk otwieranego zamka w bramie.

Winda wwiozła ich na właściwie piętro. Po jednej stronie drzwi zamknięte na głucho, po drugiej otwarte, przez które widać było kontuar recepcji i czarnowłosą dziewczynę. Po wiszących na ścianach ogłoszeniach zorientowali się, że to agencja nieruchomości. Dziewczyna przywitała ich uprzejmie.

– Witam, proszę usiąść. Jakiego typu mieszkania państwo szukają?

Romano zdradził jej powód wizyty.

– Nie, dziękujemy, potrzebujemy informacji, czy drugi lokal na tym piętrze jest zamieszkały?

– Niedawno go remontowano i jest już zajęty. Niestety, nie przeszedł przez naszą agencję, to była transakcja bezpośrednia.

– A wie pani, kto tam mieszka? Widziała pani, jak ktoś wchodzi, wychodzi?

Dziewczyna próbowała się skupić.

– Teraz jak o tym pomyślę, to nie, nigdy nikogo z naprzeciwka nie spotkałam. Ale ja tu siedzę tylko parę godzin przed południem, potem chodzę z klientami i pokazuję im nieruchomości. Nie wiem. Ale dlaczego państwo się tym interesują?

Romano pokazał legitymację.

– Rutynowa kontrola, weryfikujemy dokumentację.

Ludzie zwykle się uspokajają, kiedy słyszą jakieś mgliste formułki biurokratyczne, i agentka nie była wyjątkiem. Odebrała telefon. Oboje skorzystali z tego, żeby się szybko pożegnać, i wyszli.

Zatrzymali się przed drzwiami naprzeciwko. Romano nacisnął dzwonek, jego dźwięk rozległ się w środku. Cisza. Znow zadzwonił. Po czym bezradnie rozłożył ręce i już miał ruszyć do windy, kiedy ktoś zza drzwi wymówił ciche: Kto tam?

Z początku oboje myśleli, że mają omamy słuchowe, ale potem zorientowali się, że każde z nich usłyszało to samo. Niemal dziewczęcy, bardzo cienki głos. Romano zbliżył twarz do drzwi.

– Dzień dobry. Mogłaby pani otworzyć? Musimy przeprowadzić kontrolę.

Długa pauza, po czym:

– Kontrolę? Jaką kontrolę? Kim pan jest?

Odezwała się Alex, sądząc, że obecność kobiety może dodać więcej pewności osobie po drugiej stronie.

– Jesteśmy z policji. Proszę otworzyć, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– Policja? Dlaczego? Coś się stało?

– Nie, proszę pani, nic poważnego – odpowiedział Romano. – Rutynowe czynności weryfikacyjne. Proszę otworzyć.

Kolejna pauza. W końcu:

– Nie, nie mogę.

– Nie może pani?

Absolutna cisza, nawet najmniejszego dźwięku. Lokatorka długo milczała, wreszcie dodała:

– Nie chcę otworzyć. Nie wiem, kim jesteście, i nie chcę otworzyć.

– Mówiła pani, że nie może. Co to znaczy?

– Pomyliłam się. Powiedziałam, że nie chcę. Idźcie sobie, dziękuję, niczego mi nie trzeba.

– Kto z panią mieszka? Czy jest tam ktoś jeszcze? Halo, proszę pani!

Po kolejnej pauzie odpowiedź:

– Nie, nie ma nikogo. Jestem sama. Niczego mi nie trzeba. Muszę iść.

Usłyszeli kroki oddalające się od drzwi, potem odgłosy dochodzące z radia lub telewizora. Znów zapukali, muzyka została podkręcona głośniej. Ruszyli w stronę windy.

Kiedy wyszli na ulicę, Di Nardo zapytała:

– No i co teraz?

Romano się zastanawiał.

– Technicznie rzecz biorąc, zweryfikowaliśmy zgłoszenie, nie? To znaczy, udaliśmy się na miejsce, rozmawialiśmy z osobą przebywającą w mieszkaniu i na własne uszy usłyszeliśmy od ofiary rzekomego przestępstwa, że do żadnego przestępstwa nie doszło. Możemy więc zaprzestać dalszego sprawdzania.

Di Nardo nie wydawała się przekonana.

– Ale co to wszystko znaczy? Gdyby to, co mówi Guardascione, było prawdą, to znaczy, że tamta kobieta jest uwięziona, a więc i zastraszona. Wtedy odpowiedziałyby dokładnie tak, jak odpowiedziała. Myślisz, że takie sprawdzenie wystarczy?

– A ty co byś chciała jeszcze zrobić? Co by cię zadowoliło?

Alex nie miała wątpliwości.

– Chcę zobaczyć, co się dzieje w tamtym mieszkaniu. Jeśli nie masz nic do ukrycia i w jasny dzień puka policja, to otwierasz i proponujesz kawę. Gawędzisz z gliniarzami, machasz starej plotkarze przez okno, a wieczorem opowiadasz wszystko kumplom w knajpie.

Romano trochę się opierał.

– Może pomyślała, że nie jesteśmy policjantami. W tych czasach to niezbyt bezpieczne otwierać drzwi nieznanym, nawet jeśli pokażą jakiś papier. A może to na przykład nielegalna imigrantka i boi się wpakować w kłopoty. Albo pilnuje komuś mieszkania i nie wolno jej otwierać.

– To są wszystko hipotezy warte sprawdzenia, nie sądzisz? A poza tym powiedziała najpierw „nie mogę”, a dopiero potem „nie chcę”. Bardzo znamienne pomyłka moim zdaniem. No chodź, przecież sam czujesz, że coś tu śmierdzi. Może to nic takiego, zgadzam się z tobą. Ale może jednak... Przemoc wobec kobiet jest bardzo powszechna, niestety. Proszę cię, załatwmy nakaz, żeby móc wejść do środka, i będziemy mieli czyste sumienie.

Romano zobaczył oczami duszy obrzękłą wargę śpiącej Giorgii i aż zadrżał mu mięsień szczęki.

– No dobra. Wracamy na komisariat, pogadamy z Palmą. Poprosimy o nakaz od prokuratora i zobaczymy, co się tam dzieje.

To ta przekłeta starucha. Wiem na pewno, że to ona. To złośliwe spojrzenie, widziałam je i czułam, że nic dobrego nie przyniesie.

Co mam teraz zrobić, co zrobić...?

Mówili, że są z policji. Może to wcale nieprawda, po prostu akwizytorzy, którzy chcieli coś sprzedać, albo złodzieje, albo ankieterzy, bo ja wiem... A może naprawdę policjanci. Myślę, że tak, przysłała ich ta starucha, która ciągle patrzy w moje okna, od rana do wieczora, czego, kurwa, chce ode mnie? Czemu nie pilnuje własnego nosa i nie zostawi mnie w spokoju? Co zrobić, co zrobić...?

On dał mi numer, ale powiedział, że bym go nigdy nie używała. No to po co mi go dajesz, zapytałam, a on na to: Tylko jeśli stanie się coś naprawdę poważnego. To nie jest mój numer, ostrzegł. Odbierze ktoś inny, masz powiedzieć swoje imię i ten ktoś mi przekaze, będzie wiedział, jak mnie znaleźć. Czy to jest coś poważnego? A bo ja wiem?

Nie mogę stracić wszystkiego. A jak on z jakiegoś powodu uzna, że mu przeszkadzam, że nie jestem taka dobra, że nie jestem po prostu śliczną laleczką, to mnie zmieni. Weźmie sobie inną, przecież spokojnie znajdzie mnóstwo lepszych ode mnie. A ja wrócę do tego całego syfu, moja rodzina przestanie mieć dobre warunki, a bracia stracą pracę. Niewiele trzeba. Jeśli zadzwonię, to mnie wywali i zmieni na inną.

A co będzie, kiedy nie zadzwonię, a tamci wrócą? Zrobią tak jak na filmach, wywalą drzwi? To co ja im powiem, dlaczego tu mieszkam? Co robić, co robić...?

Gdyby wrócili i wywalili drzwi, to mnie aresztują i będzie jeszcze gorzej, chociaż nigdy bym nie wyjawiała jego nazwiska.

Gdyby mnie aresztowali, na pewno sobie weźmie inną na moje miejsce. No to muszę go ostrzec. Gdzie jest kartka z tym numerem? Tu ją mam. Powiedział: to jedyne numer, jaki ci wolno wybrać. No to ja go wybiorę. I to zaraz.

Przekłeta starucho, obyś zgniła w piekle.

Piras i Lojacono zostawili Aragonę, żeby pilnował kancelarii, i wyszli z kamienicy prosto na szalejący wiatr. Prokurator szybko i sprawnie opanowała sytuację, oszczędzając inspektorowi konieczności pokornego wycofania się ze ślepej uliczki. Procedury biurokratyczne na pewno zajmą jeszcze parę godzin. Przez ten czas notariusz zdąży się porozumieć z adwokatem, ale przynajmniej komputer został opieczętowany i mogli przystąpić do przesłuchania wszystkich, których chcieli przesłuchać. Przede wszystkim pracowników kancelarii.

– Widzisz, Lauro, z ich zachowania, spojrzeń jasno wynika, że sporo wiedzą o życiu notariusza. Jeśli pozwolilibyśmy im zostać bez nadzoru, uzgodniliby wspólną wersję i potem nic z nich nie wyciągniemy. Dlatego super, że się zjawiłaś. Dzięki.

– Gdybym czekała, aż odezwiesz się pierwszy, to zdążyłabym się zestarzyć – odparła kwaśno. – Podziękuj swojemu komisarzowi, który jak tylko zorientował się w sytuacji, zaraz do nas zadzwonił. I losowi, że miałam akurat dyżur. Gdyby jakiś mój kolega usłyszał „Pizzofalcone”, poleciliby przekazać sprawę karabinierom. Poza tym drogi Palma był na tyle uprzejmy, że osobiście się nie pofatygował i pozwolił ci działać samemu. Wiesz, że to nie jest typowe, inni na jego miejscu zaraz by się zjawili, żeby zebrać zasługi.

Lojacono musiał przyznać jej rację.

– Fakt. Palma nie jest taki zły. W porównaniu z tym kutasem Di Vincenzo to skok jakościowy. Ale powiedz prawdę, przeniesienie do Pizzofalcone to rodzaj kary, zesłania czy co? Aragona trochę mi opowiedział o powodach, dla których inni się tu znaleźli, i muszę przyznać, że zrobiło to na mnie wrażenie.

Laura zmarszczyła nos. Ależ ona mu się podoba, uświadomił sobie Lojacono.

– Aragona to świr. Zastanawiam się, jak załatwić, żeby odebrali mu prawo jazdy. Kiedy miałam go w obstawie, o mało mnie nie zabił i nie podoba mi się, że z nim jeździsz. Pizzofalcone ma złą sławę, więc to normalne, że nie ma tam kolejki chętnych do pracy. Ale też jest normalne, że inne komisariaty wysłały ludzi, których

mogły się pozbyć, z takiego czy innego powodu. Ale to nic nie znaczy. Zajmuj się pracą, tak jak wiem, że potrafisz, i wszystko będzie dobrze.

Przez chwilę obserwował ją, jak zacieśnia kołnierz płaszczka wokół szyi. Wiatr targał jej włosy. Chciałby ją spotkać w innym życiu, kiedy by się nie bał niczego i miał na tyle pewności siebie, żeby uwierzyć, że taka kobieta może naprawdę się nim interesować.

Laura z kolei myślała, że Lojacono to pierwszy facet, który ją zaintrygował po śmierci Carla, jedyne go mężczyzny, jakiego naprawdę miała, wiele lat temu. I że praca nie może ciągle wypełniać jej całego życia. Wpatrywała się w jego migdałowe oczy, wystające kości policzkowe, czarne gładkie włosy. Był od niej wyższy, nawet gdy miała buty na obcasach, o dobre dwadzieścia centymetrów. Wyobraźnia zaczęła jej podsuwać nieprzyzwoite obrazy, które zaraz postarała się zdusić.

Lojacono zwrócił uwagę na jej zamyśloną minę.

– O czym dumasz?

– Że znowu jesteś na tropie. I że może uda ci się dalej robić karierę, którą uznałeś za zrujnowaną.

– Bzdury. Wiesz, że mam w dupie karierę, tak jak dawniej. Mnie interesuje ta praca, zresztą do niczego innego się nie nadaję. Nie lubię siedzieć za biurkiem.

– Nie lubisz też mieć zwierzchników, którzy ci rozkazują, więc kariera jest ci potrzebna, żebyś mógł robić, co uważasz. A poza tym nie chciałbyś wrócić w swoje strony z tarczą? Nie będzie ci miło udowodnić, że wszystko, co o tobie mówiono, było kłamstwem?

Lojacono odniósł wrażenie, że wzmianka o jego ewentualnym powrocie do domu nie miała tylko kontekstu zawodowego. W każdym liczył na to, że nie miała.

– Tam już nie jest mój dom. Nie umiałbym się odnaleźć po tym, jak się zachowali ci wszyscy ludzie. Interesuje mnie tylko córka, znowu ze sobą rozmawiamy. Wiesz co? Zaraz do niej zadzwonię, poszła wczoraj na imprezę i trochę się martwię.

Laura się zaśmiała.

– Ale słodkie, tatuś się boi. Zadzwoni i bierz się do pracy. Masz czterech urzędników do przesłuchania. Wracam do biura, potem się zgadamy. Pamiętaj: żadnych ryzykownych pomysłów, ten notariusz zna tutaj wszystkich i jak zechce, to

nas zablokuje. Gdyby ci bruździł, dawaj znać, spróbuję interweniować. Cześć, inspektorze.

Odwróciła się na pięcie. Płaszcz, skromny żakiet i oszczędny makijaż nie mogły ukryć urody i kształtów, które były powodem nieustannych komentarzy adwokatów, policjantów i prokuratorów z całego miasta. Westchnął i wyciągnął telefon.

– Halo, Marinella, co robisz?

– Cześć, tatku, spałam...

– Jak to spałaś? Już prawie dwunasta. Nie jesteś w szkole?

– Nie, tatku, zostałam tutaj, w domu u... Enzy, wczoraj za długo balowaliśmy i...

– Jak to: w domu Enzy? Do której się bawiliście?

– No weź, nie zaczynaj marudzić. Już wystarczy, że matka jak dzika wydzwaniała do mnie całe rano...

– Nie chcę marudzić, ale... powiedziałaś, że nie będziesz późno i...

– ...a tymczasem zrobiło się późno. Co, nie ufasz mi?

Głos zaczyna być szorstki, wyzywający. Senność rozplywa się w gniewie i rozczarowaniu.

– Nie, nie, ufam. Chciałem tylko wiedzieć, czy wszystko okej. Przepraszam, że cię obudziłem.

– No już dobra. Czuję się świetnie. Chcę tylko trochę pospać. Dobrze się bawiliśmy, ale impreza potrwała dłużej, niż zakładaliśmy. To wszystko. Teraz, jeśli pozwolisz...

– Jasne, jasne, śpij, skarbie. Zdzwonimy się później?

– Pa, tatku. Zadzwoń, wyluzuj.

Wyluzuj, pomyślał Lojacono, wracając do kancelarii. Wyluzuj, akurat, chciałabyś.

Giorgio Pisanelli dzwoni krótko do drzwi, jak zawsze, zanim otworzy je kluczem. „Skarbie, już jestem!”, woła.

Biegiem do łazienki, ledwo zdążył, pasek, suwak, westchnienie ulgi, wąski strumyczek zaraz się kończy, a wydawało się, że ma tego hektolitr i nie wytrzyma. A tymczasem tyle, ile w jednorazowym kubeczku od kawy.

Myje ręce. Dziś w pracy chodził do toalety ze dwadzieścia razy. Ciekawe, czy ktoś zauważył. Ale raczej nie, każdy tam, na szczęście, pilnuje swojego nosa.

„Wiesz, kochanie, dzisiaj przysłali tych nowych. Nie najgorzej. Było wiadomo, że tamtych Bękartów zastąpią innymi – odrzutami z różnych komisariatów, ludźmi, których z jakiegoś powodu gdzie indziej nie chcą. Ale myślałem, że będzie gorzej, naprawdę gorzej”.

Porusza się po ciemku, zna każdy najmniejszy załomek tego wnętrza. Wchodzi do kuchni, chce sobie zrobić słabej herbaty. Powinien coś zjeść, ale nie jest głodny. Mówi cicho, zwracając się w stronę sypialni.

„Jeden jest aż z Sycylii, wiesz? Pamiętasz, jak pojechaliśmy do Syrakuz oglądać greckie tragedie? Grali Ajschylosa. Skrytykowałeś to, jednak aktorzy wcale nie byli tacy do niczego. Ale ten kolega jest z Agrigento zdaje się, nie z Syrakuz. Wygląda na Azjatę z tymi migdałowymi oczami. Może ma jakiegoś chińskiego przodka. Twarz zupełnie bez wyrazu. Ale ogólnie gość wydaje się w porządku”.

Ściąga marynarkę. Odkłada na oparcie krzesła, nie warto odwieszać do szafy, i tak ją musi jutro założyć. Rozluźnia krawat.

„Dwoje jest do siebie podobnych, facet i kobieta. Mówią mało i rozglądają się niepewnie. Może się boją, niewykluczone, że nawet siebie samych. Wiesz, skarbie, to działa tak: jak popełnisz błąd, to myślisz, że możesz znowu to zrobić, i nie doceniasz faktu, że ktoś ci daje szansę. A to ważne: mieć jeszcze jedną możliwość. Gdybym ja tak dostał jeszcze jedną możliwość”.

Przenikliwa potrzeba oddania moczu. Znowu. Nie minęło nawet pięć minut. Do jasnej cholery. Mówi dalej z łazienki, tylko trochę podniósł głos.

„No i jeszcze taki chłopaczek, bufon, ha!, żebyś widziała, jak się ubiera. Według mnie uważa się za gliniarza z serialu. Ale jest wesoły. Może będzie z niego jakiś pożytek”.

Znów myje ręce. Przez to ciągle sikanie zachowuje się jak jeden z takich, co mają obsesję na punkcie czystości i co dwie minuty myją ręce.

Idzie do kuchni, herbata gotowa. Dolewa mleka, otwiera paczkę herbatników. Z czekoladą, jak szaleć to szaleć, coś się od życia należy.

„Rozmawiałem dzisiaj z Lorenzo, wiesz, skarbie? Wszystko u niego w porządku. Spieszył się na zajęcia. Tak, tak, ciągle jakieś wykłady. Jest profesorem na uczelni, nie mechanikiem albo wolnym strzelcem, który bez problemu może sobie odłożyć robotę, żeby pogadać pięć minut z ojcem. Jego rozkład zajęć zależy od innych. A poza tym na północy pracują solidniej niż u nas. Przestrzegają godzin, terminów. Nie, nie pogadaliśmy długo. Czuje się dobrze, a to najważniejsze. Zdaje się, że jest ciągle z tą samą dziewczyną, nie dopytywałem. Wiesz, mężczyźni nie rozmawiają o pewnych sprawach. Jak będzie chciał sam powiedzieć, to powie”.

Zabiera herbatę i ciastka na tacy do pokoju, zapala lampę. Światło pada na ścianę pełną wycinków i zdjęć oraz regał zawalony segregatorami, każdy opisany nazwiskiem. „O rany, co za bałagan, muszę znowu wszystko poukładać”.

Idzie do sypialni, rozpinając koszulę. „Wiesz, kochanie, nie chce mi się spać. Będzie ci przeszkadzało, jak tu popracuję? Prawda, że nie? Zawsze byłaś taka wyrozumiała”.

Zdejmuje koszulę, rzuca na łóżko, zakłada starą bluzę, którą nosi po domu. Pochyla się, plecy boją, od kiedy poprzedniego dnia zasnął przy biurku nad papierami. Na szczęście budzę się często na siku, powtarza sobie w duchu.

Patrzy na łóżko. Puste. Wzdycha: trzeba być cierpliwym, kochanie. Wiem, że go wreszcie dopadnę, to kwestia czasu.

Wraca do pokoju, gdzie pośród zdjęć przyczepionych do ściany jest jedno szczególnie: przedstawia kobietę z czułym uśmiechem.

„Cześć, skarbie”.

– ...no więc adwokat wyrażał się jasno: nie możemy się widywać ani rozmawiać, ale tylko przez jakiś czas.

– Oszalałeś? A niby dlaczego? To bez sensu. Lepiej się przyznaj, zamierzasz skorzystać z sytuacji, żeby mnie odsunąć. Ale ja ci na to nie pozwolę, zrozumiałeś? Nie pozwolę.

– To wcale nie tak. Wręcz przeciwnie. Jeśli chcemy ocalić nas dwoje, jeśli chcemy...

– Bzdura. Ten twój adwokat to jakiś dupek albo ty go wykorzystujesz do swoich celów. Prawda jest taka, że chcesz zerwać, już chciałeś... zanim to się stało. Taka prawda.

– Nie rozumiesz, nawet nie próbujesz zrozumieć. Widzisz, że dzwonię z innego numeru? Nie zdajesz sobie sprawy... nie rozumiesz, co się stało? Adwokat mówił jasno: nie wolno mi odpowiadać na żadne pytania. A wiesz dlaczego? Bo nie mam dowodów. Nie mamy dowodów. Nasze nazwiska nie widnieją w żadnym rejestrze hotelowym, nikt nas nie widział. Nie ma żadnego pieprzonego dowodu ani żadnego świadka, że tam byliśmy przez ten cały czas.

– No jasne, bo jak ktoś jedzie się pieprzyć, to woła: chodźcie tu wszyscy, zostawcie nazwisko i namiary, a najlepiej jeszcze numer dowodu, będzie potem łatwiej was znaleźć. Wszystko przez tę twoją przekłątą obsesję dyskrecji. Ukrywać się, ciągle ukrywać... i teraz masz tego skutek.

– W każdym razie powtarzam ci, adwokat mówił jasno: żadnych kontaktów, jeśli wolisz pozostać poza całą tą historią.

– A co z twoimi pracownikami? Zawsze mnie nienawidzili. Jak ich przekonasz, żeby nie puścili pary z gęby o nas? Wiesz, że jak tylko poczują okazję, chętnie mnie obrzucą gównem.

– Nie, spokojnie. Daję im pracę i utrzymanie, nie zrobią nic, co może mi zaszkodzić. A ty dasz radę się opanować i siedzieć cicho?

– Przemawiasz do mnie jak do małej dziewczynki. Niezła różnica w stosunku do tego, co... co było kiedyś. Kiedy miałeś ochotę, nie traktowałeś mnie jak grzecznej dziewczynki. Będę grzeczna, kiedy sama uznam, że powinnam być grzeczna. Ale wiesz, że potrafię być niedobra, bardzo niedobra. Nie jestem jak inne dziwki, które wyrywałeś. Jestem kobietą, kobietą z jajami. Mam większe jaja od ciebie, to pewne.

– Nie twierdzę, że nie, skarbie, nic z tych rzeczy. Mówię tylko, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Żeby do ciebie zadzwonić, musiałem nawet wziąć kartę do telefonu zarejestrowaną na kogoś innego, którą potem zniszczę. Adwokat ostrzega, że...

– Dość z tym pierdolonym adwokatem! Powiesz mu, że niedługo niczego już się nie da ukryć. Że cała sprawa będzie musiała być ujawniona, bo jak nie, to jestem zdolna do wszystkiego.

– Co to znaczy „do wszystkiego”? Już mnie wkurwiają te twoje pogrożki. Nie ogarniasz, co się stało? Nie zdajesz sobie sprawy? Ona... Boże, nawet nie umiem tego powiedzieć na głos. Nie masz ani trochę serca?

– No i co z tego? Tyle ludzi codziennie umiera na świecie. A poza tym, czy sam nie powtarzałeś w kółko: „Ale bym chciał, żeby jej nie było”? Nie pamiętasz już? Mówiłeś mi to zawsze, kiedy leżałam naga w twoich ramionach. Powinieneś się teraz cieszyć. Miej chociaż odwagę być wierny sobie.

– Czuję się winny. Czuję się tak, jakbym też umierał. To, że o tym myślałem, że sobie tego życzyłem... mój Boże.

– Płaczesz? A płacz, płacz. Jesteś zerem, nie wiem, jak mogłam się w tobie zakochać. Ale nie ma już odwrotu. Nie ma, rozumiesz? Trzeba teraz iść do końca. Jeszcze by tego brakowało, że dasz się wsadzić do paki.

– To bardzo realna możliwość, zdajesz sobie sprawę? Choćby dlatego musisz uważać, nawet jak ci na mnie nie zależy. Musimy uważać. Zrób to dla nas, zrób to dla...

– ...dla niego, tak. Zrobię to dla niego. Ale pamiętaj, musisz wszystko uporządkować. I to szybko, bardzo szybko. Bo jak nie, to zacznę mówić. Długo nie będę czekać.

– Postaram się tak mocno, jak tylko zdołam. Obiecuję, ale, na miłość boską, nie rób żadnych głupot. Proszę.

– No dobra. Ale ty się postaraj.

Notariusz wyszedł z kancelarii, żeby wrócić do domu. Miał twarz przeoraną bólem, zmartwieniami i nagłym obezwładniającym zmęczeniem. Jakże daleko był tamten młodzieńczy, opalony, pogodny mężczyzna, który godzinę wcześniej przekroczył próg biura po wyjątkowo udanym weekendzie.

Lojacono i Aragona odprowadzali go wzrokiem, starając się wychwycić – tak jak ustalili z Piras – ewentualne porozumiewawcze spojrzenia rzucone w stronę pracowników kancelarii, którzy mieli zostać przesłuchani. Ale szedł wpatrzony tępo przed siebie, nie spoglądając na nikogo. Najstarsza wiekiem pracownica, Rea, zrobiła krok do przodu, jakby chciała do niego podejść, ale stanęła, gdy zrozumiała, że nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

W drzwiach wymamrotał:

– Kancelaria będzie zamknięta. Klientom, którzy byli na dziś poumawiani, przekażcie, żeby w pilnych sprawach zwrócili się do notariusza Dal Canto. Odezwę się sam, na razie proszę mi nie przeszkadzać.

Drzwi zatrzasnęły się za nim głucho. Lojacono i Aragona udali się do małego pustego gabinetu, gdzie zamierzali rozmawiać po kolei z pracownikami. Inspektor zdawał sobie sprawę, że te nieformalne przesłuchania nie będą miały żadnej wartości w sądzie. Ale potrzebował jakiegokolwiek śladu. A ślady widać tylko wtedy, kiedy są świeże.

Na pierwszy ogień poszła Rea, pracowała z notariuszem najdłużej.

– Jestem tu, od kiedy działa kancelaria, panie inspektorze, ponad trzydzieści lat. Byliśmy młodzi, pełni zapału, a praca miała zupełnie inny charakter. Każdy akt to osobna historia. Teraz przez te cholerne komputery wszystko wychodzi takie samo. A pan notariusz? Cudowny człowiek. Inteligentny, oddany pracy, z poczuciem humoru, uprzejmy. Stawia trudnościom czoło bez uników. Mażonkę widywaliśmy bardzo rzadko. Pamiętam, że wiele lat temu przychodziła do kancelarii codziennie. Potem stopniowo zaczęła żyć swoim życiem. A pan notariusz... to nie jest mężczyzna, którego można zostawić samego. Który by mógł być sam. Nie, tego nie

powiedziałam, nie wiem, czy miał jakieś związki, to nie moje sprawy. Ale niech wam nawet do głowy nie przyjdzie, że on skrzywdził żonę. Jest zbyt prawy.

Lojacono obserwował jej wąskie usta, małe oczy za grubymi szklami i zmarszczki wokół ust nadające jej twarzy zacięty wyraz. Wyczuwał pod słowami całkowite, psie oddanie tej kobiety w stosunku do Festy. Od niej nigdy nie uzyska niczego, co mogłoby szefowi zaszkodzić. Postanowił zagrać na strunie zazdrości.

– Czasami zdarza się, że mężczyzna pełen sił witalnych czuje się samotny, jeśli jego bliscy nie dotrzymują mu kroku. Bywa. I bywa tak, że szuka towarzystwa, że tak powiem.

Lina prychnęła:

– Przelotne znajomości. Liczy się tylko to, kto zostaje na zawsze, inspektorze. Nie domagając się niczego w zamian.

– Tak jak jego małżonka?

– Tak, tak jak ona, nieszczęsna.

– Gdzie był pan notariusz wczoraj późnym wieczorem? I gdzie pani przebywała? Jej źrenice błysnęły zza okularów.

– Nie byłam z nim, panie inspektorze. Z matką i siostrą oglądałyśmy telewizję. W domu. Może pan sprawdzić. A pan Festa... proszę jego zapytać.

– A pani sądziła, że gdzie on jest?

– Och, taki człowiek ma mnóstwo zajęć i znajomości. Jednak nigdy by nikogo nie skrzywdził. Zwłaszcza żony. Na pewno.

Aragona, zanim zaprosił kolejną osobę, zwrócił się do Lojacono. Miał irytujący zwyczaj zdejmowania i wkładania przyciemnianych okularów powolnym wystudiowanym gestem, podpatrzonym w amerykańskich serialach, i teraz robił to z namaszczeniem, które przekraczało wszelkie granice parodii.

– Według mnie w swoim staropanieńskim pokoju wyprawia cholera wie jakie świństwa, myśląc o notariuszu. Nie sądzę, żebyśmy się od niej dowiedzieli, z kim i gdzie wczoraj był.

– Tak, wygląda na najbardziej zamkniętą. Ale i tak notuj, posprawdzamy alibi. Dawaj następną.

Imma Arace, dziewczyna, która ich powitała w kancelarii, ani na chwilę nie przestała płakać. Ścisnęła w garści mokrą chusteczkę, oczy miała czerwone

i spuchnięte. Pociągała nosem, co jakiś czas głośno go wydmuchiwała.

Aragona patrzył z niesmakiem.

– Niech panienka przestanie płakać. Bardzo byłyście ze sobą związane?

– Nie, skądże. Raz ją widziałam, na przyjęciu z okazji urodzin pana notariusza; zrobiliśmy mu niespodziankę. Wcale jej nie znałam.

– To dlaczego panienka tak rozpacza?

– Łatwo się wzruszam. No i żal mi szefa, biedaczek. Chociaż...

Lojacono czujnie nadstawił uszu.

– Chociaż?

Zrobiła grymas.

– To mężczyzna. A mężczyźni zaraz znajdują pocieszenie.

Aragona zdjął szerokim ruchem ręki okulary, skierował swoje obwiedzione nieopaloną skórą oczy na jej twarz. Wyglądał jak panda na negatywie zdjęcia, ale na młodej pracownicy kancelarii zrobiło to wrażenie.

– Ma pani na myśli: z inną kobietą?

Zamrugnęła zaskoczona.

– A co, z innym mężczyzną? Pan notariusz z pewnością nie z tych, co grają po tej samej stronie boiska.

– A pani skąd wie?

– Po prostu wiem. Kiedy ktoś jest gejem, to widać, nie? Po tym jak się porusza, mówi...

Lojacono postanowił przerwać tę kabaretową scenkę.

– Czy jest pani wiadomo o relacji notariusza z inną kobietą?

Pytanie zawisło w ciszy. Po długim wahaniu odpowiedziała:

– Nie, tak szczerze to nie mam pojęcia, czy się z jakąś związał. Ale że lubi kobiety, to bez wątplenia.

Niczego innego nie chciała dodać. Kiedy wyszła, Aragona szepnął:

– Ta też coś wie. Ale trzymają język za zębami.

– Racja, moim zdaniem z tych rozmów nic nie uzyskamy. Trudno, musimy próbować, bo potem kiedy notariusz się ogarnie, to już na pewno nikt nie puści pary

z ust.

Aragona wprowadził Rino De Lucię.

Urzędnik odpowiedzialny za weksle był w kancelarii jedynym mężczyzną poza notariuszem, ale nie mógłby się bardziej różnić od swojego pracodawcy. Ciągłe poprawiał żalostną zaczeskę na lśniącym czubku łysiejącej głowy. Okulary grube jak denka butelek powiększały jego oczy krótkowidza.

– To mi się w głowie nie mieści, inspektorze, biedna pani. I biedny szef, pęknie mu się serce, byli razem od tyłu, tyłu lat.

Lojacono przytaknął znudzony.

– Znał ją pan?

– Znałem ją? Oczywiście. Pracuję tu ponad dwadzieścia lat, pan notariusz wykorzystuje mnie też jako kierowcę. Zajmuję się wekslami, po południu nie ma na ogół wiele do zrobienia. Pani nie prowadzi, to znaczy nie prowadziła, więc ja woziłem ją samochodem pana notariusza na zakupy czy spotkania dobroczynne. Wspaniała kobieta, zapewniam. Święta! Taka miła dla wszystkich.

Aragona powtórzył numer z okularami.

– I nigdy nie wspomniała panu o kimś, kto mógłby czuć do niej wrogość z jakiegoś powodu? Albo może miała jakieś problemy, coś ją ostatnio martwiło?

– Ostatnio martwiło? Nie, nic. Nie rozmawialiśmy za bardzo. Czekałem pod domem, wsiadała, mówiła dzień dobry albo dobry wieczór i dokąd ją zawieźć, a ja zawoziłem. Tylko tyle.

Faktycznie, pomyślał Lojacono, nikt nie będzie się zwierzał facetowi, który ma okropny zwyczaj powtarzania ostatniego usłyszanego zdania.

– Kiedy przyszliśmy, wiedział pan, że szef jest w Sorrento, a nie na Capri, jak powiedział żonie. Skąd?

– Skąd? Wiedziałem, bo pan notariusz zawsze musi być osiągalny, żeby podpisać oprotestowane weksle. To trzeba zrobić w określonym terminie. Ponieważ się tym zajmuję, to ważne, żebym miał z nim stały kontakt.

– A więc wiedział pan, z kim jest?

Rino zaczął się pocić, na czole pojawiły się perlister kropelki.

– Z kim jest? Nie wiedziałem z kim. Mówiłem, że muszę mieć z nim kontakt, a nie że tam z nim pojechałem. To nie było konieczne.

– Zdaje pan sobie sprawę, że taki brak współpracy może okazać się dla pana zgubny? Gdyby niebawem się okazało, że krył pan notariusza, a on popełnił przestępstwo, to wpakuje się pan w poważne kłopoty.

– Poważne kłopoty. Ale gdzież ja bym przed wami ukrywał coś ważnego. Czuję się przywiązany do pani. Biedaczka, została... aż mi to trudno przyznać, została sama w domu, osaczona przez wicherę, podczas gdy mąż wyjechał... Naprawdę nic nie wiem. Nic.

Aragona spojrział na Lojacono, zanim z powrotem włożył na nos okulary.

Pozostawało przesłuchać jeszcze tę ogarniętą blondynkę od komputerów. Marina Lanza miała najkrótszy staż w biurze, bo, jak wyjaśniła policjantom, notariusz późno pogodził się z całkowitą niezdolnością pani Rei do zapanowania nad komputerami.

– Nie trzeba do tego dyplomu z informatyki. Wystarczy myśleć logicznie i mieć otwarty umysł, a tego szanowna pani nie ma.

Inspektorowi nie umknęła ewidentna animozja w łonie personelu. Może jest jeszcze jakaś nadzieja.

– Proszę nam powiedzieć, czy ma pani pojęcie, gdzie i z kim przebywał wczoraj wieczorem szef?

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Był w Sorrento czy innym podobnym miejscu. Na pewno nie u siebie w domu.

Lojacono przytaknął.

– Już to słyszeliśmy. Ale byłem ciekaw pani opinii.

– Mojej opinii, powiada pan? No cóż, moja opinia jest taka, że szef lubi cieszyć się życiem. Ale ja tu pracuję i chcę pracować dalej. Wygodna robota, w sumie nieźle płatna, jeśli się popatrzy na zakres obowiązków. Jasne, zespół taki sobie, ale zajmują się swoimi sprawami, a że nikt się nie zna na tym, co robię, to mi nie przeszkadzają.

Wtrącił się Aragona, znów z okularami w ręku.

– Obowiązuje nas tajemnica służbowa, zapewniam panią. Proszę mówić swobodnie, panno Lanza. Panno, mam rację?

Po cielecym wyrazie twarzy inspektor się zorientował, że kolega próbuje poderwać dziewczynę, i przez moment się zląkł, że to ją spłoszy. Ale Marinie to wyraźnie pochlebiało, zarumieniła się.

– Tak, panna. Nie boję się nikogo, nawet tej jędzy Rei. A tamci dwoje się nie liczą, para durniów. Jeśli zapewnicie mi pełną dyskrecję, zwłaszcza wobec notariusza...

Aragona teatralnie odwrócił twarz w stronę Lojacono, przygryzając zausznik okularów. Inspektor musiał się wysilić, żeby nie wybuchnąć śmiechem, ale potwierdził wyraźnym ruchem głowy.

– Proszę mówić. Jak panią już zapewniłem, wszystko zostanie w tym pokoju.

– W zeszłym tygodniu – zaczęła Marina – młoda, bardzo piękna kobieta wpadła do kancelarii jak burza. Nie przywitała się z nikim, tylko od razu popędziła do gabinetu szefa. Trzasnęła drzwiami. Słysząc było krzyki, ale nie dało się rozróżnić słów. Inni patrzyli po sobie, jakby wiedzieli, o kogo chodzi, ale ja jej nigdy nie widziałam. Potem wyszła i zniknęła bez pożegnania.

Aragona i Lojacono czekali, ale wyglądało na to, że nie miała już nic do dodania.

– Nikt tego nie skomentował? – zapytał inspektor. – Ktoś z pracowników jakoś zareagował?

Spojrzała na Aragone, jakby oczekiwała od niego zgody na odpowiedź. Kiedy dał jej znak, żeby mówiła dalej, rzuciła okiem na zamknięte drzwi i wyszeptała:

– Ta stara zasznurowana panna, to znaczy Rea, syknęła: „Co za zdzira”. Półgłosem, jakby do siebie. A Arace zaczęła chichotać. De Lucia jak zwykle wetknął nos w papiery i słowem się nie odezwał.

– Nie wie pani może, jak się ta kobieta nazywa?

– Jasne, że wiem. Russo, Iolanda Russo. Arace mi powiedziała jeszcze tego samego dnia. Mówiła, że babka jest księgową, szef ją poznał, bo pracowała dla jednego z naszych klientów. I że historia ciągnie się już rok. Na początku Russo bez przerwy siedziała u nas w biurze, ale od paru miesięcy przestała się pokazywać.

– Sądzi pani, że notariusz był wczoraj wieczorem z tą Iolandą?

Przytaknęła z przekonaniem.

– Tak. Potem, jak sobie poszła, szef wyszedł z gabinetu cały blady i oznajmił, że na weekend wyjeżdża, ale mamy powtarzać, że jest na Capri na kongresie.

Aragona i Lojacono chwilę dumali nad tym, co usłyszeli. Potem inspektor zapytał:

– Jak działa sieć komputerowa w biurze? Każdy ma osobne stanowisko, z własną skrzynką pocztową, czy może...

– Komputery są spięte w sieć. Jest jedna skrzynka biurowa i jedna osobista szefa. Rea i De Lucia są upoważnieni, żeby w pilnych sprawach korzystać z terminala pana notariusza, pod jego nieobecność. Ale chyba nie mają dostępu do skrzynki.

– Czyli prywatną pocztę szef wysyła tylko ze swojego komputera?

– Na pewno. Nie z tego biurowego. Poza tym on chyba nie bardzo ogarnia te sprawy, raz mi powiedział, że nie ma w domu nawet laptopa.

Lojacono zanotował w myślach: przekazać technikom z centrali, żeby zabrali i zbadali komputer z biurka Festy. Był ciekaw, co z niego wydobędą. Podziękował dziewczynie.

Aragona znów założył okulary i dodał:

– Proszę mi zostawić numer telefonu. W razie gdybyśmy jeszcze czegoś potrzebowali...

Alessandra Di Nardo, zwana Alex, wolałaby zjeść kolację przy wyłączonym telewizorze. Nie to, żeby szczególnie ceniła pogawędki przy stole, ale ten poziom głośności – zbyt niski, żeby dobrze usłyszeć, co mówią, a zbyt wysoki, żeby dało się go zignorować – bardzo ją irytował. Nic nie mogła jednak na to poradzić, skoro generał życzył sobie mieć włączony telewizor.

Ojciec, od kiedy przeszedł na emeryturę, wzmocnił już i tak niekwestionowany status władcy absolutnego w naszej rodzinie. Jego potrzeby i wymagania zawsze były najważniejsze, ale teraz, kiedy z konieczności spędzał więcej czasu w domu, sprzeczki na każdy możliwy temat stały się prawie nieuniknione. A sprzeczka z generałem za każdym razem kończyła się tak samo: racja była po jego stronie.

Jedząc w milczeniu, Alex rzuciła okiem na matkę, milkliwą, poukładaną kobietę, która co najmniej raz na minutę zerknęła na męża, żeby uprzedzić jego ewentualne życzenia czy potrzeby. Całe życie w służbie tego mężczyzny. Żałosne.

Generał zwykle jadł, nie okazując żadnego uznania dla potraw. Kęs po kęsie, aż talerz był czysty. Alex nie umiałaby zliczyć, ile razy wysłuchiwała opowieści o epickich wyczynach w dalekich krajach, tajnych misjach, podczas których przez kilka dni nie miał nic do jedzenia, a więc w konsekwencji o tym, jak bardzo trzeba doceniać fakt, że na stole jest ciepły posiłek. Co za nuda.

Nigdy jednak nie okazywała znudzenia. Kiedy ojciec mówił, zegary w całym domu stawały, a wszystkie osoby i przedmioty tężały w oczekiwaniu na każde słowo wyroczni. Nagle zabrakło jej powietrza.

– Mamo, po kolacji wychodzę, mamy spotkanie z nowymi kolegami z pracy.

– Dobrze. Już się polubiliście? To miło, że się spotykacie, prawda?

Pytanie było skierowane do generała, który wymamrotał coś, nie odrywając wzroku od telewizora. Alex odpowiedziała:

– Nie, po prostu komisarz próbuje z nas skleić grupę. Tylko tyle. Jest nas garstka, więc łatwo zorganizować spotkanie poza biurem.

– A są tam jacyś kawalerowie? – Kawa na łąkę, bez żadnej gry wstępnej. Generał zawsze zmierzał do sedna.

– Nie wiem, może.

Dwadzieścia osiem lat i nawet jeszcze się nie zaręczyła. To jedyny temat rozmów z ojcem, oczywiście oprócz broni i strzelania.

Matka usiłowała skierować rozmowę na inne tory.

– Może się okaże, że tam będzie lepsza atmosfera, kto wie? I nie będziesz miała tych samych... tych samych problemów.

Problemów. Właściwie to nie miała problemów, tylko je wywołała.

– Skończyłam, idę się wyszykować.

Zdarzały się wieczory, kiedy Alex zwyczajnie nie potrafiła wytrzymać w domu. Coś w niej zaczynało wyć, musiała gdzieś wyjść. Zawsze tak było, myślała, przebijając się przez gęsty ruch uliczny w stronę przedmieść. Były w niej dwie kobiety: jedna podobna do matki, milcząca i spolegliwa, druga – zamknięta w pokoiku w głębi duszy. Co jakiś czas płakała tak głośno, że nie dało się jej nie usłyszeć.

Dwie. Dwie natury, dwie osoby. Światło i cień. Może wszyscy tak mają? Może nie istnieje – zastanawia się chwilę – różnica między mną a mamą, między mną a generałem? Jesteśmy wszyscy tacy sami: jasna strona i ciemna strona.

Przypomniała sobie kolegę Romano, z którym cały ranek zajmowała się przywidzeniami jakiejś staruchy. A może to nie przywidzenia. On, taki mrukliwy, też miał zapewne dobre strony. Na przykład mógł być wspaniałym ojcem. Albo z kolegami przy piwie zrzucił tę cierpiętniczą minę wprasowaną w twarz. Ja sama wiele się od niego nie różnię, stwierdziła w duchu. Rzęsiste światła centrum ustąpiły miejsca półmrokowi peryferii. Cisza, zamknięte drzwi do mieszkania. Może ostatni moment, kiedy światło i cień się stykały, był dwanaście lat temu w licealnym internacie. Cudowne lato, kiedy miała szesnaście lat. Dawno temu. Może zbyt dawno.

Prowadziła niespiesznie. Jej mały samochód sunął powoli pustymi ulicami. Wieczór dnia powszedniego w czasach kryzysu. Ludzie coraz mniej wychodzili. Ale nie aż tak jak tamta kobieta, która rozmawiała z nimi dziś rano przez zaryglowane drzwi. Według staruchy tajemnicza lokatorka nigdy nie opuszczała mieszkania.

Alex dosłyszała w jej głosie wahanie. A także, pomimo bariery z drewna, wywęszyła cień lęku. Lęku przed czym? Że coś straci? Że ktoś się rozgniewa? Lęk jest zawsze dzieckiem przemocy, pomyślała. Tylko że istnieje wiele typów przemocy. Więc i lęków.

Wyprzedzając prawie pusty autobus, pomyślała o generale. Mój lęk. A może to ja jestem powodem jego obaw? Teraz, na starość, kiedy z jego życia już nic nie wypłynie, to ja stanowią źródło jego lęku. Bo pomimo swojego wieku nie myślę o mężu i dzieciach. Obserwujesz mnie ukradkiem, generale. Wiem, że się przyglądasz. Ale teraz moja kolej, by nie dać ci do siebie dostępu, nie pozwolić się poznać. Za późno, generale. Już późno.

Nie wiadomo czemu przyszedł jej do głowy Palma. Dziwny szef, wesoły i towarzyski. Pewnie tylko dlatego, że zaczęli i chciał ich solidnie zmotywować. Jak by to było mieć jego za ojca zamiast generała? Może tak samo. A może nie. Nie ma sensu o tym rozmyślać. Tak czy siak, Palma wydawał się zupełnie inny niż Rigoni, jej poprzedni szef z Decumano. Stary kutas bał się nawet swojego cienia. Przypomniała sobie jego twarz, gdy na odgłos wystrzału wybiegł ze swojego gabinetu. Przerazenie, niepewność. A potem złość skierowana na nią.

Nic nie straciłam, przekonywała sama siebie, skręcając w niczym niewyróżniające się podwórko. Nic. Jedno miejsce warte drugiego. Ważne, żebym mogła wykonywać swoją pracę.

Zaparkowała w boksie garażowym tak, żeby nie było widać samochodu, i wysiadła. Dyskrecja, to ją uspokajało. Dzięki dyskrecji to miejsce cieszyło się bardzo dużą popularnością. Winda przewiozła ją z garażu bezpośrednio do szatni. Wyciągnęła z torby bandanę, którą owinęła krótkie włosy, i czarną maseczkę. Oddała szatniarce płaszcz, żakiet i torbę. Czarny top i obcisłe spodnie, które miała na sobie, wydawały jej się dobrym strojem na stopień pośredni pomiędzy jedną Alex a drugą.

Otulił ją ciepły jazz, oczy oswajały się z ciemnością ledwo rozpraszaną przez przyćmione kolorowe światła. Podeszła do baru i zamówiła coś do picia. Nie potrzebowała niczego dla kurażu, jak za pierwszym razem, ale przyzwyczała się do rozgrzewającego ją alkoholu, to już trwale kojarzyło się jej z tym miejscem.

Podszedł krótko ostrzyżony, szpakowaty mężczyzna. Ciemne oczy, przyklejony sztuczny uśmiech. Pewny siebie. Zapytał, czy może jej postawić drinka. Odmówiła.

Jego spojrzenie natychmiast stało się lodowate, oddalił się bez pozdrowienia. Alex nie przyszła tu po kogoś takiego.

Ze szklanką w dłoni zapuściła się w głąb lokalu. Dobrze wiedziała, dokąd pójść, ale lubiła tam docierać powoli, jakby przez przypadek. Lubiała sobie wyobrazać, że znalazła się w tym miejscu niechcący, bez żadnego udziału woli. Tak jakby nie gnała jej tam silna, dojmująca ochota.

Minęła kilka pokoi zanurzonych w półmroku. Cicha muzyka pozwalała na rozmowy, ale zapewniała pełną dyskrecję konwersacji. Wiele osób miało maski tak jak ona, niektóre nie miały. Alex wiedziała, że czasami właśnie odkrycie siebie i swojej tożsamości przynosi przyjemność. Ale to nie jej przypadek. Niekiedy snuła fantazje, że spotyka tu kogoś znajomego. Śmiać jej się chciało na tę myśl. Ona pozostałaby zamaskowana i miałyby niezły ubaw, widząc prawdziwą naturę ludzi, może nawet samego generała? Rozważała chwilę, jak bardzo taka sytuacja byłaby nieprawdopodobna. Największy występki, jakiego dopuścił się ojciec, to palenie papierosów w szkolnym kiblu.

Minęło ją dwóch zamaskowanych mężczyzn trzymających się za rękę. Trochę dalej facet przedstawiał swoją towarzyszkę innemu, który ją pocałował w usta.

Powietrze robiło się coraz cieplejsze. Alex upiła łyczek.

Doszła do większej sali, gdzie ludzie tańczyli zmysłowo do wolnej muzyki. Obserwowała ich. Pod ścianą stała samotna kobieta. Wysoka, długie rude włosy, wysadzana brylancikami maska przykrywała oczy i nos. Ramiona odsłonięte, głęboki dekolt, obfite piersi, wolne pod cienką tkaniną czarnej krótkiej sukienki. Długie nogi, błyszczące buty. Agresywny wygląd, ale dość niepewna postawa. Typowe dla kogoś, kto jest tu po raz pierwszy.

Alex podeszła do niej z życzliwością. Szepnęła coś do ucha, dziewczyna się uśmiechnęła, ale była jeszcze spięta. Po chwili podała rękę i zaczęły tańczyć, kołysząc biodrami w takt muzyki. Nie dotykały się, patrzyły sobie w oczy ukryte za maskami, wszystko dookoła powoli bladło i znikało, poza saksofonem i lekkim zapachem potu, który wydobywał się z ich ciał. Po paru minutach były tylko one dwie: drobna gibka dziewczyna w spodniach i topie oraz kształtny kobiecy rudzielec z odsłoniętymi nogami. Przysunęły się do siebie nieznacznie, musnęły sutkami, elektryczny dreszcz przeszył obie.

Alex zbliżyła swoje usta do jej ust, poczuła zapach alkoholu, szminki i tajemnicy. Zielone oczy nabrały zmysłowego wyrazu i zniknął z nich wszelki ślad skrepowania.

Całowały się, splatając języki, podczas kiedy pożądanie pokonywało wszelkie bariery i wyciszało myśli. Jedna piosenka przeszła płynnie w drugą, towarzysząc ruchom ich ciał. Alex położyła dłoń na karku dziewczyny z rudymi włosami, a ta oparła swoje ręce o jej boki. Potem usta oderwały się od siebie. Oczy mówiły to, co skóra już dobrze wiedziała.

Alex wzięła partnerkę za rękę i zaprowadziła w kierunku drzwi do korytarza z osobnymi pokojami, gdzie bywalcy lokalu wreszcie mogli być sobą.

Strona cienia pokonała stronę światła.

XXVIII

Poprzedniego wieczora po przesłuchaniach Lojacocono zadzwonił na komisariat, aby przekazać, co ma.

Ottavia notowała:

– Russo Iolanda, księgowa. Zaraz się nią zajmę. Słuchaj, komisarz mówił, że jutro rano spotykamy się tutaj na odprawie. Pisanelli rozpytuje w okolicy o ofiarę, powinniśmy też mieć pierwszy raport kryminalistyczny. Pod domem notariusza pełno dziennikarzy, wiadomość się rozniosła.

Inspektor uważał takie zebrania za stratę czasu, poza tym lubił pracować sam. Obecność Aragoni go drażniła, chociaż musiał przyznać, że koleś odegrał pożyteczną rolę, kiedy niespodziewanie zadziałał swoim urokiem na pannę Arace.

Dotarł do pracy wcześniej, więc trochę go zaskoczyło, że Ottavia i Pisanelli siedzieli już przy swoich biurkach.

– Hej, w ogóle nie bywacie w domu?

Ottavia zachichotała:

– Bywamy, bywamy, ale wiesz, jak to jest z tą pracą, zagnieżdża ci się w głowie i świdruje od środka. Mam dla ciebie wieści. Ale powiem ci na zebraniu.

– Ja też mam wieści – wtrącił się Pisanelli, dotąd zatopiony w lekturze. – Znowu jesteśmy na pierwszych stronach gazet, mają nas na widelcu. Tak dla odmiany.

Nadszedł Romano, zarwana noc odbiła się na jego twarzy. Miał długą dyskusję z żoną, którą chciał przeprosić za to, że ją uderzył. Cały czas płakała, znów musiał się zdrzemnąć na kanapie, żeby miała trochę spokoju.

– Ranne ptaszki, hę? To dobrze. O której przychodzi szef? Potrzebuję zgody na wejście do mieszkania.

– Powinien być za parę minut – odpowiedziała Ottavia. – To w sprawie tego zgłoszenia telefonicznego?

Weszła Alex w ciemnych okularach.

– Tak, w tej sprawie. Coś dziwnego tam się dzieje.

Pisanelli przyjrzał się jej uważnie.

– Ciężka noc, co, koleżanko? Ja w twoim wieku... W każdym razie sprawdziłem w archiwum, Guardascione Amalia wcześniej nie składała żadnych doniesień. To nie jedna z tych, które dzwonią na 112 i wymyślają sobie cokolwiek, byleby z kimś porozmawiać.

Romano przytaknął.

– W pierwszej chwili wydawało mi się to bez sensu. A potem... Rzeczywiście była tam jakaś kobieta, która nie chciała nas wpuścić.

– I miała dziwne momenty zawahania – podsumowała Alex. – Nikt nigdy nie widział, żeby ktoś to mieszkanie opuszczał.

Wszedł Palma, zadowolony z tego, co widzi.

– No pięknie, pięknie, już jesteście. Zaczynamy solidnie działać. No więc, Di Nardo i Romano, chcecie dalej sprawdzać to zgłoszenie od pani Guardascione?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, pojawił się Aragona, pogwizdując. Jak tylko się zorientował, że cała ekipa już jest w biurze, przerwał nagle, sprawdził zegarek na ścianie i swój na rękę, żeby się upewnić, czy pokazują ten sam czas, i wreszcie odezwał się zdezorientowany:

– Przepraszam, dopiero ósma... było coś umówione na wcześniej, a ja nie wiedziałem?

Palma się zaśmiał.

– Nie, nie przejmuj się. Po prostu wszyscy lubimy wcześnie zaczynać dzień, to dobry znak.

Di Nardo starała się znowu skierować uwagę na kwestię zamkniętego mieszkania i tajemniczej lokatorki.

– Chcieliśmy prosić o nakaz, komisarzu. Musimy się zorientować, co się tam wyprawia w środku.

Romano usiłował trochę ją stonować w obawie, że wszystko okaże się bańką mydlaną, a oni wyjdą na nadgorliwych.

– Nie mamy żadnych konkretów, żeby było jasne. To raczej wrażenie. Ale fakt, oboje sądzimy, że trzeba zgłoszenie porządnie zweryfikować. Dla świętego spokoju.

Palma szybko zanotował.

– Dobra. Zgoda. Ufam waszym przeczuciom. Ottavio, poproś dyżurnego prokuratora o nakaz. Di Nardo poda ci wszystkie dane: adres, godzina zgłoszenia, raport z wizji lokalnej i tak dalej. Załatwcie to dzisiaj do południa. A skoro jesteśmy tu wszyscy, zajmijmy się drugą sprawą.

Wyjął z torby plik gazet i rozłożył na biurku Ottavii.

– No więc zabójstwo pani De Santis trafiło na pierwsze strony lokalnych gazet. Jakiś dupek, pewnie jeden z tych policjantów z centrali albo ta Bułgarka, w każdym razie ktoś puścił parę, że brakuje trochę sreber. Stąd lawina komentarzy na temat bezpieczeństwa, że złodzieje już nie mają żadnych skrupułów i tak dalej. Jak dobrze wiecie, zabójstwo w afekcie to jedno, a napad rabunkowy z ofiarą śmiertelną to drugie.

– Nikt się nie przejmuje, że zginęła kobieta, niezależnie od tego, kim była – zauważył gorzko Lojacono. – Każdy tylko myśli, czy jemu też to się może przydarzyć albo czy w grę wchodziła zdrada. Jak zawsze.

– Niestety, teraz mamy na karku nie tylko opinię publiczną, ale i górę. Wczoraj osobiście dzwonił do mnie komendant miejski, żeby się upewnić, czy damy radę, czy nie potrzebujemy wsparcia, a na koniec bez ogródek zapytał, czy chcemy oddać sprawę centrali.

Lojacono popatrzył na niego bez wyrazu.

– I co mu powiedziałaś, komisarzu?

– A według ciebie co mu powiedziałem? Że sytuacja jest pod kontrolą, że nie potrzebujemy niczego i sami to ogarniemy. Tyle powiedziałem. Ale wiemy, że nie mamy dużo czasu.

– No i wiemy, że brakuje sreber – wtrącił się Aragona. – Nie tak dużo, jak twierdzi gosposia, ale jednak.

– Drzwi do mieszkania, brama, okno... jakieś ślady włamania? – zapytał Romano. – Stłuczona szyba, rozkręcony zawias?

Aragona wykonał swój popisowy numer z okularami, tyle że dodatkowo zmarszczył czoło i obniżył głos o oktawę:

– Nie, nic. Ewidentnie ofiara знаła swojego zabójcę i sama otworzyła mu drzwi.

Ottavia i Pisanelli przyłożyli do twarzy gazety, żeby ukryć śmiech.

– A może zabójca miał klucz. Co nas prowadzi z powrotem do notariusza: gdzie był, z kim i tak dalej. Niewykluczone, że kradzież sreber to tylko zmylenie tropu.

– Jaką kobietą była ta żona notariusza? – włączyła się Alex. – Ktoś mógł mieć z nią na pieńku?

Palma był zadowolony. Udział całego jego zespołu w dyskusji to dobry znak.

– Pisanelli, ty znasz tu wszystkich w dzielnicy, odpowiesz?

– Dzięki za zaufanie, faktycznie znam dużo ludzi i przez te lata nauczyłem się orientować w terenie. Popytałem w okolicy, dodałem to do tego, co pamiętałem. –

Rozłożył kilka kartek, uzbroidł się w okulary i mówił dalej: – No więc Cecilia De Santis, lat pięćdziesiąt siedem. Pochodziła z dobrej rodziny, deweloperzy, hotelarze, bardzo bogaci i szanowani. Rotary Club, stowarzyszenia dobroczynne, wszystko to, co konieczne, żeby znajdować się w centrum mieszczańskiego świata. Porządnie wykształcona, inteligentna i bogata, ale brzydka. Średniego wzrostu, raczej krągła. Nie bardzo towarzyska, introwertyczna. Podczas studiów zakochuje się w notariuszu, są rówieśnikami. Chłopak pochodzi z zapadłej prowincji w Lukanii, z biednej rodziny, więc żeby zarobić na studia, pracuje jako kelner.

Aragona, zakładając okulary, skomentował:

– Nie mogę sobie wyobrazić jego jako kelnera z tą arogancką miną. Musiał nieźle obrywać.

– Może kiedyś nie był taki arogancki. W każdym razie spotkali się i zakochali. Jej rodzina, jak słyszałem, nie chciała tego związku. Sporo czasu minęło, zanim dali się przekonać. Zdaje się, że paru kuzynów przyjęło ich w domu dopiero po dziesięciu latach. To ona go utrzymywała aż do końca aplikacji. Ale był zdolny i zdał za pierwszym podejściem.

– Bez żadnej protekcji ani pomocy z góry, ma się rozumieć – syknął ironicznie Romano.

Pisanelli wzruszył ramionami.

– Trudno stwierdzić. Faktem jest, że tego samego roku wzięli ślub. Powoli on staje się jednym z najważniejszych prawników w mieście, pracuje przy największych transakcjach i fuzjach spółek. Ona za to porzuca wszelkie aspiracje zawodowe, zresztą zawsze niezbyt wysokie, i tka sieć kontaktów, które mają dać wsparcie mężowi.

– A małżeństwo jak się układało?

– Raz lepiej, raz gorzej, podobno. Nie udało im się z dziećmi i to zapewne ich oddaliło od siebie. On jest przystojny, dobrze zbudowany, wygląda młodo. Poza tym ma władzę, to zawsze działa na faceta jak najlepszy kosmetyk odmładzający. Po Cecylii za to widać wiek. Podobno przez te lata Festa był co najmniej w trzech związkach, których nawet nie ukrywał. Ona zawsze żyła w cieniu i nic nie dawała po sobie poznać.

– Jak znosiła skoki w bok męża? – spytała Calabrese.

– Rzadko widywano ich razem, tylko przy najważniejszych okazjach i świętach. Nic mi nie wiadomo o jakichś dramatycznych reakcjach, awanturach i tak dalej, to nie w jej typie. Od czterech czy pięciu lat wyglądało na to, że wszystko wróciło do normy. Aż parę miesięcy temu notariusz zaczął się znowu pojawiać w pewnych kręgach ze znacznie młodszą kobietą.

Ottavia zdjęła kartkę z drukarki i przeczytała:

– Russo Iolanda, księgowa i doradczyni podatkowa, bardzo energiczna, zaledwie dwadzieścia osiem lat, ale już bardzo znana. Wyspecjalizowana w obsłudze kontaktów z bankami. Poznali się na gruncie zawodowym, przy transakcjach nieruchomościami. Z początku się ukrywali, potem zaczęli się pokazywać normalnie jak para. Ruda piękność, robi wrażenie, elegancka. Ma fioła na punkcie butów. Nosi koturny albo dwunastocentymetrowe szpilki.

Wszyscy na nią spojrzeli, musiała się wytłumaczyć:

– No co? Strony plotkarskie opowiadają o każdym szczególe, więc...

Pisanelli wrócił do swojego wątku:

– No więc ofiara jest postacią, którą musimy jeszcze rozpracować. Zadałem tu i ówdzie nieoficjalnie parę pytań. Moja znajoma, która miała z nią częste kontakty, baronowa Ruffolo, powiedziała mi, że jeśli zachowamy dyskrecję i obiecamy, że niczego nie ujawnimy, to opowie nam, jaki to był typ kobiety i jakie życie prowadziła.

Lojacono przyjął tę wiadomość z radością.

– Dobrze, to ważne, ale nie możemy odkładać na bok wątku rabunkowego. Chociaż brak śladów włamania wydaje się w tym kontekście dziwny. Gdzie możemy namierzyć tę baronową?

– W klubie żeglarskim La Vela, tam bywają panie z wyższych sfer. Chodzą grać w karty, nasączać płuca oparami smoły, a wątrobę alkoholem. No i przede

wszystkim płuć na siebie jadę. Dasz mi znać, kiedy chcesz się spotkać, to do niej zadzwonię. Zjawia się tam codziennie po czwartej.

Aragona miał inną propozycję:

– Może najpierw przejdziemy się rozejrzeć w okolicy domu notariusza. Pogadamy z portierem, ze sklepikarzami.

– Na waszym miejscu przyjrzałbym się bliżej tej Bułgarce – dodał Romano. – Nie żebym miał jakiegokolwiek uprzedzenia, ale one często nawet nieświadomie... niejeden złodziej wykorzystuje gosposie, żeby wejść do domu. Miała przecież klucze, nie? To by tłumaczyło brak śladów włamania.

– Jak zwykle – prychnęła Alex. – Wystarczy, żeby w sprawę była zamieszana kobieta, i już łąduje na pierwszym miejscu wśród podejrzanych. Gosposia na pewno dobrze wiedziała, gdzie pani trzyma najcenniejsze rzeczy, biżuterię. Nie ograniczyłaby się do kradzieży paru sreber.

Aragona chwilę się nad tym zastanawiał.

– Mnie też dziewczyna wydawała się szczerze wstrząśnięta – odezwał się w końcu. – Ale być może ofiara zaskoczyła złodzieja, który wykończył ją tym, co miał pod ręką, czyli szklaną kulą, i uciekł tylko z tym, co zdołał złapać w drodze do drzwi. Gdyby to gosposia zabiła, po co by wracała? Po co by ryzykowała, że ktoś ją zobaczy?

Romano się bronił.

– Nie twierdzę, że dziewczyna działała z kimś w zмовie albo że to ona popełniła tę zbrodnię. Ktoś mógł jej podwędzić klucze i sobie je dorobić. To była tylko hipoteza, taka jak inne.

Palma starał się ustalić kolejność działań swoich funkcjonariuszy:

– Najpierw podjedziecie pogadać z portierem i ludźmi w okolicy. Spróbujecie wywęszyć, co gosposia ma z tym wspólnego. Potem wizyta w klubie żeglarskim. A tymczasem poprosimy, żeby nam szybciej przysłali wyniki autopsji i badań kryminalistycznych. Przejrzymy komputer świeżego wdowca, a nuż są tam jakieś tropy.

Lojacono przytaknął.

– Pozostaje najtrudniejsza część dochodzenia: ustalić, gdzie przebywał notariusz, kiedy zginęła jego żona. I gdzie się podziewała piękna młoda księgowa. Z tego, co

opowiada nowa znajoma Aragony, babka urządziła niezłą awanturę kochankowi. W zeszłym tygodniu. Dobrze byłoby wiedzieć, co sobie powiedzieli i jak postanowili spędzić weekend.

Wtrąciła się Ottavia:

– Mam kolegę w wydziale informatyki, uśmiechnę się do niego, żeby pilnie zbadał komputer notariusza. Jakby coś odkrył, to mi przekaże bezpośrednio, od ręki, bez formalności.

Palma był zadowolony:

– Super, Ottavio. Tobie żaden kolega nie umiałby odmówić.

Zarumieniła się, ale na szczęście nikt się nie zorientował.

Komisarz dodał na koniec:

– Ja się skontaktuję z Piras, żeby poinformować ją o podjętych czynnościach, chociaż zapewniała mnie, że ślepo ufa Lojacono. Jeśli czegoś potrzeba, dzwońcie. Może jesteśmy Bękartami, ale pokażmy wszystkim, że umiemy pracować.

Ottavia Calabrese raz na tydzień wozila syna na basen. Riccardo miał zajęcia trzy razy w tygodniu, ale poświęcenie męża, który zajmował się prawie wszystkimi obowiązkami związanymi z synem, pozwalało jej ograniczyć się do tego jednego razu. Jednak i tak jej ciążył.

Nie chodziło o problem z ułożeniem grafiku dyżurów tak, aby wykroić wolne popołudnie. Ani o to, że miała jechać samochodem przez zatłoczone miasto, czego nienawidziła. Nawet nie o to, że przez półtorej godziny musiała tkwić w wilgotnym wnętrzu, śmierdzącym potem i chlorem i znosić końskie zaloty instruktora. Nie mogła się do tego przyznać, ale nie znosiła być sam na sam z synem.

Nie umiała powiedzieć, kiedy zaczęła to czuć. Przez wiele lat, od momentu, gdy się zorientowali, że Riccardo żyje zamknięty w swoim świecie, z którego nie wychodzi, by nawiązać kontakt z resztą ludzkości, była kochającą oddaną matką. Pogodziła się z tym, że Riccardo nie ma żadnych urazów do leczenia czy uszkodzeń chirurgicznych, które przywróciłyby normalne życie jemu, a więc i rodzinie. Zrozumiała, że chłopak taki już zostanie, ewentualnie tylko z niewielkimi zmianami na lepsze, do końca swoich dni.

Nie mogła dostać od losu lepszego męża. Gaetano stał się jeszcze bardziej czuły, zakochany, serdeczny. Żył dla żony i syna, angażował się całym sobą, brał na siebie większość z tysięcy obowiązków związanych z potomkiem, spędzał z nim mnóstwo czasu. Jednak Riccardo jakby go w ogóle nie zauważał. Istniała tylko mama. Mama, jedyne słowo, które od zawsze wypowiadał jako tako rozumiałe.

Czekając, aż znajdą się sami w szatni, żeby rozebrać go i założyć mu strój kąpielowy, analizowała w myślach przeszłość, żeby zrozumieć, od kiedy zaczęła traktować dom jak więzienną celę. Gdyby tak się stało od razu na początku, to rozumiałe. Nie wszyscy mają dość siły, żeby wziąć na siebie taki ciężar. Ale to nie tak się potoczyło.

Kochała męża. Byli razem od dawna. Ona wspierała w karierze jego, a on ją – wiedział, że od dziecka marzyła, by zostać policjantką. Przeszli razem wiele. Riccardo zjawił się w chwili, gdy jako para mieli już wiele za sobą i mogli

udźwignąć tę sytuację. Znosili ją dzielnie, stawiano ich za przykład w stowarzyszeniach rodziców, do których należeli.

Upewniła się, że są sami. Riccardo nie chciał, by mu pomagała zakładać kąpielówki, kiedy w pobliżu przebierają się inni chłopcy. Uparcie kręcił głową i skamlał, przyciągając uwagę wszystkich dookoła. Lepiej zaczekać.

Dał sobie ściągnąć bluzę i dzinsy. Jeszcze raz Ottavia przekonała się, jak bardzo urósł, może nawet szybciej niż jego rówieśnicy. Zarost na twarzy, na klatce piersiowej i łonie gęstniał i uwidaczniał się na tle bladej skóry.

– Mama, mama – powiedział Riccardo chrapliwym głosem.

Nie zareagowała. Wiedziała, że to tylko takie zawołanie, potwierdzenie faktu, że ona jest blisko, koło niego. Założyła mu kąpielówki, najpierw na jedną nogę, potem na drugą. Zadawała sobie pytanie, jak to dalej będzie, kiedy bezsprzecznie wszedł już w wiek dojrzewania. W pracy nieraz widziała straszne rzeczy, akty przemocy dokonane przez osoby upośledzone, które nie panowały nad wybuchami swojej seksualności. Miała nadzieję, że jej syn nie znajdzie się w tej grupie. Myśl o seksie przyprawiła ją o skurcz żołądka. Ale z innego powodu. Zeszłej nocy Gaetano się do niej dobierał, udawała, że śpi. Znowu. Zastanawiała się, jak długo jeszcze da radę tego unikać pod różnymi drobnymi pretekstami.

Podchodząc do brzegu basenu z Riccardem za rękę, przypomniała sobie chwilę, kilka miesięcy wcześniej, gdy zdecydowała się być szczerą ze sobą i przyznać, że już nie może znieść obecności męża i syna.

Na początku poczuła ulgę, nawet radość. Rozmawiać tym samym tonem co zawsze, mówić to, co zwykle. I jednocześnie myśleć, że chciałaby się znaleźć tysiące kilometrów stamtąd.

Potem ciężar tej świadomości ją przytłoczył. Zaczęła traktować dom jak więzienie bez perspektywy końca kary. Im bardziej mąż otaczał ją czułością, im częściej syn wymawiał słowo „mama”, kładąc głowę na jej ramieniu, tym mocniej pragnęła uciec.

Instruktor przejął Riccarda, pozdrawiając ją serdecznie i posyłając długie spojrzenie. Ottavia należała do tych dojrzałych piękności, które na pierwszy rzut oka nie olśniewają, ale przy kolejnych spotkaniach umieją zawrócić w głowie. Czarna czupryna w nieładzie, równie ciemne ironiczne oczy, lekko naburmuszone usta, krągłe, lecz mocne ciało – to wszystko przyciągało mężczyzn, którzy zwracali

więcej uwagi na Riccarda, żeby nawiązać kontakt z jego matką. Zdarzało się tak już wiele razy z lekarzami, pielęgniarkami, nauczycielami. Dawno przestała się tym przejmować i nigdy nie odczuwała potrzeby innego mężczyzny. Chciała tylko być wolna, także od stale jej towarzyszącego lekkiego poczucia winy.

Pociąg, jaki odczuwała do komisarza Palmy, był czymś zupełnie nowym, nad czym nie umiała zapanować. Zachowywała to uczucie dla siebie i nie rozwijała go, chyba że w wyobraźni. Woląca, żeby na razie pozostało tylko jako dowód, że jest jeszcze żywa.

Riccardo wszedł do wody, ona zasiadła na trybunie z resztą rodziców. Kurs pływania zalecił lekarz prowadzący chłopca, według niego konieczna była ciągła aktywność fizyczna. Riccardo się cieszył, chodził na basen chętnie i poza problemem w przebieralni Ottavii wydawało się, że to mu naprawdę służy.

Poza tym od małego lubił wodę, w tym żywiole humor mu się zdecydowanie poprawiał.

Przyglądała się, jak syn zaczyna płynąć żabką. Obok niej dwie mamy rozmawiały o fryzjerach: mój jest świetny, twój też niezły, a jakie ciacho z niego, mój też robi stopy, mój jest szybki jak strzała. Było gorąco, od zapachu chloru trochę ją mdliło. Minął kwadrans.

W pewnej chwili Riccardo zmienił rytm oddychania, stracił synchronizację z ruchem ramion i opił się wody. Od razu się zorientowała, dostrzegając przerażony wyraz jego oczu. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku, nie wzywał pomocy. To trwało krótkie sekundy, ale wydawało się wiecznością. Instruktor na torze obok pokazywał dziewczynce, jak pracować nogami, chłopiec za Riccardem był na drugiej połowie basenu i nie zdążyłby dopłynąć na tyle szybko, żeby zobaczyć, że kolega jest w tarapatkach.

Kobiety obok ciągle ćwierkały o zakupach.

Przez chwilę w głowie Ottavii pojawił się obraz życia wolnego od obowiązków, cierpienia, niekończących się, niepotrzebnych sesji u lekarzy, bezowocnych dyskusji z nauczycielami wspomagającymi. Przez chwilę pojawiła się myśl, że znika jedyny powód, dla którego ciągle ona i Gaetan są razem. A więc pojawiła się perspektywa odrodzenia się jako kobiety. Przez chwilę w głowie Ottavii zaistniał obraz nowego świata, lżejszego o bezustanne wyrzuty sumienia, że nie jest dobrą matką. Potem na

chwilę pojawił się też obraz położnej, która kładła jej na rękach ten maleńki kłębek życia – jej syna.

Wstała i wydała z siebie chrapliwy ryk.

– Proszę pani, naprawdę nie mam pojęcia, jak to mogło się stać. Jak pani mówiłem, dziś Adelia nie przyszła do pracy...

– Proszę się nie przejmować, takie rzeczy...

– Nie, przejmuję się, a jakże, wie pani, że bardzo uważamy na dzieciaki.

– Tak, tak. Najważniejsze, że się w porę zorientowałam.

– Powtarzam, Riccardo należy do naszych ulubionych podopiecznych. Na pewno go nie zaniedbujemy.

– Dajmy już spokój. Wszystko się dobrze skończyło. Opił się tylko wody. Nawet nie chciał po tym wyjść z basenu, zawsze się cieszy, jak tu jest.

– Mogę liczyć, że... no więc, że już nie będziemy wracać do tej sytuacji? Zapewniam, że od następnego razu, kiedy wróci Adelia, będę osobiście cały czas nadzorował tego młodego człowieka. Nauczę go pływać motylkiem. Jest taki zdolny, aż nie do wiary, że akurat jemu to się przytrafiło.

– To ja panu dziękuję, że tak szybko go pan złapał. Zawsze jest pan taki dla nas uprzejmy.

– Nie da się pani na coś namówić? Kawę pani postawię chociaż, sok. Co mogę zrobić na przeprosiny?

– Nie, dziękuję. Ale niech pan nie wspomina o tym incydencie mężowi, kiedy przywiezie Riccarda we środę. On się za bardzo przejmuje, jeszcze uzna, że basen jest niebezpieczny, i zdecyduje więcej go tu nie posyłać. A Riccardo tak bardzo się cieszy. Nie wyraża tego słowami, ale ja i tak to wiem.

– Proszę się nie martwić, nikt się o niczym nie dowie, to w moim interesie. Dziękuję, bardzo dziękuję.

W samochodzie, w drodze powrotnej, czując ciężar głowy Riccarda opartej o jej ramię, Ottavia płakała.

Płakała całą drogę.

XXX

Kiedy Lojaco i Aragona dotarli w pobliże kamienicy między piazza Vittoria a via Caracciolo, wiatr właśnie osłabł. Fale już nie zalewały ulicy, a morską pianą nie kipiała wysoko nad skałami. Za to na niebie gęstniały ciężkie czarne chmury.

Aragona głęboko wciągnął powietrze.

– Loja', coś czuję, że nas tu zaraz nieźle zmoczy – stwierdził. – Trzeba było wziąć samochód.

– Wolę być mokry i żywy niż suchy i martwy. Dziękuję bardzo, dla mnie lepiej na piechotę. Nie rozumiem tej manii jeżdżenia wszędzie samochodem w tym mieście. To przecież kilometr od komisariatu. A ty jesteś taki młody i zdrowy.

– Właśnie, chciałbym jeszcze długo pożyć. Przypominam, że to kilometr pod górkę. O, tam jest dozorca, ginący gatunek, są za drodzy na dzisiejsze czasy.

W przejściu za bramą kamienicy stała stróżówka z ciemnego drewna, pochodząca z czasów przedwojennych. Od momentu powstania pod koniec XVIII wieku był to szalenie elegancki budynek, którego nie tknął żaden kataklizm. W środku stróżówki znajdował się szeroki kontuar, drzwi za nim prowadziły do mieszkania dozorca. A ściślej do kuchni, gdzie jakiś mężczyzna robił sobie kawę.

Na ulicy wciąż stał radiowóz z dwoma znużonymi mundurowymi. Żadnego śladu dziennikarzy, już sobie zdali sprawę, że nie znajdą tu niczego, co warto sfilmować w sprawie żony notariusza Festy.

Zastukali w szybę. Facet w środku odwrócił się, dał znak, żeby zaczekali, i wskazał na maszynkę do kawy jako powód tego, że nie podejdzie od razu.

Aragona i Lojaco spojrzeli po sobie niezadowoleni.

Dozorca wreszcie podszedł.

– Napijcie się kawy? Od rana miałem tu piekło, pełno glin i dziennikarzy. Wiecie, że stało się nieszczęście...

Aragona chrząknął znacząco, zdejmując okulary filmowym gestem.

– I jeszcze nie koniec z tym wszystkim, bo my też jesteśmy z policji. Pan się nazywa...

– Mascolo. Pasquale Mascolo, do usług. Przepraszam, nie chciałem powiedzieć, że przeszkadzacie, tylko że od rana takie tu zamieszanie.

Lojacono przytaknął.

– Wyobrażam sobie. W każdym razie to nie było zwykłe nieszczęście, tylko zabójstwo. Dlatego, panie Mascolo, będziemy musieli zadać parę pytań.

Dozorca uspokojony familiarnym tonem inspektora odpowiedział:

– Dopiero co zrobiłem kawę. Rozgośćcie się u mnie, naleję, nie będziemy tak stać, ziąb straszny.

Jego kuchnia była klitką, ale czystą i przytulną. Aromat świeżej kawy i światło, które wpadało przez bramę, oświetlające kilka bardzo sfatygowanych mebli, nadawały wnętrzu staroświecką atmosferę. Mascolo pasował do otoczenia. Człowiek po siedemdziesiątce, krótkie siwe włosy, szelki podtrzymujące szare prążkowane spodnie, biała koszula z czarnym krawatem i granatowa marynarka. Wyglądał tak, jakby się urwał z którejś komedii Eduarda de Filippa. Kiedyś, w pierwszym swoim życiu, Lojacono był wielkim jego fanem; odczuł coś w rodzaju *déjà vu*.

– Biedna pani, ciągle nie mogę uwierzyć. Znałem ją od tylu lat... Kiedy jeszcze żyła żona. Na moich oczach wprowadziła się do tej kamienicy jako panna młoda, a teraz wyprowadzają ją w trumnie. Co za ból. Ile cukru?

Aragona wyciągnął notes.

– Dwie i pół, dziękuję – rzucił. – O której otwiera pan i zamyka?

– O siódmej rano otwieram, o ósmej wieczorem zamykam. Między trzecią a czwartą odpoczywam, ale wtedy nie zamykam bramy, tylko drzwi do stróżówki.

Lojacono rzucił Aragonie znaczące spojrzenie.

– Prawie gorzką tę kawę pijesz, co? Dla mnie tylko jedną, proszę. Czy przedwczoraj widział pan, jak pani wychodziła?

– Nie widziałem. Mogła wyjść i wrócić w chwili, kiedy akurat mnie nie było, poczta, śmieci, no wiecie, ciągle jestem w ruchu. Poza tym już mówiłem, między trzecią a czwartą nie siedzę w stróżówce. Ale na pewno jej nie widziałem, zapamiętałbym.

Aragona pił kawę, siorbiąc okropnie, za co Lojaco no najchętniej wprowadziłby paragraf. Spojrzał na młodego kolegę ze złością, ale ten nie zauważył piorunującego wzroku.

– Dlaczego pan mówi, że by zapamiętał?

– Bo pani nie wychodziła zbyt często. Tak szczerze, to prawie w ogóle nie opuszczała mieszkania. Czasami przyjeżdżał po nią samochód notariusza, ale szybko wracała. Była uprzejma, chociaż niewylewna, nie lubiła gwaru i zamieszania.

Aragona nalał sobie jeszcze kawy i dosypał trzy łyżeczki cukru.

– A notariusz siedział z nią w domu?

Mascolo zachichotał.

– Nie, powiedzmy, że pan Festa prowadzi inne życie. Wychodzi wcześniej rano i rzadko kiedy go widuję z powrotem, kiedy brama jest otwarta, nawet jak zamykam później. Razem to może ich widziałem parę razy w zeszłym roku.

Lojaco no usiłował się skupić, rozproszony odgłosami, jakie wydawał Aragona, sącząc kawę.

– Wróćmy do wydarzeń sprzed dwóch dni. Ktoś przyszedł w odwiedziny do pani De Santis? Ktoś dzwonił, pytał o nią?

– Nie, przynajmniej do kiedy tu siedziałem. A poza tym przedwczoraj była burza i ten wiatr. Morze dopływało aż do bramy, plecy mnie bolały, tak się namęczyłem przy wycieraniu wody. Na ulicy zupełnie pusto, ani żywej duszy. To właśnie mówiłem biednej pani, że takiej pogody już całe lata nie było. Pory roku już nie są takie jak kiedyś, klimat...

Lojaco no mu przerwał ruchem ręki.

– Zaraz, stwierdził pan, że jej pan nie widział przedwczoraj. No to kiedy pan z nią o tym rozmawiał?

Mascolo wyjaśnił poważnym tonem:

– Pytaliście, czy widziałem, że wychodzi, a ja powtórzę: nie, nie widziałem, że wychodzi. Ale widziałem ją w jej mieszkaniu rano. Zadzwo niła do mnie, tak jak zwykle dzwonią lokatorzy, kiedy potrzebują drobnych napraw. Roleta w małej łazience się nie domykała, zardzewiała prowadnica. Przetarłem ją, nasmarowałem i porządnie zamknąłem. Tak jak pani chciała.

– I jaka się panu wydawała? – spytał Aragona. – Nerwowa, zmartwiona, wściekła, smutna...

– Nie, nie. Była w szlafroku, miała ściereczkę w ręku, czyściła te szklane kule ze śniegiem, rany boskie, ile ich tam jest. Nawet mnie przeprosiła, że przeszkadza, wyobrażacie sobie? Przeprosiła mnie! Tłumaczyła, że przy takim wietrze boi się, że jakieś okno samo się otworzy, więc chciała spuścić rolety. Dała mi dwadzieścia euro, biedna pani... nie skąpiła grosza. Ale cóż, wydała mi się spokojna, jak zawsze. No i była gosposia w domu, która wołała do mnie: „Tylko nie nabrudź na podłodze!”. Tak jakbym szedł do tej łazienki wziąć prysznic.

– A kiedy pan to naprawiał, przyszedł ktoś? – drążył Aragona. – Albo dzwonił? Ile czasu pan tam siedział, o której to było? Proszę sobie przypomnieć, to ważne.

Mascolo namyślał się chwilę.

– Nie, nikt nie przyszedł, nikt nie dzwonił. Pracowałem z dziesięć minut, około jedenastej. Poszedłem, bo to martwa godzina, nic się nie dzieje i mogę odejść na moment ze stróżówki.

– Na piętrze są tylko drzwi do mieszkania notariusza – wtrącił się Lojacono. – Kto mieszka nad nim i pod nim?

– To stara kamienica, mamy tu po jednym mieszkaniu na kondygnację. Niektóre zostały podzielone, ale wejście z klatki jest zawsze jedno. Na trzecim i piątym piętrze znajdują się biura: bank inwestycyjny i doradztwo podatkowe. W sobotę i niedzielę są zamknięte na głucho.

– A w ten weekend nikt nie przyszedł do pracy, prawda?

– Nikt.

– Ostatnia rzecz. Widział pan notariusza już po tym wszystkim? Kiedy wrócił do domu, był sam?

Mascolo zrobił zboląłą minę.

– Jasne, zjawił się wczoraj tuż przed południem. Ciągle jeszcze kręciło się mnóstwo waszych ludzi tam na górze. Tych w białych kombinezonach. Był sam. Począł, aż skończył, potem widziałem, jak wychodzi z walizką. Podeszedłem złożyć kondolencje. Miał taką twarz, że aż się przestraszyłem. Wydawał się starszy o sto lat. Powiedział, że przenosi się do hotelu Vesuvio, tu niedaleko przy nabrzeżu, i że tam go znajdę, gdybym potrzebował. Biedaczek, musi mieć wyrzuty sumienia, zawsze zostawiał panią samą.

Kiedy już mieli wracać, Lojacocono poczuł nagłą potrzebę, żeby wejść jeszcze raz do mieszkania. Wiedział, że kiedy ulega swojemu instynktowi, to tak jakby słuchał części umysłu, która cały czas pracuje pod progiem świadomości. Często właśnie z tego powodu była to najlepsza jego część, mogła się najbardziej skupić, wolna od rozprasających bodźców świata zewnętrznego.

Aragona poszedł za nim bez marudzenia. Zdawał sobie sprawę, że musi się sporo nauczyć, a mimo licznych wad potrafił bez zadawania zbyt wielu pytań uznać wyższość kolegi, któremu towarzyszył. Przy drzwiach stał policjant przysłany przez Palmę. Lojacocono docenił podejście komisarza. Szef nie wtrącał się do pracy w terenie, tylko zapewniał odpowiednie wsparcie. Funkcjonariusz wpuścił ich do środka.

W pustym mieszkaniu panowała ponura atmosfera. Lojacocono poczuł dreszcz na myśl, że teraz to miejsce straciło duszę i że dużo czasu upłynie, zanim znowu stanie się domem. Zapewne dopiero wtedy, kiedy zamieszka tu inna rodzina. Dwadzieścia lat uprawiania tego zawodu utwierdziło go w przekonaniu, że tam, gdzie dochodzi do gwałtownej śmierci, w powietrzu zaczynają krążyć gęste cierpienie i ból, które może rozproszyć tylko obecność osób niemających żadnej świadomości tego, co zaszło.

Szare światło z nabrzmiałego deszczem nieba przesiąkało przez okno salonu, jedyne odsłonięte. Ewidentnie notariusz, kiedy wpadł po parę niezbędnych rzeczy, chciał ograniczyć swoje przebywanie w miejscu zbrodni do ściśle niezbędnego minimum i nawet nie włączył światła. Zrozumiałe, pomyślał Lojacocono. W milczeniu pokręcili się po pokojach. Mieszkanie było ogromne, zimne. Większość pomieszczeń – gabinet, salon, sypialnie dla gości – chociaż stale utrzymywana w porządku, nie była używana już od dawna.

Zatrzymali się w łazience dla służby, tej, gdzie Mascolo naprawiał roletę. Aragona sprawdził jej działanie i naoliwienie prowadnicy. Ruchem głowy dał znać inspektorowi, że wszystko się zgadza z tym, co zeznawał dozorca.

Na samym końcu, jakby się umówili, poszli do pokoju, gdzie doszło do zbrodni. Inspektorowi wydało się paradoksalne, że właśnie do tego jednego pomieszczenia dochodziło światło dnia.

Ponad barierkami balkonu rozciągała się panorama ponurej wzburzonej zatoki, po niebie pędziły chmury. Daleko w tle czarno-czerwony tankowiec wyglądał niczym sunący powoli wieloryb. Półwysep po drugiej stronie tworzył ciemny kształt, wcinający się w szarość cienką linią, jakby palcem wskazywał na pobliską wyspę. Lojaco pomyślał, jak bardzo piękne mogło być to miasto. Byle oglądane z daleka.

Podszedł do miejsca, w którym na dywanie została ciemna plama. Zastanawiał się, co myślała Cecilia De Santis tuż przed śmiercią. Byłoby dobrze znać tę ostatnią ulotną myśl znikającą w mroku. Ciekawe, czy rozważała o miłości, czy coś sobie przypominała. Czy była zaskoczona?

Przeniósł wzrok na ścianę z półkami, na których stały kule w najróżniejszych rozmiarach. W każdej jakiś przedmiot, jakaś postać, panorama. Zastanawiał się, w jakim porządku te bibeloty zostały poustawiane.

Pod światło mógł dostrzec, że półki są nieskazitelnie czyste, na ciemnym drewnie nie osadził się jeszcze kurz, który wraz z upływem czasu pokryłby równomiernie cały pokój. Podszedł, żeby przyjrzeć się dokładniej.

Obok miejsca, w którym na podłodze widniała ciemna plama, stały zamknięte w szkle europejskie zabytki i panoramy. Lojaco szedł wzdłuż szeregu i szybko zrozumiał, że kule ustawiono według krajów i kontynentów. Od lewej do prawej, najpierw miejsca najbliższe, potem coraz dalsze. Zajmowały dwie dolne półki. Na wyższych były poszczególne święta, uroczystości i okazje: Boże Narodzenie, Wielkanoc, rozmaite tematy religijne, od Buddy po krucyfiks, od Mahometa po menorę. Ciekawe, skąd pomysł, żeby zbierać takie przedmioty.

– Nie kapuję, jak można kolekcjonować takie paskudztwa – odezwał się Aragona. – Mnie to brzydzi.

– Coś trzeba robić. A z tego co słyszeliśmy, pani notariuszowa żyła w samotności.

– Ja nigdy nie rozumiałem tej depresji bogatych. W Afryce, gdzie nie ma co jeść, też chorują na depresję? Albo anoreksję czy bulimię? Taka samotność to choroba, którą przynoszą pieniądze, wierz mi, Loja’.

Lojacono, okazując brak wrażliwości na głębię problemów społecznych poruszonych przez młodszego kolegę, w myślach odtwarzał hipotetyczną kolejność zdarzeń. Wreszcie powiedział:

– A ja zastanawiam się nad tym: słyszysz hałas, wchodzisz do pokoju, przyłapujesz złodzieja i co robisz?

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Pani De Santis wchodzi tutaj, widzi faceta ze srebrami w rękę, który skądinąd dostał się bez rozwalania zamków, ale na razie odłożmy tę kwestię na bok. Ty na jej miejscu co byś zrobił?

Aragona był zdezorientowany. Próbował wyobrazić sobie scenę.

– Bo ja wiem? Krzyczę. Staram się go zatrzymać.

– Albo uciec, oddalić się. A jeśli tak, to w którą stronę biegniesz?

Aragona wskazał niepewnie drzwi do przedpokoju.

– No... leczę na schody.

Lojacono przytaknął zamyślony. Kiedy się mocno koncentrował, jego orientalne rysy upodabniały go do medytującego buddyjskiego mnicha.

– Tymczasem Cecilia ruszyła do drugich drzwi, jakby chciała uciec w głąb mieszkania. A stamtąd nie ma wyjścia. I to nie ulega wątpliwości, bo została uderzona w tył czaszki, czyli była odwrócona plecami do zabójcy.

– Może go nie zauważyła i po prostu przechodziła tędy, żeby pójść do łóżka, pozdrowiwszy te okropne kule. Albo zamierzała zamknąć się na klucz i do kogoś zadzwonić.

Lojacono niechętnie przyznał jego hipotezom rację.

– Jasne. Może zabójca, którego pozycji nie znamy, tarasował jej drogę do wyjścia, chociaż to dziwne, bo wtedy powinien ją uderzyć w skroń. No i w takim razie ofiara znajdowałaby się pomiędzy zabójcą a półką ze śnieżnymi kulami. W jaki sposób dorwałby narzędzie zbrodni?

– Niewykluczone że przyszedł właśnie po kule, kradzież na zlecenie. Może trzeba szukać w świecie kolekcjonerów tego szajsu?

– Nie, to mi się wydaje bez sensu – nie zgodził się Lojacono. – Chociaż warto przyjrzeć się narzędziu zbrodni. Jedno jest pewne. Zabójca nie przyszedł tutaj, żeby zabić. Gdyby tak było, toby to zrobił jakimś narzędziem przyniesionym specjalnie

do tego celu albo nawet gołymi rękoma. Ale z pewnością nie uderzyłby przypadkowym przedmiotem, który akurat się napatoczył.

– A ty jak to sobie wyobrażasz? Dokąd szła? A zwłaszcza: jak tu się dostał zabójca?

Inspektor długo nad tym rozmyślał, wreszcie się odezwał:

– Nie mamy dość elementów, musimy zdobyć więcej danych. Według mnie albo nie widziała, że ktoś jest w pokoju, albo znała tę osobę i czuła się na tyle pewnie, żeby stanąć do niej plecami. Nie stwierdzono śladów walki, nie miała ubrania w nieładzie, lekarz sądowy nie zauważył żadnych siniaków, zadrapań, żadnych oznak przemocy na ciele.

– No i jeszcze te drzwi bez śladów włamania. Mogło być tak, że ktoś podwędził klucz gosposi albo notariuszowi. Ale w takim wypadku musiał znać zwyczaje ofiary, a więc musiał wejść do domu w porze, kiedy ona tam zwykle przebywała.

Lojacono dodał:

– Albo to był ktoś, kogo znała, otworzyła mu drzwi, rozmawiali, a kiedy uznała, że to koniec rozmowy, odwróciła się na pięcie, żeby odejść. Tylko że zabójca wcale nie uważał tak samo i ostatecznie załatwił to po swojemu.

– A srebra?

– Posłużyły za przykrywkę. Albo rodzaj wynagrodzenia za straty moralne, pamiątkę. Widziałem już takie przypadki. Kluczowe jest zrozumieć, kim była ofiara: to jedyny sposób, żebyśmy zdołali sobie wyjaśnić jej zachowanie.

Aragona podrapał się po głowie.

– Mało co o niej wiemy, to fakt. Może kilka poszlak więcej dostarczy nam baronowa Jakaś-tam, z którą zna się ten stary grzyb Pisanelli.

– Wydajesz mi się czasami o wiele bardziej zgrzybiały od Pisanellego. À propos, zadzwonię do komisariatu, zapytam, czy są jakieś nowości.

Odebrała Ottavia; głos miała mniej radosny niż zwykle.

– Wszystko dobrze? – zaczął Lojacono.

– Głowa mnie trochę boli. Słuchaj, mam coś dla ciebie: znaleźli te skradzione srebra. Na śmietniku paręset metrów od miejsca zbrodni. Zajęła się tym ekipa kryminalistyczna, możesz do nich podskoczyć, zanim pójdziesz do klubu żeglarskiego zobaczyć się z baronową Ruffolo.

Pizzeria „U Garbusa” była szczęśliwą anomalią.

W samym środku najbogatszego rewiru dzielnicy, pośród markowych sklepów i eleganckich kwaciarni, otwierał się stromy zaułek, zbyt wąski, żeby zmieścić się tam samochód. Kilka metrów od jego początku znajdowało się wejście do pizzerii oznaczone malutkim szyldem. Schodki prowadziły do górnej salki z dziesięcioma stolikami i balkonem.

Garbus nie żył już od wielu lat, lecz wciąż spoglądał na gości z pożółkłego zdjęcia, w fartuchu i czapce kucharskiej, niski i wygięty jak znak zapytania, stojąc pomiędzy dwoma wąsatymi panami, podpisanymi flamastrem jako Di Giacomo i Scarfoglio. Knajpę prowadził teraz jego wnuk, gburowaty jegomość, który pomimo całkiem prostego kręgosłupa odziedziczył przydomek. Wielki brzuch zmuszał go do poruszania się wyłącznie między kasą a piecem. Schody prowadzące do sali dla gości były dla niego zbyt wąskie. Obsługą zajmowała się szczupła zwinna Polka Julia, a jej kształty stanowiły kolejną atrakcję tego miejsca.

Giorgio Pisanelli spotykał się tam dwa razy w tygodniu z jedynym przyjacielem, jaki mu pozostał. Jedynym człowiekiem, przed którym nie miał tajemnic i który miał prawo kwitować kpinami jego wywody.

Julia powitała Pisanellego jak zwykle, tak jakby wypatrywała go całe życie.

– Dzień dobry! Braciszek czeka przy waszym stoliku.

Giorgio wdrapał się po schodkach. Brat Leonardo Calisi, zwany przez wszystkich Braciszkiem, był franciszkaninem z klasztoru Santa Maria Annunziata. Jakże inaczej mieliby go nazywać, skoro liczył ledwie metr pięćdziesiąt wzrostu, miał siwą czuprynę, błękitne oczy, szelmowski uśmiech i zawsze, nawet w zimie, chodził w sandałach i podartym habicie. Gdyby sławna postać wesołego, zawsze uczynnego zakonnika z legend neapolitańskich miała się kiedyś zmaterializować w żywym człowieku, musiałby to być ktoś taki jak brat Leonardo.

Zgodnie z zapowiedzią Juli, Pisanelli zastał go przy stoliku.

– Ile mam jeszcze czekać? Nie wiesz, że cała parafia na mojej głowie? Dziesięć minut drogi w jedną stronę, dziesięć w drugą, a potem tkwię tu całą godzinę!

Pisanelli bronił się przed złością przyjaciela, podnosząc obie ręce.

– No proszę cię, byliśmy umówieni na pierwszą, a dopiero dziesięć po. Cała dzielnica wie, że do twojego kościoła i tak już nikt nie zagłąda, mógłbyś go zamknąć i pies z kulawą nogą by się nie kapnął.

Leonardo udawał obrażonego:

– Jak śmiesz, grzeszniku! Widać, że sądzisz wszystkich swoją miarą. Nigdy nie zajrzysz do kościoła i myślisz, że inni też tacy są. Tymczasem Maria Annunziata to jedyna parafia w centrum, w której przybywa wiernych i mszy. Ja i moi bracia mamy pełne ręce roboty, a przez ciebie dręczą mnie wyrzuty sumienia, że siedzę tu i jem obiad zamiast pracować.

Pisanelli usiadł ze zboląłą miną.

– Jesteście zorganizowaną grupą przestępczą, tyle ci powiem. Któregoś dnia poproszę kolegów od przestępstw finansowych, żeby się wami zajęli, ciekawe, jakie szwindle wyjdą na jaw. Według mnie pierzecie forszę camorry.

Zakonnik przytaknął.

– To prawda. Ale wiem, że jesteś przyjacielem i nikomu tego sekretu nie zdradzisz. Powiedz lepiej, boli cię, bo widzę grymas?

Policjant zrobił nieokreślony gest ręką.

– Daj spokój, nie psujmy sobie obiadu. Tylko czasami pobolewa.

– Nie rozumiem tej twojej lekkomyślności. Gdybym nie nosił sandałów, tylko porządne buty, skopałbym ci dupę. Jak to? Masz chorobę, którą dziś łatwo wyleczyć, a ty nie tylko się nie leczysz, ale ją ukrywasz? Ocipiałeś?

– Leonardo, ile razy mam powtarzać: nie chcę o tym gadać. Dziwne są teraz czasy, bardzo łatwo mogą orzec, że jestem niezdolny do służby, i odesłać mnie do domu, gdzie zostanę sam ze swoimi myślami i duchami. Odkąd wyjechał Lorenzo, nie zostało mi nic poza pracą. Bez pracy bym dawno zdechł, od kiedy... no w każdym razie bym zdechł. Nie będę nikomu o tym opowiadał i ty też trzymaj język za zębami, bo jak nie, to złamiesz tajemnicę spowiedzi.

Braciszek starał się przyciągnąć uwagę Juli, żeby złożyć zamówienie.

– Nie mówiłeś mi tego podczas spowiedzi, więc formalnie rzecz biorąc, nie jestem zobowiązany do tajemnicy. Zresztą, komu miałbym powiedzieć, zakuta pało? Julka, skarbie, dwie margherity z podwójną mozzarellą i dwa razy krokiety z ziemniaków, jak zwykle. Byle szybko, bo muszę zaraz wracać. A poza tym, co nowego?

Pisanelli machnął ręką.

– Ostatni to ten sprzed pół roku, ten co się powiesił w łazience. Udało mi się porozmawiać z jego córką w Kanadzie, nawet się nie zjawiała na pogrzebie, bo nie stać jej było na bilet, przynajmniej tak twierdzi.

– No i co ci powiedziała?

– Co mi powiedziała... że nie rozumie, dlaczego dzwonię, że niech ojciec spoczywa w spokoju, że sam dokonał wyboru, można go krytykować, ale trzeba zrozumieć. Że miał osiemdziesiąt lat i nigdy się nie pogodził ze śmiercią matki, która zmarła zresztą ze dwadzieścia lat temu. I że liścik pożegnalny wszystko tłumaczy. Czyli głupoty. Tyle, zanim rzuciła słuchawką.

Brat Leonardo zapytał smutno:

– I nie daje ci to nic do myślenia? Dlaczego masz tę obsesję? Samobójstwo to straszna rzecz, grzech przeciwko życiu. Ale ludzie to robią, zawsze robili i będą robić.

Pisanelli zmarszczył czoło.

– Są jednak samobójstwa i samobójstwa! Niektóre wydają się całkiem prawdopodobne, można je wytłumaczyć okolicznościami. Kogoś zostawiła narzeczona, jakiś ćpun nie wytrzymał na głodzie, biznesmen wykończył się przez lichwę i haracze. Ale wytłumacz mi: ktoś się zabija, bo mu żona umarła dwadzieścia lat temu? A do tego jeszcze zaczepia sznur o lampę sufitową w łazience, staje jak ekwilibrysta na brzegu kibla i się wiesza? Jak ma osiemdziesiąt lat i jest praktycznie unieruchomiony przez artretyzm? I zostawia kartkę z drukowanymi literami „JUŻ DŁUŻEJ NIE MOGĘ”? Bez podpisu, bez żadnego sygnału ostrzegawczego wcześniej? Podobnie było z innymi: starzy, samotni, przygnębieni. Cały szereg takich, od dziesięciu lat, wszyscy w tej samej dzielnicy, wszyscy zostawiają jedno zdanie na kartce, wypisane drukowanymi literami albo wydrukowane, nigdy normalnym pismem. Dziwne, co?

Zakonnik wzniosł oczy do nieba, udając załamane:

– Panie Boże, wesprzyj tego tutaj nieszczęśnika. Co chcesz, do jasnej cholery, udowodnić? Że rozpacz człowieka samotnego i zbędnego nie wystarczy, żeby ze sobą skończyć? Popatrz na ulicę, w tym całym tłumie, który zapełnia chodniki, jest więcej samotności, niż sobie wyobrażasz. Wiem, co mówię, w konfesjonale wysłuchuję, jakie demony siedzą w ludzkich sercach. Przeważnie brakuje im odwagi, ale wielu, uwierz mi, chciałoby ze sobą skończyć. Nieraz trudno jest mi ich przekonać, że warto żyć mimo wszystko.

Policjant odczekał, aż Julia postawi talerze, a Leonardo się przeżegna, zanim odpowiedział:

– Wiem. I wiem, że starasz się nieść pocieszenie, jak prawdziwy Braciszek. Ale ja tu widzę coś niejasnego. Za dużo wspólnych elementów, za dużo dziwnych sytuacji.

Leonardo pałaszował pizzę z widoczną przyjemnością.

– Wytłumacz mi, jak możesz wątpić w istnienie Boga po zjedzeniu pizzy margherity? Błogosławiony niech będzie Garbus, a także ty, który zapłacisz za obiad, szanując moje śluby ubóstwa. Wracając do naszej rozmowy, nie sądzisz, że ta wizja seryjnego zabójcy ludzi w depresji za bardzo pachnie amerykańskimi serialami? W naszych stronach takie rzeczy się nie zdarzają. A poza tym, po co ktoś miałby to robić?

Pisanelli przeszedł do defensywy:

– Nie powiedziałem, że w miasteczku grasuje seryjny zabójca. Mówię tylko, że moim zdaniem sprawy zamknięto zbyt szybko. Ci ludzie zasługiwali na więcej uwagi, zanim się ich odfajkowało pieczętką na aktach i szybkim pochówkiem. A cisza po czymś takim jest wygodna dla wszystkich, nawet krewnych.

– Mój biedny przyjacielu, przenosisz swój ból na innych, ot co. Od kiedy nie ma już Carmen, zadrećzasz się. To częsty przypadek. Gdybyś wiedział, ile razy z czymś takim się spotkałem...

– Nie mieszaj w to Carmen – odparł lodowato policjant. – Ona była chora i po prostu nie potrafiła poradzić sobie z końcową fazą swojej choroby. Wykorzystała moją i syna nieobecność, żeby połknąć garść pigułek. Naprawdę się zabiła. A tamci to inna rzecz.

– Widziałem ją jako ostatni, pamiętasz? Musimy jej podziękować za to, że się poznałyśmy, to było wtedy, kiedy szukała pocieszenia w wierze. I powtórzę ci to, co

powiedziałem wtedy, że rozmowa z nią przypominała patrzenie w przepaść. Była w beznadziejnym stanie psychicznym, pogrążona w rozpacz. Ale jestem przekonany, że odnalazła w końcu wiarę. I że Pan ją przyjął, chociaż na koniec popełniła czyn straszny. Za bardzo bała się bólu, który rak by jej sprawił. Jej mózg został opanowany przez strach, dlatego to zrobiła, nie dlatego, że już cię nie kochała.

Pisanelli ukrył łzy, odwracając się w stronę okna. Kilka metrów dalej, na balkonie naprzeciwko, prześcieradła powiewały jak wielkie białe flagi.

– Rozmawiam z nią, wiesz? Rozmawiam tak, jakby żyła. Wracam do domu i gadam do niej. Czasami całą noc. Myślisz, że wariuję?

Zakonnik pogłaskał czule dłoń przyjaciela.

– Nie, bracie. Nie wariujesz. Rozmawiasz, bo Carmen jest naprawdę z tobą, blisko ciebie. Patrzy na ciebie i śledzi twoje ruchy, ma nadzieję, że uwolnisz się od swoich obsesji. I że pójdziesz się leczyć, żeby jeszcze długo żyć. Bo chcesz pożyć, prawda?

Pisanelli wpatrywał się w przyjaciela oczami spuchniętymi od płaczu.

– Tak, chcę jeszcze pobyc na tym świecie. Muszę wiedzieć z całą pewnością, czy ci ludzie rozstali się z życiem z własnej woli, czy z czyjąś pomocą. Dlatego chcę żyć. Dlatego chodzę z rakiem prostaty i nikomu o nim nie mówię. Najpierw rozwiążę tę sprawę, potem mogę sobie umrzeć.

XXXIII

Biura i laboratorium międzyregionalnego wydziału kryminalistyki były oazą ładu i nowoczesności znajdującą się w murach starego budynku policyjnego w centrum miasta. To jedno z takich miejsc, że po wejściu do środka masz wrażenie, że rozpoczynasz wycieczkę na inną planetę.

Dziewiętnastowieczny szary i dość posępny budynek służył kiedyś jako koszary i siedziba sztabu wojskowego. Obszerny dziedziniec, arkadowe podcienia, szerokie marmurowe schody. Po jasno oświetlonych czystych korytarzach gnali zaaferowani ludzie w białych fartuchach. Nikt się nie objął i nie marnował czasu na gadanie przy dystrybutorze napojów.

Lojacono i Aragona zameldowali się w dyżurce przy wejściu, podali swoje dane i zostali zaprowadzeni do małej poczekalni. Po paru minutach zjawił się łysiejący chudy mężczyzna, spod fartucha wystawała mu błękitna koszula i muszka. Na oczach grube okulary do dali, na szyi druga para do czytania.

– Aspirant Bistrocchi, dzień dobry. Koledzy są...

Przedstawili się. Na hasło „Pizzofalcone” gospodarzowi natychmiast zniknął uśmiech z twarzy, za to pojawiła się wyraźna nieufność.

– No tak, Pizzofalcone, jeszcze was nie zamknęli, prawda. Czego potrzebujecie?

Aragona spróbował swojego popisowego numeru z okularami, chcąc odzyskać nieco wiarygodności.

– Chodzi nam o informacje na temat zabójstwa Cecilii De Santis, popełnionego przy via Caracciolo, zapewne w nocy z niedzieli na poniedziałek. Przeprowadziliście badania i z tego, co się dowiedzieliśmy...

Bistrocchi przerwał mu gwałtownym ruchem ręki.

– Nic nie możemy powiedzieć, w odpowiednim czasie dotrze do was oficjalny raport.

Lojacono, który do tej pory milczał, zdecydował się odezwać:

– Wiemy, że raport dotrze. Tylko że jak dobrze koledze wiadomo, pierwsze godziny są dla nas najważniejsze. Ponieważ, jak mówił Aragona, odnaleziono skradzione przedmioty, a te trafiły do was na badania, pomyśleliśmy więc, że...

Bistrocchi nie dał mu skończyć.

– Nie ma co myśleć, panie kolego. Przestrzegamy oficjalnych procedur. To porządne laboratorium, nie puszczamy niczego na żywioł. Kiedy skończymy pomiary i badania, poznacie wyniki.

Aragona wykrzywił usta i zwrócił się do Lojacono:

– A to dlatego, że jesteśmy z Pizzofalcone, rozumiesz? Gdybyśmy przyjechali z innego komisariatu, dawno byśmy dostali wszystko poza drogą służbową.

Aspirant ani drgnął.

– Gadajcie sobie, co chcecie, nie mam upoważnienia, żeby przekazać cokolwiek przed zakończeniem czynności.

Lojacono odpowiedział Aragonie:

– Chodź. Skoczmy na razie na kawę. Ale nie będziemy się zbytnio oddalać.

Jak tylko wyszli na ulicę, Lojacono wyciągnął komórkę. Aragona gotował się ze złości:

– Co za durny kutas! Ile jeszcze będą się czepiać tego Pizzofalcone! Powiedz, czy naprawdę musimy nosić piętno tego, co zrobiło tych czterech popaprańców rok temu? A żeby ich szlag...

Inspektor uniósł rękę, by zatrzymać potok lamentów.

– Halo? Laura, to ja. Przeszkadzam?

– Co za wspaniała niespodzianka! – odezwał się miły głos z sardyńskim akcentem. – Miałam właśnie zadzwonić, żeby się dowiedzieć w zaufaniu, jak postępy. Jestem w kontakcie z Palmą, wolałam jednak mieć wiadomości prosto z frontu.

– No więc właśnie dzwonię z frontu. Wiesz, staram się nie zawracać ci głowy bez potrzeby...

W słuchawce rozległ się głośny śmiech.

– Jeśli o to chodzi, to starasz się unikać dzwonienia do mnie w ogóle. Co się dzieje?

Lojacono zreferował, że stoi z kolegą przed siedzibą wydziału kryminalistyki, i streścił rozmowę z Bistrocchim.

– ...a potrzebujemy się dowiedzieć od razu. Pierwsze dni, kiedy chodzi o zbrodnię w afekcie, są przecież kluczowe. W miarę upływu czasu zabójca albo zabójcy mogą się ogarnąć i zorganizować, wszystko potem trudniej idzie.

– Dobrze rozumiem, że to dla ciebie zbrodnia na tle uczuciowym? Że to nie napad rabunkowy, który się zakończył niezgodnie z planem?

– Nie wiem. Pewne elementy wydają mi się niespójne. Brak śladów włamania na drzwiach, ułożenie zwłok w stronę wnętrza mieszkania. Dlatego zależy nam na wynikach badań. Jak najwcześniej.

Piras zastanawiała się chwilę.

– Dobra – powiedziała w końcu. – Zaczekaj dwie minuty, a potem wróć tam. Zobaczysz, że przyjmą cię inaczej.

Napili się kawy, nawet zjedli na szybko kawałek pizzy. Aragona skomentował bylejąkość tego improwizowanego obiadu. Kiedy wrócili do budynku, minął kwadrans. Czekał na nich wściekły Bistrocchi w towarzystwie młodej zgrabnej kobiety w fartuchu, o władczym wyrazie twarzy. Od razu się przedstawiła:

– Naczelnik wydziału Rosaria Martone. Inspektor Lojacono, prawda? Dzień dobry. Przepraszam za nieporozumienie, kolega Bistrocchi nie miał świadomości, jak pilna to sprawa. Mamy ze sobą całą dokumentację. – Wskazała na teczkę w rękę aspiranta. – Pozwolą panowie ze mną do biura.

Zaprowadziła ich korytarzem, Bistrocchi szedł za nią. Aragona całą drogę posyłał mu mściwe spojrzenia. Martone miała duży czysty gabinet, jasny dzięki oknu wychodzącemu na dziedziniec. Wskazała dwa fotele i kanapę w rogu naprzeciwko wielkiego biurka zastawionego segregatorami.

– Siądźmy w tym miejscu, będzie wygodniej. No więc, Bistrocchi, proszę nam przedstawić stan badań.

Aspirant wciąż stał, zbity z tropu przyglądał się swoim dłoniom.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że to ma priorytet. Skończyliśmy czynności śledcze w mieszkaniu, raport nie został jeszcze sporządzony...

Przerwała mu zdecydowanym ruchem ręki. Lojacono pomyślał, że za tymi delikatnymi rysami twarzy i drobną sylwetką ukryta jest silna osobowość.

– Bistrocchi, szkoda mojego i kolegów czasu na biurokrację. Proszę streścić najważniejsze rzeczy, potem komisarz dostanie właściwy raport.

Chudzielec westchnął, zmienił okulary na te do czytania i otworzył teczkę.

– No więc przede wszystkim punkty dostępu do mieszkania: brak śladów włamania na skrzydle bramy, które jest drewniane na zewnątrz, a metalowe od strony wewnętrznej. Podobnie na drzwiach do mieszkania z klatki schodowej, drewnianych jednoskrzydłowych i przeszklonych drzwiach do przedpokoju. Mieszkanie było w znakomitym stanie technicznym i sanitarnym wraz z...

– Bistrocchi, do jasnej cholery, konkrety! – ryknęła przełożona.

– Tak jest, szefowo. Jedno pomieszczenie zostało przebadane szczegółowo, ponieważ nosiło ślady zmian i bałaganu: salon, gdzie znaleziono zwłoki. Posypano wszystkie powierzchnie proszkiem daktyloskopijnym, nie wykazano jednak obecności żadnych śladów linii papilarnych. Ze zwłok pobrano próbki śliny oraz próbki paznokci z rąk. Analizy laboratoryjne pod kątem śladów biologicznych dały wynik ujemny.

Teraz to Aragona zamrugął zdezorientowany.

– To znaczy?

– Nic. Żadnych śladów osób poza tymi, które miały prawo tam być.

Bistrocchi przytaknął, sięgając po kolejną kartkę.

– Właśnie tak. Na klamkach wyłącznie odciski palców zmarłej, pokojówki i notariusza.

Lojacono dodał, bardziej do siebie niż do innych:

– I niczego na zwłokach. Żadnych śladów naskórka pod paznokciami ani ugryzień. Nie bronila się.

Martone potwierdziła:

– Na to wygląda.

Zapadła na moment cisza, wreszcie Lojacono zapytał:

– A przypuszczalne narzędzie zbrodni, znaczy ta szklana kula?

Aspirant kryminalistyczny przejrzał kartki.

– O tu, jest: kula ze szkła na drewnianej podstawce, znaleziona na dywanie pod fotelem i tak dalej. Bez uszkodzeń i zarysowań i tak dalej, w górnej części ślady

materiału biologicznego, krwi, którego analiza znajduje się w załączniku, oraz włosów i tak dalej... o, tu jest: krew i włosy należą do Cecylia De Santis. Ślady zgodne z raną na czaszce. Z wszelkim prawdopodobieństwem to narzędzie użyte przez zabójcę.

Martone znów ciężko sapnęła.

– Bistrocchi, ja pana bardzo proszę. Inspektorowi raczej zależy na informacji, czy na tym przedmiocie są ślady innych osób. Może to pan zdradzić, czy będzie pan nas trzymał w napięciu jeszcze parę godzin?

Podwładnemu zarumieniły się uszy.

– Stwierdzono obecność śladu po rękawiczce – odpowiedział szybko.

Tylko tyle. Czyli nic. Śladów brak. Nigdy nie jest tak, że sprawa się rozwiązuje sama w prosty sposób. Ani razu szczęście nie chce pomóc, pomyślał ponuro Lojacono.

– W komisariacie powiedzieli nam, że dostaliście kilka przedmiotów, prawdopodobnie skradzionych z mieszkania, jakieś srebra. Coś o nich wiecie? – zapytał szefową wydziału.

Martone zaspokoila jego ciekawość.

– Tak, dotarły do nas rano. Znajdowały się w plastikowej torbie porzuconej na śmietniku. Niestety, żadnych śladów ani na torbie, ani na przedmiotach: dwa małe wazony, dwie ramki i statuetka kobiety w dziewiętnastowiecznym stroju. Nie było nawet odcisków palców gosposi. Ewidentnie ktoś to wszystko oczyścił. Złodziej albo złodziejki mieli cały czas rękawiczki. Powtarzam: żadnych śladów.

Aragona podrapał się w czoło:

– Nie rozumiem. Dlaczego kradną parę sreber z domu, w którym pełno jest wartościowych rzeczy, a potem to wyrzucają?

Lojacono wyjaśnił:

– Czasami tak bywa. Może zdali sobie sprawę, co zrobili, i ogarnęła ich panika. Albo pomyśleli, że jak zgarniemy te przedmioty u pasera, to dojdziemy do nich. Albo kradzież była prostacką przykrywką. Pani naczelnik, mam jeszcze jedną prośbę: czy mogę zobaczyć narzędzie zbrodni?

O czym myślałeś? Co miałeś w głowie, kiedy to robiłeś?

Lojacono siedział nieruchomo w małym laboratorium, z brodą na rękach wspartych o blat stołu. Oczy zwięziły mu się w szparki, twarz o orientalnych rysach nie zdradzała żadnych uczuć. Jakby przysnął. Ale w rzeczywistości przypatrywał się uważnie.

Patrzył na szklaną kulę z ciemną plamą na czubku. To był jedyny przedmiot na sterylnym blacie z białego laminatu, na tle białej podłogi i białych ścian, oświetlony białym światłem lampy pod sufitem. Również białym.

Na zakrzywionej powierzchni sfery lśnił lekki refleks.

Aragona – jedyna ciemna plama w pomieszczeniu oprócz samego Lojacono – przestępował z nogi na nogę. Chciałby wiedzieć, co zaprzęta jego umysł.

A jego umysł zaprzętała śmierć. Starał się usłyszeć, co ma mu do powiedzenia ten przedmiot w złym guście, który położył kres życiu nieznannej kobiety. Chciał wyczuć, dlaczego ta szklana kula, stworzona w najlepszym razie po to, by wywołać uśmiech na twarzy dziecka, stała się narzędziem aktu tak ostatecznego jak zabójstwo.

Wiesz, droga kulo, zabójstwo to poważna sprawa, dumął Lojacono. Poważna sprawa, która porusza wielu ludzi. Widzisz to miejsce, kulo? Ludzie w fartuchach biegają w tę i we w tę. Poważni, skuteczni. Pełno instrumentów, próbek, mikroskopów. A na zewnątrz opancerzone samochody, mundury, pistolety. Śmiechy i płacze. Wszystko to puszczane w ruch przez zabójstwo.

Zabójstwo, jako poważna rzecz, ma prawo być popełnione strzałem z broni palnej albo przynajmniej ciosem ostrego noża. Należy mu się skomplikowana maszyna, taka jak krzesło elektryczne albo instalacja do podania śmiertelnego zastrzyku. Jest godne historycznego narzędzia takiego jak garota, gilotyna, szubienica.

Zabójstwo to nie żart. Z wnętrza kuli wpatrywała się w niego uśmiechnięta kobieta. Taka w rodzaju karaibskiej czy hawajskiej tancerki, z kwiecistą girlandą na

szyi, z piersią, zapewne naga, ukrytą za małą gitarą, w spódnicy z długich zielonych liści.

Ukulele. O, tak się nazywa ta gitarka, przypomniał sobie. Ukulele. Grała na nim Marilyn Monroe w *Pół żartem, pół serio*. Widział ten film z dziesięć razy. Ależ była piękna, Marilyn.

De Santis piękna nie była. Nawet kiedy jeszcze żyła.

Aragona zakasłał. Lojacono nawet nie mrugnął powieką.

Nie była piękna, no i co z tego? Czy zasługiwała na tak osobliwe śmieszoną śmierć? Uderzona w tył głowy szklaną kulą? Szklana kula. Nie taka, jakiej używają wróżki do przepowiadania przyszłości. W tej kuli nie ma przyszłości. Może tylko trochę niedawnej przeszłości.

Lojacono pomyślał, że kula przebyła dobrych parę metrów, zanim dokonała swego podłego dzieła na głowie Cecylia De Santis. Bo zwłoki były zwrócone w stronę drzwi prowadzących w głąb mieszkania i leżały na wysokości półki z kulami opisującymi Europę – z katedrą kolońską, wieżą Eiffla, mostem w Londynie i kopenhaską syrenką. Miejsce tancerki z ukulele było natomiast na drugim krańcu pokoju, obok palm i złotych plaż, skał Acapulco i głów z Wyspy Wielkanocnej. Co ty tu robiłaś, tancereczko?

Dlaczego trafiłaś pod fotel, pięć metrów od swojego miejsca na półce? Dlaczego dłoń w rękawiczce zdjęła cię i uderzyła w czaszkę twojej ukochanej pani?

Lojacono podniósł przedmiot. Szefowa wydziału badań kryminalistycznych uprzedziła go, że muszą jeszcze zatrzymać kulę u siebie, ale analizy zostały już wykonane i można jej dotykać.

Inspektor potrząsnął kulą, zważył ją w dłoni. Była średniej wielkości, o sporym ciężarze z powodu płynu w środku i podstawki z ciemnego drewna. Obrócił ją na moment i postawił w pierwotnej pozycji.

Wewnątrz rozpętała się mała burza śnieżna. Białe płatki, zupełnie niepasujące do klimatu przedstawionego miejsca i stroju tancerki, zaczęły wirować, pokrywając wszystko migotliwą zadymką. Aragona znów zakasłał.

Powoli drobinki zaczęły opadać. Tancerka, wcale niezziębnięta, znów zaczęła wpatrywać się w Lojacono, nie przejmując się ciemną plamą pochodzenia organicznego na samym wierzchu jej kulistego domku.

O czym myślałeś? – znów zastanawiał się Lojacono. Ty, w rękawiczkach, z torbą pełną sreber zgarniętych z przedpokoju i salonu, co miałeś w głowie? Dlaczego wziąłeś tak niewinny przedmiot i rzuciłeś albo uderzyłeś nim w głowę kobiety? Dlaczego zabiłeś w ten sposób? Gdyby krzyczała, wzywała pomocy, pewnie byś ją dusił. Gdybyś znajdował się bliżej niej, a nie cztery, pięć metrów dalej, zabiłbyś własnymi rękoma, nie pierwszym lepszym przedmiotem, jaki ci się nawinął.

Jeśli to wszystko tak przebiegło. Bo może było całkiem inaczej. Może się pokłóciliście i pani De Santis nie okazała się tak uległa, jak sądziłeś. I w napadzie złości ją wykończyłeś. Właśnie wtedy, gdy wracała do sypialni, uznając rozmowę za zakończoną. Odwróciła się do ciebie plecami, była spokojna, do głowy by jej nie przyszło, że możesz tak zareagować, nie czuła żadnego niebezpieczeństwa.

Nie pomyślała, że jesteś zdolny ją zabić. W dodatku jedną z jej ukochanych kul. Tancerka się uśmiechnęła do inspektora. Wpatrywał się w nią jeszcze minutę. I wreszcie wyszedł, a w ślad za nim z lekka niespokojny Aragona.

Nakaz przyszedł faksem około dziesiątej. Di Nardo i Romano od razu ruszyli na miejsce.

Tym razem wzięli radiowóz, bo czarne chmury nie wróżyły niczego dobrego. Za kierownicą Alex, która nie zdjęła ciemnych okularów, choć nie były wcale potrzebne.

Podczas kiedy przeciskali się przez gęsty ruch, Romano starał się parę razy dodzwonić do Giorgii. Raz po raz sztuczny głosik informował go, że telefon jest poza zasięgiem. Wreszcie zaklął po cichu i rzucił komórkę na tylne siedzenie.

– Jak ją rozwalisz, to na pewno nikt już więcej ci nie odpowie – skomentowała Alex, nie odrywając oczu od drogi.

– Może tak lepiej. Przestałbym się tym raz a dobrze przejmować.

Di Nardo prowadziła przez chwilę w milczeniu, wreszcie zmieniła temat:

– Jestem bardzo ciekawa, jak wygląda nasza dziwna lokatorka. I dlaczego tkwi tam zamknięta.

– Według mnie tracimy czas na głupoty. Jeśli nie chce wychodzić i siedzi zamknięta, to jej prawo, nie? Nie ma sensu ulegać paranojom starej wścibskiej baby, która zresztą też nie wychodzi z domu. Równie dobrze ta tajemnicza babka zza drzwi mogłaby do nas jutro zadzwonić i zgłosić, że starucha żyje jak w więzieniu. A my będziemy latać między dwiema kamienicami i wyjaśniać, co i jak.

Alex wybuchła śmiechem i zaraziła tym kolegę. Obraz ich dwojga latających od domu do domu pod gradem kolejnych doniesień wydał się jej surrealistyczny.

– Skoro i tak nie było za dużo roboty w biurze, to warto się przewietrzyć.

Skrzywił się z niesmakiem.

– Jesteśmy nową ekipą z Pizzofalcone, u innych policjantów budzimy wstręt z przyzwyczajenia, u złodziei, bo jesteśmy tak czy owak policjantami, a u zwykłych ludzi trochę z przyzwyczajenia, a trochę bo jesteśmy policjantami. No i sami się

siebie brzydzimy, ponieważ każdy się czuje niesprawiedliwie zesłany do tego miejsca razem z innymi wyrzutkami.

– Tak myślisz? Dla mnie gorzej było tam, gdzie pracowałam wcześniej. Tutaj nikt nie patrzy na ciebie z góry, bo zrobiłeś coś głupiego.

Zanim zdążył odpowiedzieć, już dotarli do celu. Zostawili samochód na zakazie, umieszczając w widocznym miejscu policyjny identyfikator, i poszli w stronę bramy. Nad głowami przewalił się grzmot, paru przechodniów spojrzęło z niepokojem na niebo.

Zanim weszli, Alex sprawdziła, czy donna Amalia jest na swoim miejscu przy parapecie. Oczywiście że jest.

– Według mnie gospoś przywodzi jej basen, żeby nie musiała opuszczać posterunku. Posłałbym ją za kraty. Nienawidzę ludzi, którzy się wpięprzają w cudze sprawy.

Wdrapali się na czwarte piętro. Agencja nieruchomości była zamknięta. Podeszli do drugich drzwi. Romano nacisnął dzwonek. W ciszy, jaka panowała na klatce schodowej, usłyszeli jakiś szept za drzwiami, potem chrobot odsłanianego wizjera. Kobięty głos zapytał:

– Kto tam?

– Di Nardo i Romano z policji. Mamy nakaz, niech pani otworzy.

Po chwili ciszy usłyszeli szcęk zamka. Drzwi się uchyliły, widać było oko i palce.

– Proszę pokazać dokumenty.

Romano wręczył swoją legitymację i nakaz. Dłoń wzięła je, drzwi się zamknęły. Di Nardo prychnęła, Romano bezradnie rozłożył ręce.

Wreszcie drzwi się otworzyły.

– Proszę, państwo pozwolą.

Wchodziło się od razu do salonu. Wnętrze wygodnie urządzone, nowe meble, świeżo malowane ściany, na nich obrazy. Czystość, porządek. Alex miała jakieś niejasne, nieprzyjemne odczucie, którego w pierwszej chwili nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Potem zrozumiała. Wszystko to wydawało się sztuczne. Jak wycięte z pisma wnętrzarskiego albo z wystawy w salonie meblowym.

Te myśli przebiegły jej przez głowę w pierwszych sekundach, potem spojrzała na osobę, która ich wpuściła.

Była prawie dzieckiem. Przepięknym. Cera, świetlista i bez najmniejszej skazy, zdradzała wiek. Duże orzechowe oczy, napięcie, prawie przestach, widoczne na twarzy. Ale prawdziwy zachwyty Alex – która cieszyła się, że nadal ma na nosie ciemne okulary – wzbudziło jej ciało opięte dzinsami i białą bluzką. Wysoka, nawet w butach bez obcasów. Spory pełny biust, płaski brzuch, długie nogi. Głowa przechylona z nieświadomą gracją. Duże zmysłowe usta, w ich kąciku drobny pieprzyk.

Mogła spokojnie zostać aktorką albo modelką. Policjantka zorientowała się, że także Romano jest pod wielkim wrażeniem jej urody. Miał półotwarte usta i patrzył na nią cielecym wzrokiem. Na pewno się nie domyślał, że jego koleżanka potrafiłaby skorzystać z tego cudownego ciała o wiele lepiej niż on.

Wreszcie się otrząsnął.

– Dzień dobry. Pani tu mieszka? Z kim... przyszliśmy przeprowadzić kontrolę, więc...

Odwrócił się bezradnie w stronę Alex, która przejęła pałeczkę:

– Dzień dobry, proszę podać swoje dane.

Zanim dziewczyna zdążyła otworzyć usta, za ich plecami rozległo się dyskretne kasznięcie. Drgnęli zaskoczeni, do pokoju wszedł jakiś mężczyzna.

– Przepraszam, że państwa przestraszyłem. Dzień dobry. Germano Brasco, architekt, najemca tego mieszkania. Proszę się rozgościć. Nunzia, zaproponowałaś państwu kawę?

Romano otaksował go wzrokiem, jego nazwisko coś mu mówiło, chociaż nie pamiętał dokładnie co. Facet pod sześćdziesiątkę, wysoki, elegancki, z gęstą siwą czupryną i zadbanymi wąsami. Wskazał równie zadbaną dłonią skórzaną kanapę i fotele w kącie salonu. Dziewczyna zapytała głosem, w którym pobrzmiwał ciężki akcent jakiegoś dialektu:

– Może kawy? Przyniosę na tacy, z cukrem osobno, dobrze?

Pytania, chociaż kierowane do gości, zadawała, patrząc wielkimi oczami na mężczyznę. Gdy ten łaskawie przytaknął, zniknęła w dalszej części mieszkania.

– Wybaczcie państwo, Nunzia jest taka młoda. Nie odnajduje się jeszcze w roli pani domu. Proszę usiąść. W czym możemy pomóc?

Romano nadal stał, nie miał ochoty się spoufalać z tym facetem. Alex jednak oceniła, że im dłużej pobędą w tym mieszkaniu, tym więcej zbiorą informacji. Czuła, że ta dziwnie niedobrana para ma w sobie coś, co warto zgłębić.

Usiadła więc i zmusiła Romano, żeby zrobił to samo.

Gospodarz również spoczął. Miał na sobie jasnoszary garnitur, krawat w paski i błękitną koszulę. W klapie marynarki znaczek organizacji skupiającej miejskie elity.

Okulary w złoconej oprawce błyszcząły w świetle słońca – promienie wpadały przez drzwi balkonowe, tym razem odsłonięte. Romano dostrzegł przez okno donnę Amalię, czujnie trwającą na stanowisku. Kusilo go, żeby jej pomachać.

– Cóż więc państwa sprowadza? Jakie przestępstwo popełniliśmy?

Biła z niego pewność siebie, chciał sprawiać wrażenie sympatycznego. Romano poczuł, jak zaczyna go świerzbieć ręka, więc czym prędzej schował ją do kieszeni.

– Rutynowa kontrola, proszę pana. Otrzymaliśmy zgłoszenie, wynikające prawdopodobnie z błędnej interpretacji dotyczącej wejść i wyjść z tego mieszkania. Musieliśmy to zweryfikować.

– Hm... To miasto słusznie słynie z tego, że nikt tu nie szanuje cudzej prywatności.

– Z drugiej strony – wtrąciła się Alex – gdyby pan wiedział, ile drobnych i poważnych przestępstw wychodzi na jaw dzięki nieposzanowaniu prywatności... od jak dawna pan tu mieszka?

Facet serdecznie się zaśmiał.

– Nie, nie mieszkam tutaj. Jestem stroną umowy najmu, przyjeżdżam tu z Posilippo. Kto by dał radę żyć pośrodku takiego chaosu?

Romano przymknął oczy, żeby uniknąć irytującego refleksu od jego okularów, i zapytał:

– A skoro pan mieszka w Posilippo, to po co pan wynajmuje lokal w tej dzielnicy?

Brasco przybrał niewinny wyraz twarzy.

– Wie pan, lubię mieć do dyspozycji różne miejsca, gdzie mogę spędzić parę godzin. Tak żeby pooddychać innym powietrzem. Pracuję nad wielkimi projektami urbanistycznymi, moja pracownia wykonuje zlecenia na całym świecie, startujemy w międzynarodowych przetargach. Raz na jakiś czas lubię się odizolować, zebrać myśli. O, jest kawa. Nunzia robi świetną kawę. Ile cukru?

Dziewczyna wniosła tacę z filiżankami, postawiła ją ostrożnie na stoliku i stanęła obok z wymuszonym uśmiechem, który u Alex wywołał dreszcze. Wyglądała jak kukła.

– Nie usiądzie pani z nami? – zachęciła. Piękność rzuciła szybkie spojrzenie na architekta, jakby prosiła go o zgodę. Pokiwał głową, usiadła. Alex odniosła wrażenie, że to dobrze wytresowane zwierzątko domowe.

– A więc przebywa tu pan tylko okresowo. Jak często?

– Różnie. Okresowo, tak jak pani mówi. Znowu zapytam: czy jest jakiś problem? Coś, o czym muszę wiedzieć?

– A pani też jest w tej pracowni? – wypaliła Alex.

Pytanie zawisło w ciszy. Dziewczyna miała spojrzenie jak zwierzę w pułapce. Odpowiedział za nią Brasco:

– Nie, Nunzia jest moją przyjaciółką. To znaczy córką przyjaciół – pospieszył z wyjaśnieniem, jakby chciał szybko naprawić błąd. – W jej wieku każdy chce mieć trochę swobody, więc pozwalam jej przebywać tu, kiedy chce. To wszystko.

Alex znów zwróciła się do młodej bogini:

– A więc pani tu mieszka. Czym się pani zajmuje? Praca? Studia?

Romano, który coś zapisywał w notesie, dodał:

– Proszę podać swoje dane i adres zameldowania.

Ponownie odezwał się Brasco:

– Nazywa się Esposito Annunziata. Mieszka przy vicolo Secondo all'Olivella 22. Jest... zamierza zapisać się do szkoły średniej, ukończyła gimnazjum chyba.

Di Nardo spojrziała na niego lodowato.

– Czy pani ma problemy z mówieniem? Wada wymowy, jąkanie? Chcielibyśmy usłyszeć bezpośrednio jej odpowiedzi.

Ostrość słów podkreślał jej suchy ton. Romano aż podniósł wzrok znad notesu. Brasco zamrugął.

– Nie, nie, jest po prostu bardzo nieśmiała. Nunzio, odpowiedz pani, nie każ mi wypowiadać się za siebie.

– A co ja mam powiedzieć? Mieszkam tu i tyle.

Ciepły cichy głos z wyraźnie wyczuwalnym strachem. Ta dziewczyna jest przerażona, Alex była tego pewna.

– Proszę mi jeszcze podać: od kiedy pani tu mieszka... znaczy: od kiedy korzysta z gościny pana Brasco?

To zawahanie w pytaniu było zamierzone i architekt zaliczył cios. W centrum uwagi znalazła się natura jego relacji z dziewczyną. Nunzia po raz kolejny szukała jego wzroku, ale go nie napotkała, bo Brasco wpatrywał się w Alex z pewnością siebie, tym razem dobrze udawaną.

– Ja... już siedemnaście dni.

Zaczekali, bo wydawało się, że jeszcze coś doda. Ale zamilkła.

– A co pani robi? Wychodzi, spaceruje, spotyka się ze znajomymi?

Nunzia miętoszyła splecione dłonie. Spojrzała na architekta z niemą prośbą o ratunek, po czym odparła:

– Nie, siedzę tu, nie chce mi się wychodzić. Nie wychodzę. Siedzę w domu, dobrze mi tutaj. – Westchnęła, zadowolona z podjętego wysiłku. Wtrącił się Brasco:

– Nunzia miała pewne problemy, załamanie nerwowe. Jej rodzice prosili, abym ją ugościł na trochę, żeby się pozbierała. I to pomaga, prawda, Nunzio?

Dziewczyna energicznie przytaknęła. Sposób mówienia i gestykulacji podkreślał jej młody wiek.

– Może mi pan pokazać umowę najmu? – zwrócił się do architekta Romano. – I przy okazji dokumenty. Pana i pani.

– Oczywiście, nie widzę problemu, chociaż nie rozumiem, po co te wszystkie pytania i to całe zainteresowanie. Tak jakby po ulicach nie chodziło dość przestępców.

Romano zerwał się na nogi z zaciętym wyrazem twarzy. Warknął głuchym tonem:

– Przestępcy czasami nie wyglądają na przestępców. Dawaj pan te dokumenty, ale już!

Cała trójka spojrzała na niego z zaskoczeniem. Alex zaniepokoiła się, bo zrozumiała, że Romano obraziła sugestia architekta i właśnie tracił nad sobą kontrolę. Wstała szybko:

– Mój kolega wyraził prośbę, proszę ją spełnić.

Architekt wręczył papiery drżącą ręką i dał znać dziewczynie, żeby pokazała swój dowód osobisty. Starał się odzyskać panowanie nad sobą i odrobinę godności.

– Znam wiele osób... gdybym chciał złożyć skargę na to bezsensowne przesłuchanie... porządni ludzie siedzą w domu i nikomu nie wadzą...

Podczas gdy Alex sprawdzała dokumenty, Romano wciąż wpatrywał się w architekta, który nie uciekał wzrokiem. Szczeka policjanta lekko drgała, usta zacisnęły się i zbieleły od napięcia.

– Taaak? A co byś pan powiedział tym swoim znajomkom? Powiedziałbyś o swojej garsonierze i o tej dziewczynie, którą tutaj trzymasz? Na pewno by cię poparli?

Di Nardo położyła mu dłoń na ramieniu.

– Romano, dość – nakazała stanowczo. – Mówię: dość. Dokumenty są w porządku, potwierdzają wszystko, co ci państwo zeznali. Możemy sporządzić protokół.

Atmosfera zrobiła się tak gęsta, że dałoby się ją ciąć nożem. Nunzia cofnęła się bliżej ściany – najchętniej by zniknęła. Brasco gapił się w podłogę, sapiąc. Alex odłożyła papiery na stół.

– Dziękuję za kawę, nie będziemy już przeszkadzać. Gdyby pani pobyt miał się przedłużyć i zdecydowała się pani zmienić miejsce zameldowania, należy dokonać właściwych czynności w urzędzie miasta. Miłego dnia.

Już na ulicy Romano wyjął papierosa z pomiętej paczki.

– Nie wiedziałam, że palisz.

– Nie palę, w każdym razie przestałem. Ale czasami naprawdę potrzebuję poczuć papierosa w ustach, tyle że go nie zapalam.

– Co za dziwna para...

– Para? Jaka, kurwa, para? Widziałaś ich dowody? Widziałaś, ile on ma lat? Sześćdziesiąt trzy, stara świnia. A ona skończyła osiemnaście miesiąc temu. Osiemnaście! Mógłby być jej dziadkiem.

– Może to prawda, że to przyjaciel rodziny, a dziewczyna przeszła załamanie nerwowe. Nie trzeba wszędzie doszukiwać się zła.

Romano spojrział w górę, w stronę okien starej pani Guardascione.

– Tak, jasne, a ja jestem Maradona. Odczekał, aż będzie pełnoletnia, żeby nikt mu nic nie zarzucił. Ohyda. Ale przynajmniej zadowolimy tę staruchę. Sprawdziliśmy i możemy zamknąć sprawę.

Kiedy wsiadali do samochodu, Alex pomyślała, że może warto jeszcze to i owo posprawdzić.

Siwa kobieta idzie, powłócząc nogami. Nikt jej nie zauważa.

Jest gruba i stara. Z powodu artretyzmu stąpa krzywo, a każdy krok sprawia jej ból. Słysząc głośny grzmot, ludzie się spieszą. Ona nie. Pośpiech cechuje tych, którzy mają dokąd pójść, do kogo się uśmiechnąć. Siwa kobieta od dawna nie miała nikogo.

W rękę ściska plastikową torbę. Kupiła dwa pomidory, pudełko serków, jabłko. Sprzedawca w warzywniaku bez pytania dorzucił jej pęczek bazylii i mandarynkę. Nawet się nie zorientowała.

Ma na sobie grubą wełnianą jesionkę, poplamioną z przodu, o nieokreślonym kolorze, może szarą kiedyś. Bezkształtna spódnica zakrywa halkę, która służy jej też jako koszula nocna. Na szyi łańcuszek z metalowym krzyżykiem. Włosy brudne, skołtunione, od dawna nieszczotkowane.

Na stopach męskie skarpety; buty rozdeptane, dziurawe.

Siwa kobieta schodzi w czeluść metra, ostrożnie, po jednym schodku. Trzyma się poręczy, za każdym razem, kiedy dostawia stopę do drugiej, lekki grymas wykrzywia jej twarz.

Nikt jej nie widzi. Jakby nie istniała.

Na schodach z furią potrąca ją chłopak. Torba prawie wypada jej z rąk. Staruszka w ostatniej chwili z trudem łapie równowagę przed upadkiem.

Ale młody człowiek nawet tego nie zauważył. Nikt nie zauważył.

Siwa kobieta nie zmienia wyrazu twarzy, jej oczy wpatrują się w ziemię.

Mieszka sama w dwupokojowym mieszkaniu, gdzie żyła z matką. Od miesięcy nie płaci czynszu, zasiłek socjalny wystarcza jej ledwo na jeden posiłek dziennie i lekarstwa niezbędne do przeżycia. Za kilka czy kilkanaście dni ktoś przyjdzie ją wyeksmitować, a ona nie wie, gdzie się wtedy podzieje. Siwej kobiecie brak sił, żeby się uzalać czy płakać. Nie wie, dokąd zadzwonić po pomoc, nie ma przyjaciół ani krewnych, których mogłaby poprosić o dach nad głową i ciepły posiłek.

Nawet już nie cierpi. Utraciła wszelkie siły i chęć, by doczekać do następnego dnia. Żyje, bo nie umie robić nic innego, i myśli, że wola boża liczy się bardziej niż jej wola.

Pośród tłumu stara się ustawić tak, by móc się dopchać do drzwi wagonu. Obolałe biodra, ciężar i wiek czynią ją najpowolniejszym zwierzęciem w tej dżungli. Jeśli nie chce być wypchnięta z tłumu, musi się ustawić z przodu, dokładnie tam, gdzie otworzą się drzwi. To pora, kiedy dzieci wracają ze szkoły. Najgorsza. Grupy nastolatków gonią się i przekrzykują, przepychają i śmieją, nie zważając na nikogo.

Kilka metrów obok jakiś chłopak kogoś małpuje, reszta jego paczki pęka ze śmiechu i podskakuje. Jedna dziewczyna niechcący potrąca siwą kobietę tak, że ta mocno się chwieje. Młoda odwraca się, widzi starą i śmieje się jej w twarz. Potem odwraca się znów do swojego towarzystwa, zatykając nos i udając odruch wymiotny.

Wszyscy rechoczą. Dopiero teraz ktoś ją zauważa. Siwa kobieta nie odrywa wzroku od ciemnej zapadliny, gdzie biegną tory kolejki. Widziana z tyłu jest uosobieniem rozpaczki. Zgarbione plecy, spuszczone głowa, brudne kołtuny, smętne jak zwiędłe liście. Ciekawe, jakie wspomnienia przebiegają przez jej głowę, jakie myśli.

Siwa kobieta stawia na ziemi siatkę z mizernymi zakupami. Chociaż pakunek nie waży wiele, palce ją straszliwie bołą. Wydaje z siebie cichy jęk. Nikt go nie słyszy.

Litość, siwa kobieta myśli o litości, podczas gdy z tunelu idzie podmuch nadjeżdżającego pociągu. Ale jaka znów litość, skąd i jak!

Młodzi ciągle się zaśmiewają, ich bujne czupryny falują w przeciagu. Tłum się miesza i przesuwa. Za siwą kobietą zjawia się cień.

Nikt tego nie zauważa. Ani młodzi, ciągle roześmiani bez sensu. Ani para zakochanych, patrzących sobie w oczy.

Ani młoda mama, poprawiająca kocyk w wózku. Ani urzędnik, który chce szybko dokończyć artykuł w darmowej gazecie, żeby ją wyrzucić, zanim wsiądzie do metra.

Ani ochroniarz po nocnej zmianie, który ledwo patrzy na oczy. Ani kieszonkowiec, rozglądający się, czy ktoś ma portfel w tylnej kieszeni.

Ani nauczyciel, zapatrzony w zachwycie w tyłek jednej z uczennic, ciasno opięty dzinsami jak drugą skórą. Ani dwie zakonnice – wciąż omawiają w jakimś dziwnym

języku kwestię tego, która z nich zostanie wysłana na misję gdzieś do Azji.

Ani kontrolerzy. Leniwie gadają o piłce w oczekiwaniu na kogoś o pocziwym wyglądzie, kogo wyłuskają z tłumu, by sprawdzić bilet. Wolą unikać napakowanych łobuzów, ci z pewnością biletu nie skasowali, ale nie lubią, gdy się ich o to pyta.

Ani kobieta wracająca z wielkich zakupów. Tylko pilnuje, żeby nie upuścić żadnej z licznych toreb. Tuż przed nadejściem pociągu, dokładnie w chwili, gdy siwa kobieta prosi kogokolwiek, kto jest w niebiosach, by dał jej trochę siły, na jej plecach delikatnie kładzie się ręka i lekko ją popycha.

Siwa kobieta spada, nie wydając nawet westchnienia, w małą przepaść torowiska. Akurat nadjeżdża pociąg.

Nikt nie zauważył.

Dopiero po chwili zorientuje się dziewczyna, która pędziła w dół po schodach w nadziei, że jeszcze złapie ten pociąg. Nie udało się. Stoi teraz i ma przed sobą żalony widok tego, co zostało po siwej kobiecie.

Delikatna dłoń wsuwa się do torby, tej pozostawionej na peronie. List. Jest w nim pożegnanie ze światem, którego siwa kobieta nie miała siły wypowiedzieć.

Ale nikt tego nie zauważył.

Kiedy dotarli pod bramę klubu żeglarskiego, z nazwą La Vela wyrytą na dużej mosiężnej tablicy, wiatr na powrót obejmował władzę nad światem. Przez ranek i wczesne popołudnie wydawało się, że będzie lać, i to jak z cebra, falami nadchodziły coraz silniejsze grzmoty, nad morzem się błyskało. Ale tymczasem wrócił ostry wiatr, czarne chmury zaczęły znów pędzić po niebie.

Aragona i Lojacono udali się w stronę wejścia do budynku zatopionego w zieleni. Zza ozdobnych roślin wyłaniał się widok na molo i kołyszące się maszty przycumowanych łodzi. Pisanelli zapowiedział im, że spotkanie z baronową Ruffolo może mieć tylko nieformalny i ściśle poufny charakter, więc nie pokazywali legitymacji.

Portier, jak wycięty z filmu z lat 50., w liberii i białych rękawiczkach, otaksował z ledwo skrywanym niesmakiem opaleniznę z solarium, przyciemniane okulary i rozpiętą na torsie koszulę Aragony. Ten zaś uniósł podbródek i rzucił mu wyzywające spojrzenie. Dwa światy naprzeciwko siebie. Z miną, jakby ulegał jakiejś przemocy, portier zaprowadził ich do saloniku, gdzie urzędował kelner – pod względem wizerunku jego brat bliźniak.

Szli dalej za nim przez kolejne salony o ścianach obwieszonych dyplomami i trofeami wszelkiego rodzaju. Aragona zapytał szeptem:

– Co to za miejsce, do cholery?

Dotarli do obszernej sali, której jedyne wyposażenie stanowiło dwadzieścia stolików do gry. Siedziało przy nich sporo osób, głównie kobiet. Pomiedzy nimi, niczym wiosenne bąki, kręcili się kelnerzy z tacami pełnymi drinków i tartinek. Na przekór zakazowi umieszczonemu na ścianie w powietrzu było gęsto od dymu. Przemierzyli całą salę w ślad za wykrochmalonym kelnerem. Kilka par oczu podniosło się znad kart i wpatrywało z ciekawością w przybyszów. Lojacono z zaskoczeniem odebrał parę lubieżnych spojrzeń, rzuconych przez zmurszałe osiemdziesięciolatki ożywione widokiem świeżego mięsa. Wzdrygnął się.

Jedna ze ścian sali była całkowicie przeszklona, za nią znajdowała się weranda, pusta, jeśli nie liczyć stolika, przy którym siedziała elegancko ubrana dama. Kelner

zaprowadził ich właśnie do niej, uklonił się i uroczyście zaanonsował:

– Pani baronowo, goście.

Kobieta przypominała te z sali obok. Pomarszczona twarz z mocnym makijażem, wielkie ciemne okulary, sznur pereł, ciężkie staroświeckie kolczyki. Wpatrywała się w widoczną z werandy cudowną panoramę zatoki z wielką górą w tle.

– Dziękuję, Amedeo. Zapytaj panów, czego się napiją, a mnie przynieś margaritę. Panowie zechcą spocząć.

Jej głos przypominał odgłos papieru ściernego przeciąganego po tarce. Ton był oschły, typowy dla osób przyzwyczajonych do wydawania poleceń.

Poprosili o dwie kawy. Kelner bezszelestnie zniknął. Zasiedli.

Odwróciła się powoli w ich stronę, przypatrując się im zza okularów. Zakryte oczy baronowej wraz z siateczką zmarszczek nadawały tej twarzy rodzaj gadziego wyglądu, który mocno ich niepokoił. Aragona wiercił się na krześle, żeby dodać sobie otuchy, zdjął i założył okulary. Ale nie przyniosło to żadnego skutku. Kobieta przeniosła wzrok znów na morze.

– Jestem Anna Ruffolo. Giorgio Pisanelli mówił, że zależy wam, aby ze mną porozmawiać. To mój przyjaciel, nie mogę mu odmówić. Ale jedno musi być jasne.

Skrzekliwy głos zamilkł bez żadnego widocznego powodu. Po chwili nadpłynął kelner z tacą. Postawił kawę, drinka i talerzyk z ciasteczkami, po czym zniknął. Lojaco zastanawiał się, jak wyczuła jego nadejście. I tak jakby wypowiedział tę myśl na głos, bo baronowa wyjaśniła:

– Tutejsi kelnerzy to chodzące podsłuchy. Zwyczajnie pobierają od pewnych osób pensję, żeby powtarzać plotki. Nowiny to rzadki towar w świecie, w którym ni chu... niewiele się dzieje, tak jak w naszym. Teraz wy jesteście nowiną.

Wskazała ruchem głowy za siebie. Za szklaną ścianą dwadzieścia kobiet przyglądało im się ukradkiem. Anna Ruffolo podjęła wątek:

– Jedno musi być od razu jasne: ta rozmowa nigdy się nie odbyła. Nie możecie jej protokołować ani referować nikomu, nie możecie opowiadać o niej komukolwiek, macie się nie przyznawać nawet, że mnie poznaliście. Jeśli nie, to proszę spokojnie dopić kawę i żegnam uprzejmie. Nie pytałam was o nazwiska i nie chcę ich poznać. Zdecydujcie sami.

– Rozumiemy i dziękujemy za pomoc – odezwał się Lojacono. – Nikt się nie dowie, że się spotkaliśmy, poza kolegami z zespołu śledczego. Informacja, że ta rozmowa się odbyła, nie wyjdzie poza komisariat. Niczego nie notujemy, żadnych protokołów. Gwarantuję pani.

Ponownie odwróciła twarz w jego stronę, spojrzała przeciągle i znów zapatrzyła się w morze.

– Czego chcecie się dowiedzieć?

– Wie pani, co się przytrafiło De Santis Cecilii, żonie notariusza Arturo Festy. Pisanelli powiedział nam, że ofiara przyjaźniła się z panią. Nie mamy na razie wielu tropów: sprawa wygląda na nieudany napad rabunkowy, ale parę rzeczy nam nie pasuje. Chcieliśmy się dowiedzieć więcej o tej kobiecie. Jakie miała problemy i troski, czy w jej życiu było coś albo ktoś, kto mógłby doprowadzić do tego, co zaszło. Może zwierzyła się z czegoś, pani albo komuś innemu, co naprowadziłoby nas na właściwy trop.

Przez chwilę milczała, popijając drinka.

– De Santis Cecilia. Tak ją nazywacie. De Santis Cecilia. Nazwisko i imię. Tyle z niej zostało, biedna Cicia, nazwisko i imię w protokole. Dla mnie była zawsze Cicią, od kiedy ją zobaczyłam tuż po jej urodzeniu. Miałam piętnaście lat, nasze mamy się przyjaźniły. Tak zresztą jak babcie. Prababcie być może również. Wiecie, to mały światek. Jest nas niewiele, ze trzy tysiące? Wszyscy się znamy i trzymamy razem. Ostatnio z rzadka przyjmujemy kogoś nowego, a i to tylko jeśli prezentuje się efektownie: ma wielkie pieniądze czy talent do sztuki. Służą nam do obgadywania, żeby był jakiś temat. Zasadniczo jednak pozostajemy zawsze w stałym gronie: zawsze ci sami i tacy sami.

Ostrzejszy podmuch wiatru wstrząsnął szybami.

– Nasz świat. Wakacje w Cortinie, na Capri. Co jakiś czas podróż, nic wielkiego. Dom w Nowym Jorku czy Paryżu, biuro w Londynie. Salony, kluby. Nigdzie żadnych okien, żeby nie było widać, co się dzieje na świecie albo na mieście. Mamy być przekonani, że nasze życie to cały wszechświat. Popatrzcie na te tam. Na pewno się pytają: co to za ludzie przyszli do Ruffolo? Co jej mówią? A co ona im opowiada? Nikt potem ni chu... o nic nie zapyta, oczywiście, ale między sobą będą o tym gadać całymi tygodniami. Tak jak będą gadać o Cicii i śmierci, która ją spotkała. Taki nasz świat. Co za smutek.

Aragona zakaszłał.

– A czy De San... ofiara była też taka? Tak jak te kobiety?

– Cicia? Nie. Nie całkiem w każdym razie. Ona też należała do klubu, miała dom w Cortinie jak wszyscy. Ale w niej było coś innego. Umiała kochać. Naprawdę kochać, z cierpieniem i bólem, tak jak ci na zewnątrz. Pomagała innym, nie robiąc przy tym szumu. Mocno udzielała się charytatywnie, wiecie? Po kryjomu dwa razy w tygodniu jeździła uczyć do przedszkola w bardzo biednej dzielnicy, do takiego miejsca, gdzie normalny człowiek nie zapuszcza się nawet w pojeździe opancerzonym. Mówiłam jej: zapłać komuś, żeby się tym zajął, dzięki temu dasz pracę jakiemuś nieszczęsnemu nauczycielowi. A ona: nie, to ja muszę. Bo jestem egoistką, a to dla mnie takie miłe być z tymi cudownymi maluszkami. Cała Cicia.

Morze robiło się coraz bardziej wzburzone, smagało pomost, do którego zacumowano łodzie. Baronowa mówiła dalej:

– To nie tak, że my nie kochamy. Przeciwnie, możemy poświęcić na miłość tyle czasu, ile chcemy. Na miłość, zdrowie i wygląd. Pieniądze do tego właśnie służą, prawda? Żeby móc się zająć pięknymi rzeczami. A co jest piękniejszego od miłości? Oprócz gry w karty oczywiście. – Upiła trochę drinka. – Cicia była jedyna w swoim rodzaju. Zakochała się tylko raz. Widzieliście ją w takim stanie, w jakim ja nie mogę sobie jej wyobrazić, a zdjęcia nie oddają niczego. Nie uchodziła za wielką piękność. Miała jednak niezwykłą delikatność, rodzaj uroku w oczach, który działał na ludzi. Była piękna, tyle że w duszy. Jej dusza skrzyła się tysiącem kolorów. Kpiłam z niej, żartowałam, że bierze udział w konkursie na największą świętą. Ona się śmiała, ale taka prawda, Cicia odróżniała się od wszystkich.

Lojacono starał się uprzejmię sprowadzić rozmowę na tory ważne dla śledztwa.

– Pani baronowo, nie wątpimy, że pani De Santis była wyjątkowa. Właśnie dlatego zastanawiamy się, kto i z jakiej przyczyny mógłby chcieć ją skrzywdzić. Wolno panią zapytać, czy ma pani jakieś przemyślenia w związku z tym?

Morze wyło bezustannie. Paru pracowników klubu w sztormiakach powiewających jak flagi pokazało się na pomoście, żeby wzmocnić cumy.

Baronowa się namyślała.

– Cicia miała jedną słabość, jedną jedyną. To mąż. Arturo. Głupi dupek, żaloszny pajac, który nie przepuści okazji, żeby rzucić się na każdą dupę, jaka mu się nawinie. Był nikim. Aż miał farta i spotkał Cicię. Nikim. Ona z niego zrobiła prawie

najważniejszego notariusza w mieście. Dała mu niesamowitą sieć kontaktów, dzięki niej zdobył tyle zleceń, jakby urzędował w mieście sam. On w zamian ciągle przyprawiał jej rogi i tak ją ośmieszał przed ludźmi, że całkiem przestała bywać w towarzystwie. Powtarzałam jej to codziennie, błagałam, radziłam: powiedz mu, żeby poszedł się pieprzyć, co zresztą odpowiadało jego skłonnościom. Ale ona mi mówiła, że i tak go kocha. Absurd, nieprawdaż?

Lojacono przytaknął.

– Zgadza się, absurd, pani baronowo. Ale często tak bywa. Czy ostatnio zdarzyło się coś szczególnego? Jakaś kłótnia, awantura?

– Niestety nie. Jak wspomniałam, pomimo moich rad Cicia nigdy nie podejmowała rozmowy z tym gnojkiem. Nawet wtedy, kiedy stracił już resztki godności.

Aragona zdjął okulary, żeby podkreślić swoje zainteresowanie.

– W jakim sensie?

Baronowa prychnęła.

– Nawet tutaj przyszedł na jedną z imprez z tą swoją kurwą. Tu, do klubu, gdzie, gdyby nie został mężem Cici, nie miałby szans pracować nawet jako kelner. Trzeba było widzieć tę panienkę: ubrana jak zdzira, włosy na rudo, obcasy wysokie na metr, pozdrawiała ludzi na lewo i prawo, jakby to ona zajmowała pozycję żony.

– Zna pani jej nazwisko? – zapytał Lojacono. – Wie pani, kto to jest?

– No jasne że wiem. Według pana coś tu może się zdarzyć, czego zaraz wszyscy nie wiedzą, łącznie z waszą wizytą? Iolanda Russo. Księgowa, doradca finansowy czy też może inna przykrywka dla prawdziwej pracy.

– To znaczy? – spytał Aragona, zanim Lojacono zdążył dać mu kuksańca.

– Dla pracy kurwy – odparła baronowa niewzruszona. – Pamiętam tę żalostną scenę: wszyscy przed nimi uciekali zażenowani, a on ścigał każdego, żeby ją przedstawić. Mogła być jego córką. Festa prezentował zaś ją jako „znakomitą profesjonalistkę, która może się wam przydać”. Już ja wiem, do czego mogłaby się przydać. W każdym razie nowy był fakt, chociaż to nie aż taka wielka nowina, że zaczął z powrotem afiszować się na mieście ze swoimi kurwami. Na parę lat się uspokoił albo przynajmniej zachowywał dyskrecję. Ale w przypadku takich jak on prawdziwa natura wcześniej czy później daje o sobie znać.

Lojacono słuchał z zaciekawieniem.

– Sądzi pani, że przyjaciółka odbierała to jako zniewagę? Że chciała to przeciąć i że ktoś...

Baronowa się zaśmiała, a jej śmiech był szorstki, przykry. Przypominał odgłos grabi ciągniętych po żwirze.

– Cicia? Nie, cierpiała, ale nie dawała po sobie poznać. Uważała, że jej mąż jest doskonały, że jest cudownym darem niebios i czasami wolno mu się zabawić. Tak nazywała relacje męża z innymi kobietami: zabawia się co jakiś czas. Miał tyle tych zabaw, dlaczego mu wypominać akurat tę jedną?

Pracownicy przystani walczyli ciągle z wiatrem, morzem i cumami. Aragona przyglądał się im zauroczony. Potem zapytał:

– Kto to zrobił, według pani? Kto mógł chcieć skrzywdzić kogoś tak dobrego i łagodnego?

Baronowa też patrzyła na morze.

– Nie wiem. Może to naprawdę był napad. Cóż to by była za ironia, że najbardziej hojna osoba, jaką znam, zginęła z powodu pieniędzy czy biżuterii. Z pewnością ten dupek nie miałby w tym żadnego interesu, bez niej jest skończony. Ale mnie obchodzi tylko to, że straciłam przyjaciółkę, jedyną, z którą naprawdę rozmawiałam. Nie gadałyśmy o pierdołach tak jak z tymi gęsiami w środku. Chociaż była młodsza, wydawało się, jakby miała tysiąc lat, tak dobrze wszystko rozumiała. Bardzo będzie mi jej brakować. Z nią umarł też kawałek mnie. Ten najlepszy. Jedyny, który był coś wart.

Chwilę pozostali w milczeniu, obaj policjanci zdawali sobie sprawę, że płacze bez łez. Potem zakończyła:

– Teraz wstanę i was pozdrowię. Młodszego ucałuję w policzek, starszemu podam rękę. Powiem, że przyjechałam siostrzeńca, który przyszedł z kolegą prosić o pieniądze. To się często tutaj zdarza. Jeśli będziecie jeszcze czegoś potrzebowali ode mnie, kontaktujcie się przez Pisanello. Chcę, żebyście dopadli tego, kto to zrobił, i wsadzili za kraty. W przeciwieństwie do Cicii jestem mściwa. Zgoda?

Lojacono kiwał głową, po czym nagle się odezwał:

– Mogę o coś zapytać? Dlaczego pani przyjaciółka zbierała te przedmioty, te szklane kule ze śniegiem?

Powoli się odwróciła i wpatrzyła w twarz inspektora.

– Po co to panu wiedzieć? Co znaczy to pytanie?

– Nie wiem. Sądzę, że jeśli ktoś poświęca tyle czasu na coś, to musi to mieć duże znaczenie. Chociaż z boku może wydawać się nieistotne.

Wciąż patrzyła na niego bez wyrazu. Aragona znów zaczął się wiercić na krześle. W tej kobiecie coś go niepokoiło. Skupił się na człowieku w sztormiaku, który zawieszony między pomostem a wodą, zaciskał cumę.

– Pan jest z Sycylii, prawda? Wygląda pan na kogoś ze wschodu, ale słyszę sycylijski akcent. Piękna ta nasza Sycylia. Wyspa porządnych ludzi. – Odwróciła się w stronę morza. – Śnieżne kule. Cicia je zbierała od ślubu. W czasie podróży poślubnej mąż jej kupił jedną, nie pamiętam gdzie. Kiedy wróciła, śmiałyśmy się z tego. Że prezent całkiem w porządku, biorąc pod uwagę zły gust tego faceta. Ona przyjęła jednak kulę niczym cenny diament. Od wtedy je zbierała. Może chciała odnaleźć tę iskierkę szczęścia, które wtedy czuła. Albo po prostu zapewniała sobie czymś czas, bo mąż pozostawił jej życie w pustce. Tak czy inaczej, każdego z nas, kto jechał w podróż, prosiła, żeby jej jakąś kupić. Nawet ja przywiozłam parę, niech mi Bóg wybaczy.

Wstali, odegrali scenkę, tak jak ich o to prosiła, Aragona udawał serdeczne pożegnanie, a Lojaco zachował się tylko uprzejmie.

Przeszli z powrotem przez zadymioną salę, odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami.

Na zewnątrz wiatr szalał na całego.

XXXVIII

Po drodze na komisariat nie rozmawiali zbyt wiele. Nieliczni ludzie na ulicy chronili się przed wiatrem, idąc blisko ścian domów.

– W pewnym momencie żal mi się jej zrobiło – skomentował Aragona. – Będziesz się śmiał, ale szkoda mi tej starej. Odniosłem wrażenie, że jest samotna, w totalnej rozpacz. Mimo że ma więcej pieniędzy niż wszyscy moi znajomi razem wzięci.

– Rozumiem cię doskonale. Lepiej zdychać z głodu i walczyć o to, żeby dzieciakom przynieść żarcie. W ten sposób dni szybciej mijają i nie zostaje się niewolnikiem kart.

Aragona spojrział krzywo z lekka obrażony:

– Nie, tego nie powiedziałem. Ale ty też nie chciałbyś być na jej miejscu. W każdym razie w opisie przyjaciółki Pisanello notariusz nie wypada najlepiej. Swoją drogą ciekawe, na czym polega ta przyjaźń. Oboje mają po sto lat, może w paleolicie się pieprzyli.

– To ich sprawa. Ja w każdym razie jestem wdzięczny koledze, bez niego byśmy w ogóle nie zdobyli tych informacji. Cóż, postać nowej kochanki Festy wydaje się coraz ważniejsza. Dobrze by było ją spotkać, zanim postanowi milczeć tak jak on.

W komisariacie panowała burzliwa atmosfera, zupełnie jak na zewnątrz. Di Nardo omawiała z partnerem sprawę interwencji, którą przeprowadzili niedawno. Romano właśnie kończył wywód:

– ...no więc ten facet to totalna menda, zgadzam się. Pierwszy twierdziłem, że dziewczyna to nie żadna przyjaciółka tylko ktoś zupełnie inny. Ale sprawdziliśmy papiery. Wszystko w porządku, nie? Co możemy jeszcze zrobić?

Di Nardo zdjęła okulary, w całej pełni ukazując twarz naznaczoną zmęczeniem.

– Oboje mieliśmy to samo wrażenie – odparła cicho, lecz stanowczo. – To nie jest typowa historia starego wieprza, który trzyma sobie młodą laskę. Wisi tam w powietrzu coś dziwnego, chorego, jakieś zniewolenie. Nunzia na pewno nie tryska szczęściem. Jest zastraszona, stłamszona, pełna lęku. Mamy udawać, że nie

czujemy tego? Świadomie to olejemy, przyznając mu rację, kiedy mówił, żebyśmy się zajęli prawdziwymi przestępcami? I do tego zagroził interwencją na górze.

Wtrącił się Palma:

– Jak to „interwencją na górze”? Co tam wygadywał ten cały architekt? – Młodszy aspirant spojrział krzywo na koleżankę. Teraz Palma, tak jak wszyscy dotychczasowi komisarze, z którymi Romano pracował, każe im wstrzymać dochodzenie, żeby nie mieć przykrości. Tak czy inaczej, zreferował pogróżki architekta i przyznał, że mało nie stracił panowania nad sobą. I że gdyby nie Alex, na którą wskazał, nie patrząc na nią, spuściłby facetowi łomot.

Palma zaskoczył cały zespół:

– To było od razu mi mówić. Skoro tak was przyjęli, to idziemy do przodu. Podjedźcie pod adres zameldowania dziewczyny, do jej rodziny, zobaczcie, co wam powiedzą. Jeśli coś wyskoczy, cokolwiek co nie pasuje, zgarniemy faceta i bierzemy w obroty. Dobra?

Wszystkich to zdumiało. Ottavia Calabrese pomyślała, że Palma jest Mężczyzną Idealnym, i zamarzyła, żeby go pocałować.

Lojacono wtrącił się, zdejmując płaszcz:

– My tymczasem spędzamy popołudnia w klubach żeglarskich, popijając drinki z arystokratkami. Ktoś się chce zamienić?

Komisarz rozłożył ramiona.

– No ktoś musi tu pracować. Opowiadaj, jak tam.

Inspektor streścił zdarzenia z całego dnia, w tym wizytę w laboratorium. Aragona dodał z goryczą:

– Nie chcecie widzieć, jaką miał minę ten kutas w fartuchu, kiedy usłyszał, skąd jesteśmy. Zasługiwał na wpierdol. Gdyby nie Lojacono, który... który zadzwonił gdzie trzeba, to ni cholery by nie puścili pary z gęby.

Palma pokiwał głową.

– Jasne, ale następnym razem pozwólcie, że ja się tym zajmę drogą urzędową. Przesaną w końcu nam rzucać kłody pod nogi.

– Niesamowite, że na nas zwalają winę za to, co się stało w Pizzofalcone. Przyszliśmy tu później, nie znamy tych łebków, co tu pracowali.

Z końca pokoju rozległ się głęboki głos Pisanellogo:

– Myśmy ich znali, tych łebków, jak ich nazywasz. Koledzy tacy sami jak ja i ty. Ludzie ciężko harujący za małe pieniądze, z chorymi dziećmi i kredytem do spłacenia. Ulegli pokusie, kiedy wpadł im w ręce cały ten szajs, zdarza się to wielu każdego dnia.

Zapadła cisza. Wszyscy siedzieli ze wzrokiem wbitym w wicekomisarza.

– Tak dla jasności – podjął Pisanelli. – Nie twierdzę, że nie stali się przestępcami. Zwłaszcza że nie chodziło o to, że zgarnęli na boku jakąś kasę, ale że odsprzedali koks niewinnym dzieciakom. Tego nie mogą wybaczyć im i tym, którzy utrzymują jeszcze tę budę. Bo to mógłby być ktokolwiek z nas na miejscu tamtych.

Palma usiłował zmienić temat rozmowy, odsuwając gorzkie rozważania na dalszy plan.

– Jakoś się przyzwyczajają do tego, że tu się pracuje, solidnie i na maksa. Jeśli nie, tym gorzej dla nich. Jak słyszę o Bękartach z Pizzofalcone, to chce mi się tylko śmiać. Ottavio, jakieś wieści dla Lojacono i Aragony?

Calabrese odpaliła parę plików na swoim komputerze.

– Coś tam się znajdzie. Nadszedł raport z sekcji zwłok, potwierdza to, co usłyszeliście na miejscu. Kobieta zginęła wyłącznie wskutek urazu czaszki. Reszta ciała w dobrym stanie, adekwatnie do wieku. Jak dodał lekarz sądowy w mailu, mogłaby spokojnie dożyć setki, gdyby ktoś nie postanowił stuknąć jej obłym przedmiotem w tył głowy.

Romano zachichotał:

– Najlepszy sposób, żeby określić stan zdrowia, to sekcja zwłok, nieźle, co? Widać lepiej niż na usg. Przekaż moje gratulacje doktorkowi.

– Tak, a najlepiej ciebie zaproponować jako następnego – odparowała mu Ottavia. – Jesteś duży i gruby, będą mieli co kroić. W każdym razie to niejedyna nowina dla Lojacono. Dzwonił mój kolega informatyk i powiedział, że prawie skończyli analizować dysk z komputera Festy. Nie zgadniecie, co znaleźli. – Teatralnie zawiesiła głos. Palma poczuł, jak bardzo mu się w takich sytuacjach ta kobieta podoba.

– No weź, nie trzymaj nas w napięciu! Co wygrzebał twój znajomy?

Ottavia nie mogła uwierzyć, że sam komisarz zwraca na nią aż taką uwagę.

– Musiałam go zdrowo pogonić i przypomnieć, ile razy podczas kursu pomagałam mu zaliczać testy. No więc na twardym dysku nie ma nic nadzwyczajnego: akty urzędowe, przepisy prawne, dokumenty. Złamali hasło do poczty elektronicznej, w skrzynce też tylko służbowe sprawy i trochę spamu.

Aragona nie krył rozczarowania.

– Może ten stary bzykacz używa gołębi pocztowych, żeby umawiać się z kochankami.

Ottavia pokiwała palcem na znak, że jeszcze coś trzyma w zanadru.

– A tymczasem wreszcie na koniec wyskoczyło coś ciekawego. Naprawdę ciekawego. Niestety nie udało mi się przekonać kumpla, żeby wysłał mi mailem zapis, który znajdzie się w raporcie dla prokuratora, ale dał się namówić, żeby mi to przeczytał przez telefon. – Potrząsnęła kartką.

– Jak kobieta się uprze, to nic nie poradzisz – zaśmiał się Palma. – No już, zdradź nam, o co chodzi.

Ottavia odczytała:

– Biuro podróży iltuoviaggio.com to jedna z największych firm tej branży w internecie. Pan notariusz dwa tygodnie temu zarezerwował fajną podróż po Mikronezji dla dwóch osób. Rejs z trzema postojami i ostatni odcinek dwupłatowym samolotem. Wylot pojutrze.

Wszystkich zamurowało. Pierwszy ocknął się Aragona.

– Gdzie jest ta cała Mikronezja?

– W Oceanii. Mniej więcej po drugiej stronie planety – wyjaśnił Pisanelli.

Potem zareagowała Di Nardo:

– Jak się robi taką rezerwację, to trzeba podać dane, prawda? Nazwiska, numery paszportów...

Calabrese potwierdziła:

– Otóż to. Trzeba podać dane. I pan notariusz podał: imię, nazwisko, numer, data wydania. Był bardzo skrupulatny, pytał nawet, czy biuro nie potrzebuje skanów dokumentów.

Lojacono miał twarz bez wyrazu, niczym mnich tybetański szykujący się do lewitacji.

– No więc znamy nazwiska, na jakie zarezerwował podróż z wylotem cztery dni po śmierci żony. A powrót na kiedy?

– Żadnego powrotu. Kupił bilety tylko w jedną stronę.

Palma nie rozumiał:

– To znaczy wybiera się do Mikronezji i chce zostać tam na zawsze?

– Nie jest to wcale powiedziane. Może woli na miejscu wybrać datę powrotu. Czasami tak się robi, zwłaszcza przy dłuższych wyjazdach.

Aragona był wyraźnie poruszony.

– Z datą powrotu czy bez cała sprawa stanowi istotny element w postępowaniu dowodowym. Notariusz planuje podróż z kochanką w jedną stronę, przez przypadek cztery dni przed wylotem szczęśliwej parki żona, czyli jedyna przeszkoda na ich drodze do miłosnego spełnienia, umiera wskutek uderzenia szklaną kulą. Jakoś to wszystko się łączy.

Pisanelli podrapał się w głowę.

– Słusznie, młody kolego. Tym bardziej że jak opowiadała baronowa Ruffolo, notariusz ostatnio paradował z rudowłosą flamą.

Ottavia popsuła im jednak zabawę.

– Dlaczego nikt mnie jeszcze nie zapytał, czy skończyłam, zanim zaczął wyciągać wnioski? Nie przyszło wam do głowy, że trzeba się dowiedzieć, na kogo została zarezerwowana ta podróż?

Zamilkli, zbici z tropu. Wiceinspektor Calabrese po chwili dokończyła:

– Przy rezerwacji podano nazwisko Festy, czyli notariusza, oraz jego żony Cecیلی de Santis.

Zapadło pełne zdumienia milczenie. Ottavia uznała, że nie może już tak przeciągać i szybko dodała:

– W korespondencji z biurem podróży notariusz wprost domaga się potwierdzenia paragrafu umowy, który dopuszcza zmianę nazwiska uczestnika do dwudziestu czterech godzin przed wylotem. W razie poważnych okoliczności uniemożliwiających wyjazd.

Aragona aż podskoczył.

– Yes! Mamy go! Zarezerwował wyjazd dla siebie i żony, żeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń, i zamierzał w ostatniej chwili zamienić ją na kochankę. Śmierć to poważna okoliczność, nie?

Komisarz ostudził jego entuzjazm:

– Dziwna historia. Jeśli zamierzasz zabić żonę, nie możesz zakładać, że po paru dniach pozwolą ci wyjechać w kwiecistej koszuli za rączkę z kochanką na jakąś wyspę w Mikronezji.

Lojacono podsumował bardziej dla siebie niż dla innych:

– No i raczej byś nie używał biurowego komputera do rezerwowania wyjazdu. Bo to pierwsze miejsce, do którego policja zagłąda, tak jak w tym przypadku zresztą zrobiliśmy.

Alex Di Nardo nie była przekonana.

– Fakt. Ale równie prawdziwe może być założenie, że wcale nie chciał jej zabijać. Taka hipoteza na przykład: poszedł do żony powiedzieć, że zamierza ją zostawić i wyjechać z tamtą do Mikronezji. De Santis zaczęła się kłócić, a on ją dopiero wtedy zamordował.

Romano przytaknął:

– Pierwszą rzeczą, jaka się nawinęła pod rękę, czyli szklaną kulą. Liczył, że to badziewie się rozbije. W ten sposób pozbyłby się narzędzia zbrodni razem z żoną.

Pisanelli dodał:

– No i nie zaniedbujmy hipotezy napadu rabunkowego, może złodzieje ją zabili, kiedy poczciwy notariusz chciał się pogodzić i sprezentował żonie coś jakby drugą podróż poślubną. A z kochanką pojechał na ostatni gorący weekend, żeby z nią zerwać.

Ottavia miała inny pomysł:

– Albo zamierzał w ostatniej chwili udać, że zatrzymała go praca, i posłać żonę w podróż z jakąś koleżanką, by móc swobodnie pieprzyć się z tamtą rudą. Tymczasem żonę zabił złodziej, który działał w porozumieniu z gospożą. Myślał, że dom jest pusty, ale zastał panią domu.

Aragona zakrzyknął zdumiony:

– A potem to o mnie mówicie, że się seriali naoglądałem. Może powinniście scenariusze pisać a nie pracować w policji? W każdym razie jesteśmy tam, gdzie

byliśmy.

Lojacono rozłożył ręce.

– Wcale niekoniecznie. Jest oczywiste, że przy rekonstrukcji zbrodni im więcej nowych elementów, tym mniej możliwych wariantów. Wiemy już na przykład, że notariusz miał w planie daleką podróż, z żoną czy bez żony. A to wydaje mi się dość ważne.

– Co teraz? Festa nie chce z nami gadać, do tej rudej ot, tak nie wparujemy, bo oficjalnie nie ma z tym nic wspólnego...

Palma go pocieszył:

– Może wreszcie uda nam się porozmawiać z Festą i jego kobietą. Pracujemy nad tym z prokuratorem Piras. A tymczasem jest jeszcze jedna rzecz do sprawdzenia, prawda?

Inspektor przytaknął.

– Tak, musimy sprawdzić, co nam powie pani... – sprawdził kopię dowodu osobistego gosposi – Nikołajewa. Miała klucze do domu, do drzwi, które nie noszą śladów włamania. Musi nam jeszcze to i owo wyjaśnić. Chodź, Aragona, podjedziemy samochodem, tak jak lubisz. Może wreszcie zaliczymy czołowe zderzenie ze ścianą.

XXXIX

– Słuchaj, ja w to, co ci mówi adwokat, wcale nie wierzę. Według mnie robimy straszną głupotę.

– Ale jeśli ktoś się zwraca do profesjonalisty, musi mu zaufać. Jak powierza mu swoje sprawy, to mu wierzy.

– I komu ty chrzaniś o korzystaniu z usług profesjonalisty? Daruj sobie, sama powtarzam te pierdoły parę razy dziennie. Zapomniałeś, czym się zajmuję?

– Jasne, jasne. Ale ani ty, ani ja nie mamy doświadczenia w tej dziedzinie, prawda? Rozmawialiśmy już o tym, tak mi się zdaje.

– Tak, prawda. Ale zmienił się kontekst. Zdarzyło się coś nowego, nie?

– ...

– Dlatego trzeba przemyśleć strategię na nowo, i to szybko. Kiedy ostatni raz kontaktowałeś się z tym cholernym adwokatem?

– Pół godziny temu. Jeśli nie dzwonię do niego, to on sam ciągle wydzwania. Według mnie ma nadzieję na spory zarobek.

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. Posłuchaj łaskawie, co sobie myślę. Kiedy ty masz komuś doradzić w sprawie jakiejś procedury, bo ja wiem, fuzji spółek, czy skomplikowanej umowy kupna albo podziału spadku, to nie kalkulujesz przy tym, jak zwiększyć swoje wynagrodzenie?

– Słuchaj, ja nie...

– Tylko bez kłamstw. To ważne, powiedz prawdę.

– No więc...

– Właśnie, ja też tak robię. To ludzkie. A w jakim wypadku ten adwokat, zresztą każdy inny adwokat też, zarobi najwięcej?

– Chyba nie twierdzisz, że...

– W razie gdyby nas oboje postawili w stan oskarżenia. Tyle ci powiem. Wtedy gdyby zaczęło się długie i żmudne postępowanie przeciwko nam. Które przy okazji zrujnowałoby nasze życie. I nie tylko nasze, jak dobrze wiesz.

– Żartujesz? Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Chodzi o jednego z najślawniejszych adwokatów najstarszej palestry w kraju, który...

– ...który jest dokładnie taki jak wszyscy pozostali, tylko że kosztuje drożej. Ja w tej konkretnej sytuacji nie ufałabym nawet swojemu kuzynowi.

– No więc co byś zrobiła? Zakładając na moment, ale to tylko teoretyczne założenie, że działamy wedle własnego pomysłu.

– Proste. Musimy z nimi porozmawiać. Zachowując chłód i opanowanie, uzgodnić w szczegółach nasze wersje. Powiedzieć z całym spokojem to, co musimy powiedzieć. Żeby nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że mamy z tą historią coś wspólnego.

– Zwariowałaś. Naprawdę zwariowałaś. Wiesz, więzienia są pełne takich, którzy poszli z nimi rozmawiać w pełnym zaufaniu. Właśnie tydzień temu czytałem o facecie, który zaliczył dwadzieścia dwa lata, rozumiesz? Dwadzieścia dwa lata. A był całkiem niewinny. Ktoś inny, oskarżony o coś tam, przy okazji przyznał się do tego, za co tamten został skazany. I co? Wypuścili skazanego i grzecznie przeprosili. Po dwudziestu dwóch latach! Zrujnowane życie. Kapujesz?

– Widzisz? Denerwujesz się. Właśnie tego powinieneś unikać. Posłuchaj lepiej: na kim spoczywa ciężar dowodu?

– Że co?

– Czy to my mamy udowodnić niewinność czy oni muszą wykazać, ewentualnie, że jesteśmy winni?

– Co to ma do rzeczy? To jasne, że oni muszą udowodnić winę. Ale...

– A gdybyś był prokuratorem, to na kim byś skupił uwagę? Na kimś, kto przychodzi z własnej inicjatywy, żeby złożyć zeznania, czy na kimś, kto odmawia kontaktów w każdej sprawie?

– Boże, co za absurd. Gdyby tylko do tego nie doszło, gdybym zdążył porozmawiać...

– Znowu zaczynasz się mazać. Myśl, kombinuj, planuj. I odpowiedz: co byś zrobił na miejscu prokuratora?

– Ja? To oczywiste. Odmowa zeznań skłania śledczych do tego, żeby się przyjrzeć delikwentowi bliżej, to jasne, nawet mój adwokat to mówi. Ale za to nie ryzykuję, że niechcący sam sobie będę zaprzeczał, że wpadnę w jakąś pułapkę, o co

łatwo. Myślisz, że oni chętnie by się z nami umówili i pogadali, tak przy pizzy? Nie znasz ich.

– A ty ich znasz? Albo twój chciwy mecenas? Powtarzam ci po raz setny, jestem pewna, że musimy z nimi porozmawiać. Okażmy chęć współpracy i zobaczysz, że wszystko pójdzie dobrze. Ciągle brakuje tych sreber, nie? Przycisną gosposię.

– Pomyślę. Nie obiecuję, że tak, ale pomyślę nad tym.

– I pamiętaj: to nie tylko nasz problem. Mamy kogoś, o kogo trzeba zadbać, nie możemy popełnić błędu.

– Nie, nie możemy.

Częścią umysłu niezajętą strachem, że zaraz wpadną pod ciężarówkę, Lojacono rozmyślał o mieście.

To było dość szczególne doświadczenie, tak oglądać je zza szyb małego samochodu bez oznakowania, pędzącego na złamanie karku po wąskich zaułkach, u boku Aragoni, który, prowadząc, jednocześnie nawijał, jakby siedział na kanapie w swoim mieszkaniu.

Powoli inspektor zaczynał zmieniać zdanie o tym dziwnym miejscu na ziemi. Przestał uważać je za swego rodzaju karcer, zsyłkę, karę za fałszywe oskarżenia nałożoną w procesie kapturowym bez prawa do obrony. Starał się lepiej je poznać, choćby po to, by móc w nim skuteczniej pracować. Policjant musi oddychać miastem, w którym działa. Musi znać miejscowe rodzaje ciszy i wahań, znać zapach lęku i nieufności, obojętności i arogancji, aby móc je lepiej zwalczać.

Oczywiście niełatwo zinterpretować tak złożoną przestrzeń, podczas gdy Aragona opowiada fabułę obejrzanego dopiero co filmu i o parę milimetrów wymija skuter z trzema pasażerami. Pretensjonalne ulice, markowe sklepy, luksusowe samochody na przemian z dusznymi stromymi zaułkami pełnymi nędzy, gdzie małe dzieciaki bawią się na progach domów, wdychając spaliny.

Obszerne place zamknięte dla ruchu i pilnowane gęsto przez straż miejską to przedsionek świata uliczek i pasaży, gdzie odbywa się wszelki handel z wózków i byle jak skleconych straganów, które blokują przejazd samochodów. Szerokie aleje z siedzibami banków, pomiędzy którymi dyskretnie przemykają ludzie w ciemnych garniturach ze skórzanymi teczkami, sąsiadują z placykami, gdzie przed od dawna nieczynnymi kościołami młodzieńcy z gołymi torsami mimo niepogody grają wieczne mecze, nie przejmując się krążącymi wśród nich skuterami.

To tak jakby targ w Casablance albo centrum Marrakeszu przenieść w środek Mediolanu. Lojacono się zastanawiał, jak takie miejsce da się ogarnąć rozumem.

– Genialnie zagrał, mówię ci, stary. Długie włosy, ciemne okulary, trochę niechlujny i poobijany: wypisz, wymaluj idealny policjant, a jednak koledzy trzymali

się od niego z dala, bo podejrzewali, że bierze w łapę. Oglądałem ten film i myślałem, że my też jesteśmy kimś w tym stylu.

Lojacono zorientował się, że tego dnia lepiej nie podchwytywać wątków w rozmowie, bo byłoby jeszcze gorzej. Aragona oglądał się na niego i klepał po ramieniu, tak jakby gawędzili sobie w barze, i nie zwalniał. Wolałby sam prowadzić, ale nie wiedział, dokąd mają trafić. Gosposia zmarłej pani De Santis mieszkała przy cholera wie której przecznicy szerokiej alei prowadzącej do dworca głównego.

Okolica, jak się szybko zorientował, była zamieszкана przede wszystkim przez cudzoziemców. Mężczyźni i kobiety o różnych kolorach skóry chodzili z ogromnymi tobołami, slalomem, wśród samochodów zaparkowanych w kilku rzędach. Hindusi z gromadką dzieci pozdrawiali siebie nawzajem. Sklepiki spożywcze miały oprócz napisów włoskich także inne, w dziwnych niezrozumiałych językach.

Aragona wjechał w uliczkę i zaparkował dwoma kołami na chodniku, blokując w ten sposób przejście.

– To powinno być tutaj. Nie muszę dodawać, że nie ma co liczyć na efekt zaskoczenia.

Prawie wszyscy, którzy w chwili ich nadejścia tłoczyli się na ulicy, wyparowali, chociaż ich samochód nie miał żadnych zewnętrznych oznak świadczących o tym, że są z policji.

– Czują zapach glin, oj, czują. I zaraz dostają napadu strachu, że papiery nie w porządku, że brak karty pobytu, nawet jeśli ją mają albo ich cholerny kraj wszedł do Unii i już więcej jej nie potrzebują.

Sprawdził numer domu na kserokopii dowodu osobistego dziewczyny. Pokiwał głową i wszedł do ciemnej wilgotnej bramy.

Starsza kobieta myła schody. Zapytali ją, gdzie znajduje się mieszkanie Mai, a ta, nie podnosząc wzroku, odparła z wyraźnym wschodnim akcentem:

– Trzecie piętro, mieszkanie z drzwiami.

Wspięli się z trudem, bo było coraz ciemniej, a nie świeciła żadna żarówka. W powietrzu unosił się ciężki zapach jedzenia przyrządzanego z dużą ilością przypraw i cebuli. Z niektórych mieszkań dochodziły głosy w obcych językach. Na trzecim piętrze istotnie były tylko jedne drzwi. Drugie mieszkanie miało pustą framugę i stało niezamieszkaną.

Zapukali, Maja otworzyła natychmiast, jakby czekała na nich za progiem.

– Dzień dobry, proszę wejść.

Wnętrze nie przypominało reszty kamienicy. Ciepłe światło z kilku stojących lamp oświetlało czysty pokój z kanapą, płaskim telewizorem na stoliku, stołem i krzesłami. Na ścianach wisiały zdjęcia – w większości przedstawiały Maję w objęciach postawnego bruneta o poważnym, nieco speszonym wejrzeniu. Atmosfera prawie drobnomieszczańska. Świat, w którym co prawda się nie przelewa, ale i niczego nie brakuje.

Lojacono odezwał się pierwszy:

– Pamięta nas pani? Spotkaliśmy się... tamtego dnia rano, w domu notariusza.

Dziewczyna przytaknęła. Wydała się teraz nie taka młoda jak poprzednio. Na twarzy malowały się żal i lekki niepokój. W tych stronach wizyta dwóch policjantów w domu to nie przelewki.

– Tak, pamiętam. Proszę, panowie usiądą. Zrobić kawy?

Inspektor pokręcił głową na znak że nie, tymczasem Aragona bezceremonialnie chodził po pokoju, przyglądając się zdjęciom.

– Chcemy zadać kilka pytań, jeśli pani pozwoli. Woleliśmy przyjechać tutaj, niż wzywać panią do nas. To nie potrwa długo.

Przeciągnęła ręką po włosach, raczej instynktownie, bo fryzura była w doskonałym porządku.

– Rozumiem, możemy rozmawiać tutaj.

Wskazała na kanapę i fotel, na którym sama usiadła. Tylko ręce zdradzały jej lekkie podenerwowanie. Bez przerwy je ścisnęła, splatała i rozplatała. Reszta ciała pozostawała usztywniona, nieruchoma. Twarz o regularnych, dość banalnych rysach nie zdradzała żadnych emocji.

Aragona stanął przy jednym ze zdjęć.

– A ten tutaj, to co za jeden? Mieszka z tobą?

Lojacono nie mógł nie zwrócić uwagi na chamski ton swojego kolegi. Dziewczyna, nawet nie odwracając się do niego, odparła spokojnie:

– To mój partner, Adrian. Zaraz wróci z pracy.

Aragona zrobił triumfalną minę i posłał inspektorowi cwany uśmiezek, jakby już znalazł winnego. Lojacono w żaden sposób na to nie zareagował i znów zwrócił się do kobiety.

– Od kiedy pani pracuje dla rodziny pana Festy?

– Dwa i pół roku, już prawie trzy lata. Chce pan sprawdzić moją książeczkę pracy?

– Nie, może potem. Jak się pani u nich czuła?

– Notariusza nigdy nie było, szłam na dziewiątą i pracowałam aż do piątej, widziałam go tylko parę razy. Pani jest... była miła, porządna, lubiłam ją. Bardzo.

Przez chwilę zadrgała jej warga, a oczy zaszyły łzami. Potem zakasłała i odzyskała panowanie nad sobą. Lojacono pomyślał, że jest naprawdę przywiązana do ofiary. Albo świetnie gra. Albo na moment pożałowała tego, co zrobiła.

– Rano to pani De Santis otwierała drzwi?

– Nie, mam swoje klucze. Jak pani wyszła gdzieś albo spała, mogłam sama sobie wejść.

Aragona, ciągle stojąc tyłem do dziewczyny, burknął:

– A od kiedy miałaś te klucze?

Odpowiedziała, nie spuszczając wzroku z Lojacono. Wrogość Aragony była aż nadto oczywista, więc Maja wybrała innego rozmówcę.

– Po dwóch tygodniach pani mi dała. Od wtedy je mam.

Inspektor podjął wątek:

– A tamtego dnia rano nie zauważyła pani nic dziwnego? Przystawione przedmioty, bo ja wiem...?

– Nie, wszystko tak jak zwykle. Nawet nie zorientowałam się w sprawie tych sreber, nie patrzyłam na półkę, poszłam do kuchni od razu szykować śniadanie. Szukałam pani, nie zastałam jej w sypialni...

Zamilkła na moment, przełknęła z trudem ślinę, podniosła dłonie do twarzy, ale zatrzymała je w pół drogi. Dolna warga znów zadrżała, po policzku spłynęła łza. Gospościa pozbierała się z trudem i podniosła na Lojacono oczy, tym razem zaczerwienione.

– Pani była bardzo dobrą kobietą. Dla mnie i dla wszystkich. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek krzyczała, nigdy się nie złościła na mnie ani na nikogo. Nie rozumiem, kto mógł to zrobić. Nie rozumiem dlaczego, nie rozumiem.

Aragona prychnął. Lojacono rzucił mu cierpkie spojrzenie i zapytał:

– Czy słyszała pani kiedyś, jak Cecilia De Santis się z kimś kłóci, na przykład przez telefon? A może ktoś przyszedł do domu, nawet na kilka minut, i się awanturował, z nią albo z notariuszem?

Maja zastanawiała się chwilę.

– Kiedy ja byłam w domu, to prawie nikt nie przychodził w odwiedziny. Czasami taka przyjaciółka pani, baronowa, dość starsza kobieta. Mówiła podniesionym głosem, ale pani się śmiała, nie kłóciły się tak naprawdę. Tylko baronowa gniewała się na panią. Pani nie gniewała się na baronową. Notariusz w domu mało się odzywał. Siedział w swoim gabinecie. Nawet jak jedli, to nie rozmawiali dużo ze sobą. Nigdy nie słyszałam, jak się kłócą.

Lojacono potakiwał. Wydawało mu się, że słyszy, jak baronowa złorzeczy na notariusza, i wyobrażał sobie, jak Cecilia puszcza jej słowa mimo uszu. To wszystko pasowało do zebranych dotąd informacji.

– Czy często wychodziła w godzinach pani pracy?

– Nie, niekiedy tylko przyjeżdżał po nią z kancelarii notariusza samochód z kierowcą. Jechała na zakupy. Zbierała kule ze śniegiem, pan widział, ile ich stoi. Zdarzało się, że wracała z nową kulą, patrzyła na mnie tak, jakby jej było głupio. Nie umiała się oprzeć.

W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi i wszedł facet ze zdjęć na ścianach, tyle że w nieco starszej wersji. Zmarszczył czoło, zwrócił się do swojej partnerki:

– Co jest? Co to za ludzie?

Aragona podszedł do niego blisko.

– Policja. A ty kto? Nazwisko, imię, szybko! – Miał groźny ton, chociaż sięgał postawnemu przybyszowi do piersi, a tamten łypał na niego zaczepnie.

– Florea Adrian, mieszkam tutaj. Co się stało?

Aragona przysunął się jeszcze bliżej, patrzył na niego z dołu, ale nie odpowiadał. Adrian przestąpił z nogi na nogę, trochę zbity z tropu.

Lojacono próbował trochę uspokoić mężczyznę.

– Nic strasznego, przyszliśmy zadać parę pytań w sprawie tego, co się stało przedwczoraj w domu, w którym pani Maja pracowała. Wie pan coś o tym zdarzeniu?

Zanim tamten zdążył odpowiedzieć, Aragona ryknął:

– Najpierw mów, skąd jesteś, od kiedy tu mieszkasz i gdzie pracujesz.

Lojacono już miał zwrócić koledze uwagę, ale przyszło mu na myśl, że i tak te informacje się przydadzą. Florea popatrzył na jednego, potem na drugiego i wreszcie, ewidentnie oswojony z takimi pytaniami, odparł:

– Jestem obywatelem Rumunii, mam trzydzieści lat, mieszkam we Włoszech, od kiedy skończyłem dwadzieścia lat. Mam furgonetkę, rozwożę napoje dla firmy z Poggioreale.

Mówił dobrze po włosku, prawie bez akcentu, co potwierdzało jego słowa. Aragona wpatrywał się w dryblasę, kiwając głową. Tak jakby słowa Adriana były przyznaniem się do winy, którego oczekiwał. Potem dodał:

– Dobra, sprawdzimy to. Dawaj dowód osobisty, migiem.

Lojacono westchnął, irytowało go zachowanie Aragony, jego uprzedzenia wobec imigranta, chociaż nie było żadnego powodu o coś tego Rumuna podejrzewać. Ale przy obcych nie zamierzał się kłócić z kolegą. Obiecał sobie jednak, że go ochrzani potem, i to solidnie. Zwrócił się znów do dziewczyny, która nie wtrącała się w rozmowę:

– Muszę jeszcze o coś zapytać. Czy klucze do mieszkania notariusza były zawsze przy pani? Nie zgubiła ich pani na przykład, a potem odnalazła? Albo może dała je komuś choćby na parę godzin, jakiemuś dostawcy, portierowi? Proszę się dobrze zastanowić.

Adrian, zdejmując kurtkę, odezwał się sarkastycznie:

– Pewnie. Jak się coś stanie, a w pobliżu jest imigrant, to zawsze jego wina. Nawet kiedy ma wszystkie papiery w porządku, haruje cały dzień, żeby zarobić, i wszyscy go lubią. Wystarczy, żeby był pod ręką, to wszystkim pasuje. Znaleźli winnego.

Aragona zrobił krok do przodu. Wykonał słynny numer ze zdjęciem okularów i odezwał się, podnosząc głos:

– Słuchaj no. My zadajemy pytania, a wy odpowiadacie. Jasne? Nikt tu nie mówi, że ktoś jest winny. Sumienie cię uwiera? A gdzie byłeś w niedzielę wieczorem?

Lojacono wstał z kanapy.

– Dość, przestańcie obaj. Panie Florea, zapewniam, że nie mamy żadnych uprzedzeń w stosunku do pana. Ja przynajmniej nie mam... – Spojrzał wymownie na Aragonę, który znów założył okulary. – Staramy się tylko jak najszybciej zebrać potrzebne nam informacje. Potem sobie pójdziemy.

Tamten skrzyżował ramiona i powoli, cedząc słowa, odpowiedział:

– W niedzielę wieczorem byłem tutaj i spałem. Bo rano wstaję o czwartej, a o wpół do piątej już jestem na ulicy i ładuję skrzynki z wodą mineralną, potem je rozwożę po mieście za marne grosze. I dziękuję za to Bogu, bo wielu ludzi dla chleba robi rzeczy, których nigdy nie robiłem i bym nie zrobił. Ale robią to, bo muszą coś jeść i ich dzieci też. W naszym kraju nawet nie ma kogo porządnie okraść. I jeszcze dodam jedno: Rumun to nie znaczy Cygan. Są Cyganie i są Rumuni. Jestem Rumunem, pracuję od rana do wieczora. Uczciwie.

Aragona odparł kwaśno:

– No pięknie, gratuluję. Proszę, jaki polityk nam się objawił. Prezydentem jesteś jakimś czy co? Wszystkie te wykręty mnie po prostu śmieszają. Wielu takich widziałem, jak jagniątko: nic nie zrobiłem, jestem niewinny, jestem najlepszym człowiekiem na świecie, świętym. Potem, jak się trochę pogrzebie, wypływa tyle gówna, że można załadować dwie takie furgonetki jak twoja. Sprawdzimy, możesz być pewien. A jeśli wyjdzie na jaw, że ty albo jakiś twój koleżka... Bo wiem, że tak pracujecie: jeden nadaje robotę, drugi wykonuje... no więc jeśli masz coś wspólnego z tym, co zaszło w domu Festy, to cię urządzę na cacy, osobiście.

Lojacono pomyślał, że w interesie Aragony, aby go uchronić przed niechybną śmiercią, trzeba mu zabronić chodzić do kina, chyba że na włoskie komedie albo kreskówki.

Florea znów zamrugał i z wysokości swojego metra dziewięćdziesiąt odezwał się niepewnie do niższego o dwadzieścia centymetrów Aragony:

– Ale ja nic złego nie zrobiłem. Przysięgam. Wyszedłem wcześniej rano, żeby trochę więcej zarobić też w niedzielę i potem pod wieczór padałem na twarz ze

zmęczenia. Maja siedziała w domu, zrobiła kolację, byliśmy sami, tylko we dwoje i...

Dziewczyna wtrąciła się spokojnym głosem, wciąż siedząc na kanapie i patrząc przed siebie:

– Nigdy nie dawałam nikomu kluczy ani ich nigdzie nie zostawiłam. Zawsze trzymam je w torebce. Są tutaj, jak chcecie, to wam oddam. Bo ja tam już na pewno nie pójdę. Przenigdy. W nocy... w nocy widzę biedną panią, jak leży na ziemi z głową we krwi. Nie, na pewno nie pójdę tam więcej.

Kiedy już byli sami, Lojacono naskoczył na Aragonę.

– Do jasnej cholery, co cię opętało? Wsiadłeś na chłopaka, jakbyś był pewien, że jest winny.

– Wiesz, ilu widziałem takich jak on, kiedy pracowałem w komendzie? Nie masz pojęcia, do czego są zdolni. Te pieprzone dzikusy działają jak sprawna taśma montażowa. Może on wziął klucze za wiedzą dziewczyny, zrobili duplikat, dali innemu, który prowadził samochód z kolejnymi paroma kolesiami, którzy wykonali skok na mieszkanie.

– Może tak, może nie. Może ich, jak zwykle, posadzimy tylko dlatego, że nie mają żadnego alibi poza własnymi słowami. A ten, kto zabił panią De Santis, wygrzewa sobie teraz tyłek, jak mówiła baronowa, na Capri albo w Cortinie, z drinkiem w dłoni, ciesząc się z tego, że mu się udało bezszelestnie wymknąć. I pozdrawia w myślach dwóch dupków z policji, którzy, żeby się szybko uwinąć, zgarnęli pierwszego lepszego Rumuna i posłali go do pierdła na trzydzieści lat.

– Założmy, że masz rację. Ale tylko na moment. Bo ja, jak widzę takich facetów, to od razu pytam: skąd kasa na nowy płaski telewizor, o który ja musiałem prosić tatusia? Ale dobra, zakładamy, że masz rację. Tamtym dwojgu brakuje alibi, bo mówią, że byli razem sami. Nie mamy niczego innego, bo notariusz nie chce z nami rozmawiać. Do jego kochanki pojechać nie można, bo nie mamy oficjalnie żadnej podstawy do tego. Z rozmowy z baronową Chujwiejaksieżwie nie dowiedzieliśmy się niczego poza tym, że ofiara była świętą kobietą. No to co w takim razie robić?

Lojacono ciężko westchnął.

– Nie wiem. Musimy jakoś spróbować pogadać z notariuszem. Tak czy owak, dziś wieczorem już nic nie zdziałamy. Jedźmy do domu, może rano wpadniemy na

jakiś pomysł.

Aragona ostro włączył się do ruchu, wymuszając pierwszeństwo.

XLI

Na półpiętrze klatki schodowej Giorgio Pisanelli spotkał inżyniera Lapianą. Uprzejmie się przywitał, ale nie zatrzymał na pogawędkę, bo trochę mu się spieszyło. Pokazał tylko grubą kopertę, jaką niósł w dłoni, jakby to miało być usprawiedliwienie, i szybko zamknął za sobą drzwi.

Nie udało mu się uniknąć tego, że parę kropel spadło na spodnie. Sikając, wzdychał z bólu. Starał się nie zauważyć śladów krwi w moczu, szybko nacisnął spłuczkę. Patrzył na strumień wody, który na moment zabierał ze sobą obawy, strach i poczucie winy.

Pisanelli włączył sprzęt, czysta muzyka Mozarta wypełniła stęchłe powietrze mieszkania. Podejrzewał, że Lapiana, od kiedy przeszedł na emeryturę, szpieguje go każdego dnia. Nie chciał, żeby tamten pomyślał z satysfakcją, że sąsiad gada sam do siebie. A tego wieczora miał sporo do opowiedzenia Carmen. I lepiej, żeby nikt nie podsłuchiwał.

Położył kopertę na stoliku, wyjął zawartość. Rozłożył dokumenty i fotografie. Pogwizdując symfonię K550, zaczął je szeregować w pewnym porządku. Widzisz, skarbie, kolejna. Leonardo mówi, że muszę uwolnić się od swoich demonów, że projektuję, przenoszę na innych swój lęk i ciężar, jaki dźwigam w duszy. Ale ty i ja, kochana, dobrze wiemy, że wcale tak nie jest.

Popatrz na tę tutaj. W zeszłym tygodniu, daleko poza granicami dzielnicy, na piazza Dante, w metrze. Oczekała dokładnie chwilę tuż przed tym, zanim nadjedzie pociąg, i skoczyła. Nikt się nie zorientował, trudno w to uwierzyć. Ktoś w godzinach szczytu skacze na tory, w pociągu i na peronie są setki ludzi, dobrze wiesz, że jak metro jeździ raz na piętnaście minut, to o tej porze jest masakryczny tłum – i nikt się nie zorientował? Absurd, nie sądzisz?

Ale to nie koniec z absurdami. Jak już wspomniałem, to zdarzyło się poza obszarem podległym komisariatowi. No więc na pewno zapytasz, bo jesteś bystra, jak w takim razie dotarła do mnie wiadomość? I jak ona pasuje do innych „samobójstw”, które mam poprzyklejane do ściany w postaci zdjęć i wycinków? To proste. Pani Carmela Del Grosso, lat siedemdziesiąt dziewięć, zamieszkała przy

vicolo Terzo Nocelle. Już nie pomieszkałaby tam długo, bo od dość dawna miała nakaz eksmisji i właśnie nadchodził termin egzekucji. No więc? Czy to dobry powód, żeby ze sobą skończyć? Gdyby każdy z nakazem eksmisji chciał rzucać się pod metro, toby wreszcie musieli zwiększyć częstotliwość kursowania pociągów.

Mówią mi: Pisanelli, daj sobie siana, ta pani się zabiła, bo żyła w strasznej nędzy, nie płaciła czynszu i nie miała dokąd pójść. A ja na to, i powiedz mi, czy się nie mylę: Żeby skończyć ze sobą pojechała aż na piazza Dante? Nie, pojechała tam do znajomego sklepikarza, który z litości nie każe jej płacić za parę rzeczy do zjedzenia. Foliowa torebka z tymi marnymi zakupami została na peronie.

Tak, skarbie, właśnie tak. Nie jedzie się na piazza Dante, żeby skoczyć pod pociąg. Człowiek kończy ze sobą w domu, w ten sposób te kutasy, które chcą go przejąć, znajdują trupa, może wtedy ich na chwilę ugryzie sumienie. Tymczasem pani Del Grosso pokonała ładnych parę kilometrów na piechotę, żeby nie płacić za przejazd... sprawdzmy, co jest w protokole, o tutaj... dwa pomidory, pęczek bazylii, jabłko, mandarynka. I pudełko serków. Pięć, sześć euro? Takie zakupy robi ktoś, kto chce umrzeć?

A ci idioci, żeby nie musieć wszczynać dochodzenia, zadać paru pytań, szybko wszystko umarzają. Samobójstwo. Pisanelli, daj sobie siana. Czemu mi tak mówią? Bo znaleźli cholerną kartkę.

No to popatrz na tę sławetną kartkę. Wiadomość napisana drukowanymi literami jak zawsze, bez śladów drżenia rąk. Prawie osiemdziesięcioletnia kobieta pisze niemal pismem technicznym, bez błędów ortograficznych, chociaż skończyła zaledwie pięć klas, a w domu nie było śladu książek czy gazet. „NIE DAJĘ JUŻ RADY. ODCHODZĘ Z TEGO ŚWIATA NA WŁASNYCH NOGACH. PROSZĘ BOGA O WYBACZENIE”. Skarbie, czy to są słowa, którymi taka osoba ogłasza, że się zabije?

Kartkę znaleźli w torbie z zakupami. Mnie się wydaje, że list pożegnalny raczej się zostawia w domu. Na przykład na środku stołu. A jak ktoś postanawia wybrać się aż na piazza Dante, to nie zostawia żadnego listu.

Ciągle uważam, jestem coraz bardziej pewny, że ktoś, jeden człowiek czy kilku ludzi, zabija i pozoruje samobójstwa. Leonardo, Ottavia, komisarz Palma, wszyscy mają niezły ubaw ze mnie, myślą, że ześwirowałem na starość. Traktują mnie jak wariata, uważasz, że nie wiem?

Ale nie jestem świrem. Oboje zdajemy sobie z tego sprawę, kochana. Nie zwariowałem. A wiesz, skąd się domyślam, że to nie są żadne samobójstwa? Wiesz? Na pewno wiesz, skarbie. Bo jesteś tam, gdzie wszystko wiadomo. Ale nie tylko dlatego. Wiesz, bo sama to zrobiłaś. Wiesz, jak można się bać podchodzić pod wysoką górę cierpienia. Wiesz, jak ściska się serce, kiedy lekarz ogłasza wyrok.

Ty sobie dałaś radę, kochana. Widziałem, jak z twoich oczu znika wola życia. Słyszałem, jak cisza między twoimi słowami robi się coraz dłuższa. Jak wzrok błądzi w pustce. Słyszałem, jak przestawałaś płakać, nie odpowiadałaś na moją coraz bardziej bezsensowną gadaninę, na słowa, którymi cię zalewałem w nadziei, że odgonię widmo śmierci.

Chciałaś odejść, kochanie moje. I kiedy znalazłaś sposób i czas, nie pisałaś do mnie zbędnych listów jak ze łzawego filmu. Zrobiłaś to i już. Wzięłaś wszystkie pigułki, jakie miałaś pod ręką, połknęłaś je po kolei. Ciekawe, ile ci to zajęło.

Od samego początku wiedziałaś, że będziesz cierpieć. Że umrzesz zadławiona własnymi wymiocinami, w skurczach bólu, biedaczko, podczas kiedy ja byłem nie wiadomo gdzie, zasuwając za jakimś pieprzonym złodziejem w imię sprawiedliwości, której na tej ziemi nie ma.

Chciałaś umrzeć. Chciałaś, żebym pozwolił ci odejść. Kiedy poprzedniego wieczora trzymałaś mnie za rękę i przez łzy patrzyłaś mi w oczy z całą miłością tego świata, myślałem, że coś cię boli, i próbowałem cię zabawić. Tymczasem ty swoim wzrokiem pisałaś do mnie list.

Pani Carmela, ze swoją torbą z pomidorami i serkiem, wcale nie chciała odejść. Ty chciałaś. Dlatego to wiem, wiem, że muszę dalej szukać. Nie mogę się zatrzymać, muszę żyć. Zanim mnie ten głupi rak ukatrupi, muszę znaleźć tego, kto zabija tych ludzi. Potem i tak się spotkamy.

Żeby już nigdy się nie rozstać.

Romano Francesco z ciężkim sercem wracał do domu. Miał złe przeczucia. Przez cały dzień próbował się skontaktować z żoną, ale jej telefon był wyłączony. Chciał jej powiedzieć, że bardzo mu przykro. Że umierał na myśl o tym, że użył wobec niej przemocy. Że był ostatnio bardzo podenerwowany z powodu pracy, bo go wyrzucili z komisariatu w dzielnicy Posilippo, gdzie zresztą źle się czuł pośród tych wszystkich lizusów bez kręgosłupa. A ku jego zaskoczeniu pierwsze dni w tym dziwnym nowym miejscu nie okazały się takie straszne. Że teraz na pewno wszystko się lepiej ułoży, że między nimi znów zapanuje zgoda i będą się śmiać razem tak jak kiedyś.

Powiedziałby jej, gdyby cholerny telefon był włączony, że ciągle ją kocha. Że bez niej jego życie straciłoby sens. Że w głębi, pod tą grubą skórą tępego goryla – jakże bardzo był jej świadomy – wciąż siedzi skryty chłopak, który ją kiedyś zaskoczył, przynosząc na uczelnię bukiet róż w dniu jej urodzin.

Powiedziałby też – gdyby ten kurewski głosik nie oznajmiał mu co pięć minut, że wzywany abonent jest niedostępny – że brak dzieci nie może zabić ich wieloletniej miłości. Że abonent jest naprawdę wzywany i pożądaný bardziej niż cokolwiek w całym wszechświecie.

Ale telefon milczał. A teraz Romano jechał okreśną drogą samochodem, żeby odwlec powrót do domu. Ze strachu przed własną słabością, która rozwaliliby wszystko na kawałki, gdyby nie zastał Giorgii.

Natura to paskudna bestia. Zawsze wypłynie na wierzch, i to nagle. Stawia cię w obliczu własnych demonów.

Wreszcie zaparkował trochę dalej i przeszedł się parę kroków, żeby dotrzeć do bramy. Wiatr nie zważał na to, że już noc, i wciąż szalał, tak jak prawie bez przerwy od paru dni. Liście, papiery, torby, gałęzie, wszelkiego rodzaju śmieci wirowały w powietrzu, jakby chciały stworzyć scenografię dla jego przemyśleń.

Milion razy myślał o tym, co się z nim dzieje w tych gwałtownych momentach. O oczach zasnutych krwawą mgiełką, o utracie samokontroli, jakby ktoś za niego przejął kierownicę samochodu. Gdyby ktoś go przekonał, aby mówić otwarcie o tych

sprawach, powiedziałyby, że w takich chwilach wszystko wydaje mu się logiczne. Zupełnie odwrotnie, niż zwykle się uważać. Nie absurdałne, lecz logiczne. To dla niego przerażająco naturalne – ot tak, złapać człowieka za gardło. Wykręcić żonie rękę. Tłuc kogoś prawie do utraty przytomności. Inne zachowanie w takich chwilach stawało się niemożliwe.

Romano chętnie zapytałby tego hipotetycznego rozmówcę: a ty uważasz, że jesteś szczery? Tyle razy myślisz sobie: zabiłbym tego faceta, ale jednocześnie się uśmiechasz? Tyle razy chciałbyś strzelić z liścia w tę ładną buzię, która ci mówi: „No wiesz, są takie chwile, że naprawdę cię nie rozumiem”, ale odpowiadasz opanowanym głosem: „Poczekaj, zaraz ci wytłumaczę”. No i co, stary, uważasz to za uczciwe?

Ocknął się z tych rozważań, gdy stanął przed bramą. Pogapił się na nią, wyciągnął klucz, otworzył. Wdrapywał się po schodach, żeby jeszcze o minutę oddalić chwilę, gdy mogło okazać się prawdą to, co postawiłoby go przed konsekwencjami własnych działań. Liczył stopnie, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści. Wyrównał oddech i wszedł do mieszkania.

Ciemno. Żadnego odgłosu. Na zewnątrz wiatr szarpał roletami. Stojąc w mrocznym przedpokoju, nasłuchiwał i uświadamiał sobie, że nawet jeśli się nie poruszał, to cisza w domu brzmi inaczej. Teraz on tu był, ale przed chwilą nie było nikogo. Nikogo. Ten dom był pusty. Wzywany abonent jest nieosiągalny.

Westchnął głęboko i włączył światło. Ani śladu jakichkolwiek zmian. Wszystko tak jak zwykle. Wieszak, dywan, przedmioty. Wszystko takie samo. Ale nie czuć zapachu kolacji. Nie słyhać szmeru włączonego telewizora. Ani brzęku naczyń. Żadnego buziaka.

Zdjął płaszcz, odwiesił go. Wydawało mu się, że porusza się pod wodą, powolnymi, ściśle odmierzonymi ruchami. Czuł serce pulsujące w gardle, w uszach, nieznośnie mocno.

Jadalnia. Tak jak przypuszczał, stół niezastawiony. Żadnego śladu miłości, ani w powietrzu, ani gdziekolwiek indziej. Jednak nie, coś jest. Coś, co sobie już wyobrażał na granicy świadomości, po każdym nieodebranym telefonie, budując ten obraz szczegółów po szczególe, klatka po klatce.

Kartka.

Złożona na pół, pośrodku stołu. Na niej pióro, które zapewne posłużyło, żeby coś napisać. Ale co? Jego umysł zaczął snuć hipotezy, zanim ten drugi w nim, ten, który czasami przejmował kierownicę, zaczął chichotać: a co sobie wyobrażasz, dupku? Domyślasz się, ale nie masz odwagi tknąć tej kartki i jej przeczytać. A potem może podetrzeć sobie nią dupy.

Wyciągnął rękę i wziął list. Kiedy rozpoznał pismo żony, zrobił grymas. Przypomniało mu się, ile razy naśmiewał się z tych jej krągłych literek jak u nastolatki.

A gdybym tak nie przeczytał? Gdybym zmiął i wyrzucił? Może wszystko wróciłoby, stało się takie jak kiedyś...

Zaczął jednak czytać. Do samego końca.

Drogi Francesco,

wiedziałaś o tym. Wiedziałaś, że dojdziemy do tego punktu. Bo chciałeś do niego dotrzeć. Aż do dna. Dotknęliśmy dna wczoraj wieczorem.

Zawsze cię kochałam. Zawsze myślałam, że będziesz mężczyzną mojego życia, moim mężem, ojcem moich dzieci. Że zestarzejemy się razem, trzymając za ręce. Byliśmy jeszcze dziećmi, a ja za każdym razem, kiedy myślałam o miłości, myślałam o tobie. Wiedziałam, że w środku masz coś strasznego, że twoja natura to nie tylko ta czułość, która potrafiła wzruszyć mnie do łez. Że czasami w oczach miałeś coś, co budzi mój lęk. Wszystkie kobiety wybierają sobie mężczyznę, jednego spośród całego tłumu innych. Widzą jego wady i myślą, że mogą go zmienić, ale mężczyźni się nie zmieniają. A mężczyźni biorą sobie kobietę z nadzieją, że ona się nigdy nie zmieni. Kobiety natomiast ciągle się zmieniają.

Zmieniłam się, a ty zostałeś taki sam. Poszliśmy różnymi drogami, choć zostaliśmy razem. Aż do zeszłego wieczora.

Nigdy mnie nie uderzyłeś. Wiem, że wiele razy cię korciło, wiele razy. Twoje dłonie zaciskały się na oparciu fotela, pod koszulką drgały mięśnie, szczęka się zaciskała. Oczy patrzyły w pustkę. Ale nigdy byś mnie nie uderzył.

Zeszłego wieczora to zrobiłeś.

Uderzenie w policzek to nic. Opuchnięta warga to nic. Podbite oko to nic. Ale strach, jaki teraz przed tobą czuję, to jest coś. Nie potrafiłabym być blisko z mężczyzną, którego się boję.

Nie mam pojęcia, co się stało i kiedy. Po mojej stronie pewnie chodziło o to, że nie możemy mieć dzieci. Może ciebie mocno obciążała praca. Czuję bardzo wyraźnie, że coś pękło i nie da się posklejać.

Odchodzę. Nie szukaj mnie, proszę. Byłoby to bardzo trudne dla mnie powtórzyć ci w twarz to wszystko. Dla mnie i pewnie jeszcze bardziej dla ciebie. Nie sądzę, żeby po zeszłym wieczorze było wskazane, byśmy się spotykali w cztery oczy. Boję się ciebie. Nie chcę niszczyć wszystkich wspaniałych wspomnień, które mieliśmy, i zastąpić ich strachem.

Z bólem i czułością,

Giorgia

Jak automat odłożył kartkę na stół. Powoli, delikatnie, jakby trzymał zwłoki ptaszka, który na zawsze przestał śpiewać. Potem, ciągle powoli, poszedł do sypialni.

Łóżko było starannie posłane, obie poduszki leżały idealnie równo obok siebie, narzuta wygładzona. Uniósł jej róg – prześcieradła świeżo uprane.

Postanowiła zabrać ze sobą nawet swój zapach. „Drogi Francesco”, napisała. Drogi Francesco. Nie „Fra’”, jak zwykle do niego się zwracała. Nie „kochanie” albo „skarbie”, jak mówiła w chwilach bliskości. Nie. Drogi Francesco. Jak do obcego, do jakiegoś pieprzonego znajomego. Jakiegoś kolegi z pracy. Drogi Francesco.

I na koniec, myślał, a serce waliło mu w uszach coraz głośniej, dopisała: „Z czułością i smutkiem”. Co to, kurwa, ma znaczyć? Czułość można czuć wobec psa, dziecka. A smutek się czuje, kiedy ktoś umiera, nie? A tu nie ma psów i nikt nie umarł. Żyjemy, Giorgio, żyjemy, wszystko można poukładać, nie sądzisz? Można by, gdyby się chciało.

Rzucił okiem na szafę, zobaczył to, czego się domyślał: nie było dużej walizki. List, pościel, walizka. Trzy poszlaki stanowią dowód, panie policjancie.

Otworzył szafę. Pusta. W kącie woreczek z lawendą na mole. Pamięta, kiedy go kupili, to był straszny dzień spędzony w Ikei.

Widzisz, Giorgio, myślał, powoli zamykając szafę... Nawet pojechałem z tobą do Ikei, żeby sprawić ci radość. I to się nie liczy? Ni chuja się nie liczy, prawda? Wzywany abonent jest nieosiągalny, panie Romano. Nigdy więcej.

Oстрым ruchem walnął w szafę, pięścią przebił drzwi. I wreszcie zaczął płakać.

Noc. Kolejna noc. Trzecia.

Trzecia po tamtej, kiedy morze wisiało w powietrzu, po wodzie, która zalewała oczy, włosy, płuca. Trzecia po nocy pełnej wiatru i krwi, i bólu w sercu. Trzecia nieprzespana, aż podskakuję na każdą myśl o tobie, na wspomnienie twojego głosu, który wypowiadał to ostatnie słowo.

Nie.

Noc, kiedy rozległ się ten odgłos. Absurdalny, podobny do tego, kiedy pęka deska. Głuche chrupnięcie. Trochę przypominało odgłos rozgniatania wielkiego insekta. No i ta kula, turlająca się dokądś po spełnieniu swojego dzieła. Cholera wie, dokąd się doturlała. Może była przerażona i chciała się szybko ukryć.

Twoje plecy i ten odgłos. Źle, że się odwróciłaś tyłem do mnie. Niepotrzebnie to zrobiłaś. To był twój błąd. Właśnie dlatego zginęłaś, że odwróciłaś się do mnie tyłem.

Czytałem gdzieś, że kiedy miną siedemdziesiąt dwie godziny od zabójstwa, prawdopodobieństwo odkrycia sprawcy spada o sześćdziesiąt procent. Nie do zera, to jasne. Ale spada znacznie. Ciekawe, czy się w końcu zorientują. Czy przyjdą mnie zgarnąć. Ale ja to chrupnięcie zapamiętam na zawsze, to więcej niż pewne.

Nie żałuję. Nie mogłaś się ode mnie odwrócić ani powiedzieć tego słowa.

Nie.

Nie należy odwracać się tyłem. Nie do mnie. I nie wolno stawać na drodze miłości. Miłość nie zna przeszkód na swojej drodze, tyle czytałaś książek, powinnaś o tym wiedzieć. Miłości można tylko towarzyszyć, podążyć za nią, wspierać ją, oklaskiwać. Miłość to pierwszoplanowa aktorka. Nie pozwala, by nią pomiatano, by kazano jej czekać za kulisami.

A przede wszystkim nie należy się do niej odwracać tyłem. Potem to morze. Wiesz, kiedy już rozległo się chrupnięcie, szedłem bardzo długo. Stałem się niewidzialny w tym morzu rozpylonym przez wiatr.

Musiałem to wszystko przeanalizować, potrzebowałem być sam. Jeśli myślę w samotności, znajduję rozwiązanie. Zawsze znajduję jakieś.

To trzecia noc. Tej nocy nie muszę chodzić. Zostanę sobie spokojnie w domu.

Pamiętam to słowo: nie. I twoją smutną zmęczoną twarz. I twoje plecy.

A może chciałaś, żebym tak zrobił. Może tego oczekiwałaś?

Trzecia noc. Od dziś, według statystyk sześćdziesiąt procent mniej.

Trzecia noc.

Chrup.

Gdybym tylko mógł zasnąć.

XLIV

Ottavia przysłała do pracy bardzo wcześnie. Gaetanowi powiedziała, że jej obecność z samego rana jest niezbędna, ale tak naprawdę chciała zredukować do minimum czas spędzany w domu.

Od tamtego zdarzenia na basenie, które zresztą udało jej się ukryć przed mężem, Riccardo stał się jeszcze bardziej opresyjny.

Nie odklejał się od niej ani na centymetr. Szedł za nią wszędzie, wieszał się na niej, nie dawał jej gotować czy wykonywać innych prac domowych. Kiedy szła do łazienki, siadał pod drzwiami i zaczynał stukać głową o drzwi: bum, bum, bum, jak wahadło zegara.

Zwariować można. Wychodząc, zanim się obudził, przynajmniej tego dnia oszczędziła sobie sceny z odpychaniem go, kiedy rozpaczliwie próbuje ją zatrzymać. Oraz – co złośliwie wypomniał jej głosik ukryty na dnie duszy – uniknęła kolejnej próby Gaetana, żeby się kochać.

Przy drzwiach do komisariatu pozdrowiła zaspanego, lecz nienagannie zapiętego pod szyję Guidę. Metamorfoza dyżurnego była tak jaskrawa, że Ottavia znowu zaczęła się zastanawiać, co sprawiło, że został wzorowym policjantem. Weszła do biura, w półmroku dojrzała lekką poświatę dochodzącą zza uchylonych drzwi do pokoju komisarza.

Pomyślała, że ktoś się tam wdarł nieproszony albo że przysłała niespodziewana kontrola. Kiedy zdarzyła się ta paskudna historia z narkotykami, ciągle wpadały jakieś inspekcje: z prokuratury, z wydziału nadzoru, nawet ze służb specjalnych. Ale to już przeszłość, nie?

Zajrzała przez szparę. Widać było kawałek biurka i zapaloną lampę, trochę rozrzuconych dokumentów, długopis i zakreślacz. Trzy palce oparte na kartce. Nieruchome.

Poczuła skurcz w sercu. Kiedy miała szesnaście lat, weszła do gabinetu swojego ojca, adwokata, żeby pokazać mu portret, jego karykaturę, którą sama narysowała.

Nieźle wtedy rysowała, a z ojcem miała specjalną relację – była najmłodsza z czworga rodzeństwa, w dodatku jedyna dziewczynka, więc się uwielbiali.

Zatrzymała się na progu, z rysunkiem w garści, na twarzy zamarł jej uśmiech, którego już potem nigdy nie odzyskała. Wpatrywała się w ojca śmiertelnie powalonego przez zawał, z głową na papierach i jedną ręką opartą o blat. Od tamtej chwili już nie rysowała.

Poczuła rozlewającą się grozę tamtego dnia sprzed dwudziestu pięciu lat, tak intensywną, jakby wybuchła dopiero w tej chwili. Wydała z siebie cichy odgłos, coś pomiędzy jękiem a krzykiem, patrząc na Palmę, który spoczywał dokładnie w takiej pozycji jak jej ojciec, gdy zobaczyła go ostatni raz, zanim potem musiała go ubrać na wieczną drogę.

Na dźwięk jej krótkiego krzyku domniemane zwłoki świętej pamięci komisarza Luigiego Palmy, zwanego Gigim, poderwały się nagle i usiadły, rozglądając się nieprzytomnie zaczerwienionymi oczami. Cały był w nieładzie jeszcze bardziej niż zwykle. Rozczochrane włosy, na twarzy odcisk kantu biurka jak długa szrama od noża, dwudniowy zarost, pomięta koszula. Ottavia pomyślała, że w życiu nie widziała czegoś równie pięknego.

– Kto...? Ojej, cześć, Ottavio, zasnąłem chyba. Która jest?

Z trudem opanowała oddech i sprawdziła zegarek.

– Dzień dobry, komisarzu, przepraszam, że przestraszyłam, jeszcze wcześniej... za piętnaście szósta. Może pan przysnął, kiedy się zaczyna pracę za wcześniej...

Palma ziewnął, przetarł oczy, odzyskał pełnię przytomności.

– Ech, żeby to tak było. Po prostu nie wyszedłem stąd od wczoraj. Czasem mi się zdarza tak przysnąć, więc na szczęście trzymam w biurze ubrania na zmianę i przybory do golenia. Smutne, co? Tak kończą ci, którzy pozwalają, żeby praca im zjadła całe życie.

Ottavia poruszyła się niepewnie.

– To już pana zostawiam w spokoju, pójdę włączyć komputery.

Palma zatrzymał ją gestem dłoni.

– Nie, nie, zaczekaj. Posiedź ze mną. Zamówię coś z baru, tego naprzeciwno, czynnego całą dobę. Chcesz cappuccino i rogalika?

Już chwycił za słuchawkę. Ottavia czuła się niezręcznie, ale zrobiła krok w jego stronę.

– Tylko kawę, dziękuję. Ja rano w domu piję szklanekę mleka i to mi wystarcza, staram się... mniejsza o to, uważam na to, co jem.

Za to Palma zamówił dla siebie kawę z mlekiem, słodką bułkę i sok z pomarańczy.

– Źle robisz, śniadanie to najważniejszy posiłek. Poza tym, jeśli mogę sobie pozwolić na taką uwagę, ani mi się waży stracić choć grama! Uważam, że jesteś idealna taka, jaka jesteś. Siadaj, proszę.

Zarumieniła się, w duchu klnąc na tę reakcję, i usiadła sztywno na krześle naprzeciwko biurka.

– Dziękuję. Ale wcale tak nie jest, muszę zrzucić parę kilo. Mogę spytać, jakim cudem... to znaczy jest jakiś problem, który pana zatrzymał w biurze?

Nie wiedziała, co ma właściwie powiedzieć. Wydało jej się, że wszystkie fantazje, myśli, które snuła na jego temat od paru dni, przestały być tylko sposobem ucieczki od przykrew rzeczywistości, lecz stały się jasnym komunikatem, wypisanym wielkimi literami. Spróbowała znów wyglądać poważnie i profesjonalnie. Palma z kolei nie ukrywał zadowolenia, że ma z kim porozmawiać, i z zapalem sprzątał papiery, żeby na biurku zapanował chociaż pozór porządku.

– Nie, nie, wiesz, zawsze jest coś do roboty, nasza praca w czterech piątach to biurokracja i ktoś się tym musi zająć. Poza tym to kluczowe tygodnie, trzeba przekonać centralę, żeby nie zamykała placówki.

Ottavia była zdumiona.

– Sądziłam, że niebezpieczeństwo już minęło. Przysłali czworo nowych ludzi, personel został od początku skompletowany...

– Niestety jeszcze nic nie jest zaklepane. Komendant wyrażał się jasno: jak nie odzyskamy zaufania w dzielnicy i nie wyrobimy sobie pozycji, to się nas pozbędą. W komendzie, ale też w prefekturze jest sporo takich, którzy chętnie rozdysponowaliby budżet pomiędzy inne komisariaty. Poza tym, wiesz, w okolicy funkcjonuje też placówka karabinierów, więc...

Aż ścisnęło ją w dołku.

– A my? Co możemy zrobić?

Palma spojrział na nią przeciągle. Z rozczochranymi włosami, pomiętą koszulą i znakiem na twarzy wyglądał jak chłopiec, który dopiero co wrócił z ulicy, gdzie grał w piłkę z kolegami. Poczwała przyływ czułości.

– Świetnie się spisujecie i to jest maksimum tego, co możemy z siebie dać. Koledzy w terenie dobrze sobie radzą, ty z Pisanellim zapewniacie odpowiednie wsparcie. Gdybyśmy zdołali szybko dopaść zabójcę albo zabójców żony notariusza, to byłby duży punkt dla nas. Ale obawiam się, że najdalej w przyszłym tygodniu zabiorą nam śledztwo, jeśli nie zrobimy jakiegoś istotnego kroku do przodu. Za dużo ważnych ludzi interesuje się tą sprawą.

Starła się dodać mu otuchy.

– Ten Chińczyk jest niezły, zdaje się. Może sprawa Krokodyla to nie kwestia farta, jak gadają złośliwi.

Palma się zaśmiał.

– Chińczyk? Też słyszałem, że go tak przezywają. Faktycznie ma orientalne rysy. Naprawdę jest niezły, tu nie chodzi o fart. Widziałem go w tamtej sytuacji: wszyscy poszliśmy w złym kierunku, a on jedyny połapał się w sprawie. Gdybyśmy go wcześniej posłuchali... no dobra, miejmy nadzieję, trzeba być optymistą. A ty? Co tu robisz tak wcześnie?

Zmieszana wpatrywała się w czubki swoich butów.

– No, nie bardzo mogłam spać, więc zamiast przewracać się z boku na bok, pomyślałam, że lepiej trochę popracuję. Zbieram informacje dla Di Nardo i Romano na temat tego architekta, Germano Brasco się nazywa. Jest bardzo wpływowy, mnóstwo firm zależy od niego, prowadzi budowy wszędzie i ja...

Palma uważniej jej się przyjrzał. Wyczuł, że Ottavia próbuje skierować rozmowę na inne tory, i to go zaciekało.

– Dlaczego nie możesz spać? Problemy z synem?

Podniosła nagle głowę, zmarszczyła czoło.

– Nie, nie. A poza tym... co pan wie o moim synu?

– Przepraszam. Przejrzałem wasze teczki, ale nie... nie chciałem się wtrącać, przykro mi.

Westchnęła smutno.

– Nie, to ja przepraszam. Tylko że to bardzo trudne, rozumie pan. Czasami litość innych po prostu przytłacza; nie wytrzymuję tego, o to chodzi.

– Ale ja rozumiem, jak najbardziej rozumiem. Miałem o rok starszego brata z zespołem Downa. Umarł w wieku dwudziestu lat. Moi rodzice z trudem dawali sobie z nim radę, może się go też wstydzili. Ja go bardzo kochałem i spędzałem z nim mnóstwo czasu. Kiedy odszedł, byłem jeszcze młodym chłopakiem, ale wtedy doświadczyłem największego bólu w swoim życiu. Jasne, nie byłem jego matką i wielu spraw pewnie nie umiem pojąć. Ale to, jakie to trudne, rozumiem lepiej od wielu innych ludzi.

Ottavia zapytała bez namysłu:

– A pan ma dzieci?

– Ciągłe nie umiesz mówić mi na ty? W końcu cię do tego nakłonię, zobaczysz. Jestem uparty. Nie, nie mam dzieci. Jak widzisz, nawet nie mam żony, która by się martwiła, gdzie się podziałem, skoro nie wróciłem na noc do domu. Już nie mam, jestem rozwiedziony.

Tym razem to Ottavia się spieszyła.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że...

Palma się zaśmiał, przeciągając palcami po zmierzwionych włosach.

– Daj spokój, trzy lata minęły, już się przyzwyczailem. Poza tym wspominam rozwód jako wyzwolenie, ostatni okres to było piekło. Małżeństwo może być gorsze od więzienia.

Gorsze od więzienia. O wiele gorsze, pomyślała Ottavia. Więzienie ma przynajmniej jakiś koniec, odhaczasz dni w kalendarzu. Dodała:

– Jasne, ale jeśli swoją wolność wykorzystuje się do spania w biurze, to czy nie lepiej jej w ogóle nie zdobywać?

– Ktoś może zostawać długo w biurze z dwóch powodów. Albo dlatego że poza nim nie ma wiele do zrobienia, albo dlatego że się w nim dobrze czuje. Lepiej niż gdzie indziej. Kapujesz?

Zaspany chłopak z baru przybył w samą porę, utrzymując w chwiejnej równowadze tace.

– O, nasze śniadanie. Ale tę drożdżówkę zjesz ze mną na pół. Bo jak nie, to pomyślę, że jestem tak paskudny z rana, że chcesz do minimum ograniczyć czas,

który spędzasz w moim pokoju.

I mrugnął do niej.

Zaśmiała się. To będzie dobry dzień, pomyślała Ottavia.

To będzie dobry dzień, pomyślał Palma.

Bomba wybuchła późnym rankiem, w najbardziej odpowiedniej chwili.

W komisariacie z pewnością nie panował optymizm. Ottavia nie odrywała wzroku od komputera. Wsunęła czubek języka między zaciśnięte wargi, czoło miała zmarszczone, pracowała intensywnie, żeby nie myśleć o swoich sprawach.

Pisanelli poza częstymi przerwami na wyjście do toalety, na które zresztą nikt nie zwracał uwagi, uporczywie grzebał w starych segregatorach, porównując kserokopie listów, którymi kilkanaście osób zegnało się ze światem.

Di Nardo i Romano przygotowywali się do wyjścia na wizję lokalną w miejscu zameldowania Annunziaty Esposito, przy vicolo Secondo all'Olivella 22. Policjantka obserwowała twarz kolegi, która wydawała się zrobiona z kamienia, bez żadnego wyrazu i z bladą cerą kogoś, kto nie zmrużył oka w nocy. Od chwili kiedy zjawił się w biurze wpół do ósmej, Romano nie wypowiedział ani słowa.

Aragona i Lojacocono spisywali protokoły wczorajszych przesłuchań gosposi i portiera w kamienicy, w której mieszkała ofiara. Utknęli w martwym punkcie i zdawali sobie z tego sprawę. Nie udało im się nawet wyeliminować żadnej z pierwotnych hipotez. Wciąż nie było wykluczone, że chodzi o tragicznie nieudany napad rabunkowy.

– Gdyby chociaż drzwi nosiły ślady włamania – wyrwało się w pewnym momencie Aragonie. – Aż mnie bierze ochota, żeby teraz je uszkodzić. Mógłbym wtedy wsadzić tego rumuńskiego palanta, narzeczonego gosposi.

Inspektora poza tym dręczyły kłopoty czysto osobiste. Poprzedniego wieczora, gdy jadł kolację w knajpie Letizii i opowiadał o tym, że tylko cudem jest żywy po tym, jak narwany kolega obwoził go po mieście, zadzwoniła Marinella, o nietypowej jak na siebie porze.

Cała we łzach opowiedziała mu o awanturze z matką.

– Ta wiedźma – łkała do słuchawki – ta głupia wiedźma zajmuje się tylko swoimi sprawami, ale chciałyby mnie trzymać w więzieniu, rozumiesz?

Lojacocono starał się ją uspokoić.

– Skarbie, nie mów tak, to twoja matka. Wszystko robi dla twojego dobra.

Czuł ironię sytuacji, że broni żony przed córką, której opinię podzielał w całej rozciągłości. Ale z oddali nie mógł działać inaczej.

– Wiedźma i tyle. Siedziałyśmy sobie z koleżanką w moim pokoju i koleżanka paliła papierosa. Ja nie. A ta wchodzi jak nawiedzona i zaczyna wrzeszczeć. Wstydziałam się jak cholera. Kumpela o mało nie pękła ze śmiechu. Kurwa, nie jestem małą dziewczynką, ty to rozumiesz, chociaż mieszkasz daleko, a do niej to jakoś nie dociera, chociaż ma mnie na co dzień.

Kwadrans zajęło mu uspokojenie jej na tyle, że przestała płakać i złorzeczyć. Wymusił na niej obietnicę, że tego wieczora zostanie w domu, zamknięta w pokoju, zamiast na złość matce pójść spać do którejś z koleżanek.

Kiedy wrócił do lokalu, Letizia przyniosła mu nowy talerz makaronu, bo poprzedni całkiem wystygł. Opowiedział jej rozmowę, próbowała go pocieszyć, bagatelizując sprawę:

– Z dużej odległości wszystko wygląda poważniej, zwłaszcza kłótnie kobiet. Marinella w tym sensie ma rację, jest już kobietą, a rodzice zwykle jako ostatni zdają sobie sprawę z dorosłości swoich dzieci.

Miała na sobie błękitny sweter z angory, z głębokim dekoltem, który wywołał już niejedną sprzeczkę małżeńską wśród gości lokalu tego wieczora. Nieświadomie, a może nie całkiem świadomie, starała się wykorzystać swoje atuty, by przykuć uwagę policjanta. Ten jednak wydawał się tak pochłonięty kłopotami, że nie spojrzalby, nawet gdyby zaczęła tańczyć nago na stole.

– Dobrze chociaż to, że ze mną rozmawia – dodał markotnie. – To już coś. Gdyby to się działo z pół roku temu, musiałyby sobie radzić sama i cholera wie, co by wymyśliła. Martwi mnie ta sytuacja.

– Tu niedaleko jest liceum i czasami w dzień wpadają uczniowie, dają im zniżki. Jedzą, kiedy mają zajęcia dodatkowe po południu i nie mogą wrócić na obiad do domu. Przypatruję się im, słyszę rozmowy. Są lepsi od tego, co sobie o nich wyobrażamy. Wrażliwsi, bardziej uczuciowi, idealistyczni. Nam się wydają cyniczni, pozbawieni zapału. Ale wiedzą, czego chcą. Chcą się dobrze poczuć w lepszym świecie. Poza wyjątkami, w każdym razie mniej licznymi niż u dorosłych, nie robią niczego złego i wbrew prawu. To tylko dzieciaki, takie jak my

w ich wieku. Na twoim miejscu byłabym spokojna, to normalne, że nastolatka żre się z matką. Gdybyś wiedział, co się u mnie działo.

Pogłaskała go po dłoni, którą trzymał na stole. Uśmiechnął się.

Ale teraz, po nieprzespanej nocy, myśli o Marinelli, która nie odzywała się do nikogo i szła ponuro do szkoły, przyprawiały go o melancholię. To wcale nie pomagało w pracy. Podobnie jak kolejne załamanie pogody.

Za chwilę jednak miała wybuchnąć bomba.

Bomba zjawiała się w czarnej limuzynie. Auto cicho wtoczyło się na dziedziniec komisariatu.

Ubrana w ciemny żakiet, który nie zdołał ukryć jej pełnych kształtów, jak zwykle sama otworzyła sobie drzwi, zanim zdążył to zrobić kierowca, i ruszyła pędem do wejścia. Guida wychylił się, żeby zapytać, kim jest i kogo szuka, ale przeszła szybko koło niego i wbiegła na schody.

Wtargnęła do pokoju, gdzie pracowali policjanci. Chociaż dość niska, jak zwykle wypełniła sobą całe wnętrze, skupiając uwagę wszystkich obecnych. Czarne oczy przez ułamek sekundy prześlizgnęły się po kobietach: Alex odwzajemniła spojrzenie, z radością doceniając zgrabne ciało nieznajomej. Ta w końcu wypatrzyła Lojacono i z silnym sardyńskim akcentem zawołała:

– No wreszcie cię widzę. Chodźmy razem do komisarza, mamy do pogadania.

Na jej widok Palma wstał radośnie z krzesła, ale w jego oczach czaił się niepokój.

– Pani prokurator, co za niespodzianka! Rozmawialiśmy wczoraj, nie spodziewałem się...

Laura poprosiła go, by usiadł, i sama usiadła. Lojacono pozostał wyprostowany.

– Wolałam przyjechać osobiście, są nowości. Możemy tu spokojnie rozmawiać?

– Jasne, słucham.

– Poprosiłam Lojacono, żeby uczestniczył w spotkaniu, bo, jak wiemy, prowadzi dochodzenie w sprawie zabójstwa Cecilii De Santis, prawda?

Palma przytaknął.

– Tak, oczywiście, razem z aspirantem Aragoną. Mam go zawołać?

– Nie, w żadnym wypadku. Najwyżej Lojacono mu potem streści. No więc w jakim jesteśmy punkcie?

Palma dał znak inspektorowi, żeby wyjaśnił.

– W martwym punkcie, niestety. Przesłuchaliśmy wszystkich. Gosposię, portiera, pracowników kancelarii, odbyliśmy nawet, dzięki znajomościom Pisanello, nieoficjalną rozmowę z przyjaciółką ofiary. Poza hipotezą napadu rabunkowego, nadal sensowną pomimo odnalezienia skradzionych rzeczy, najbardziej obiecujący wydaje mi się trop, który wskazuje na czyn wynikający z zachowania męża, z jego ciągłej niewierności małżeńskiej. Ale ponieważ nie możemy porozmawiać ani z nim, ani z jego obecną partnerką...

– Taki mniej więcej przedstawiał mi się obraz sytuacji. Dobra, pół godziny temu zadzwonił do mnie adwokat notariusza, znany w całym mieście karnista, jeden z najbardziej upierdliwych, cwanych i obłudnych sukinsynów, z jakimi miałam nieprzyjemność pracować.

Palma głośno westchnął. Bogaci zawsze załatwiają sobie najlepszą obronę.

Ale prokurator trzymała jeszcze coś ważniejszego w zanadru:

– Krótko mówiąc, notariusz zgadza się na przesłuchanie.

Lojacono i Palma patrzyli z niedowierzaniem. Co oznacza ten ruch? Laura mówiła dalej, zadowolona z efektu, jaki wywarła na nich ta wiadomość.

– Mecenasa marudził i kręcił jak opętany, powtarzał, że on mu to odradzał i błagał aż do końca, z oczywistych powodów: chodzi o możliwość zaistnienia nieporozumień, naszą sławetną umiejętność opacznej interpretacji słów i tak dalej. Ale podobno notariusz był niewzruszony. Twierdzi, że nie ma nic do ukrycia, że jest niewinny i niczego się nie boi. Co więcej, adwokat dodał, zastrzegając, że to nie oznacza przyznania się do czegokolwiek, że notariusz przedyskutował tę sprawę ze swoją przyjaciółką i ona też go zachęciła do spotkania z nami.

Lojacono ciągle był zaskoczony.

– A według ciebie o co chodzi? Skąd ta nagła zmiana nastawienia?

Palma wysnuł już swoją teorię:

– Cóż, na przykład naprawdę nie mają nic do ukrycia, ale nie mogą tego udowodnić. Liczą więc na to, że jeśli pomogą nam w śledztwie, to my w jakiś sposób znajdziemy dowód, że są niewinni.

Laura się skrzywiła.

– Albo że w ostatnich dniach wszystko już zdołali urządzić tak, by wskazywało na to, że nie mają z tym nic wspólnego. Nie pierwszy raz się z czymś takim spotykam.

– No dobra, w każdym razie nic nam nie szkodzi ich wysłuchać. I popatrzeć w oczy tej sławnej rudowłosej damie, którą nasz przyjaciel notariusz miał nawet czelność zaprowadzić do klubu, stając się na parę dni głównym obiektem plotek całego miasta.

Zanim zdołała odpowiedzieć, do pokoju zajrzała Ottavia:

– Szefie, Di Nardo i Romano wychodzą na tę wizję lokalną. Coś im przekazać?

– Nie, dzięki, tylko niech się zgłoszą zaraz po powrocie.

Laura dostrzegła spojrzenie, jakie wymienili. Kobieta była ładna i zadurzona w komisarzu, z wzajemnością. Całkiem zabawne. I bardzo dobrze, że tak się stało. Przez moment pani prokurator zastanawiała się, dlaczego poczuła ulgę. Wolała nie odpowiadać na to pytanie. Powiedziała za to:

– Mecenas prosi, żeby nie ściągać jego klienta do prokuratury czy na komendę – odezwała się. – Chodzi o to, żeby jakiś dziennikarz nie przyłapał Festy. Z żalem w głosie dodał też, że notariusz nie życzy sobie jego obecności. Wcale mu się nie dziwię, Bóg raczy wiedzieć, ile inkasuje za taką asystę.

– Woli go pani przesłuchać u nas na komisariacie? Czy u niego w domu? – spytał Palma.

– Nie, dlatego tu od razu przyjechałam. Na tym etapie najlepiej, jak Lojacono i Aragona pojedą sami do kancelarii. Moja obecność nadawałaby spotkaniu zbyt oficjalny ton, przez co nasz przyjaciel mógłby znowu się spłoszyć. Siedząc w swoim biurze i rozmawiając z dwoma policjantami, których już zna, zapewne poczuje się swobodniej i więcej powie. Poza tym wciąż jest ten drugi powód.

Lojacono i Palma spojrzeli po sobie pytająco. Laura westchnęła.

– Dobrze wiecie, że dalsze losy tego komisariatu są niepewne. Jeśli coś się uda osiągnąć, lepiej, żeby to była w całości wasza zasługa. Jeśli ja w tym wezmę udział, to co innego.

Palma był pełen wdzięczności.

– To bardzo szlachetne z pani strony. Mam nadzieję, że...

Tylko machnęła ręką.

– Dajmy spokój, zresztą mam całkowite zaufanie do Lojacono. Już o tym mówiliśmy. Jestem pewna, że w pełni profesjonalnie poprowadzi sprawę dalej. Proszę tylko dopilnować, aby Aragona, kierując, znowu nie narobił jakiejś masakry na drodze, ma do tego talent.

Lojacono odprowadził ją do samochodu. Kiedy mijali dyżurkę, Guida wyprężył się na baczność, posyłając inspektorowi wystraszone spojrzenie. Laura z trudem powstrzymała wybuch śmiechu.

– Muszę przyznać, że od poprzedniego razu, gdy tu byłam, to miejsce przeszło radykalną przemianę. Dobrze się czujesz w Pizzofalcone?

Wzruszył ramionami.

– Wiesz, praca to praca. Wydaje mi się, że to w sumie fajni ludzie i chce im się pracować. Ale nie minął przecież jeszcze nawet tydzień.

– Pan Lojacono taki sam jak zawsze, chodzący optymizm. Mógłbyś się chociaż trochę ucieszyć, nie? W każdym razie miejmy nadzieję, że uda się was ochronić przed zamknięciem. To wcale nie jest jeszcze przesądzone.

Inspektor poczuł, że jej sardyński sposób podwajania samogłosek i dołek na brodzie budzą w nim myśli całkiem nieliczące z powagą urzędu prokuratora.

– Damy z siebie wszystko, obiecuję. Jak zawsze.

Spojrzała na niego świdrującymi oczami.

– Jak zawsze. Ale pamiętaj, żeby czasami też trochę pożyć.

Wsiadła do samochodu, dała znak kierowcy, żeby jechał. Lojacono został na dziedzińcu, zachodząc w głowę, co też chciała mu powiedzieć.

Wcale nie było tak prosto trafić na vicolo Secondo all'Olivella pod numer 22.

Dom znajdował się w gęstej sieci prostopadłych stromych zaułków. Poruszanie się po nich utrudniały chwiejne rusztowania, od dawna nieużywane, skrzynki z towarami tarasujące wąską jezdnię przed sklepikami, krzesła, którymi ludzie zastawiali sobie miejsca parkingowe. A także wszechobecne skutery plujące kłębamii spalin prosto w twarz dzieciakom biegającym od jednej sutereny do drugiej, ospałe bezpańskie psy, wylegające się na środku jezdni, furgonetki, które stają, by rozładować towar, nie bacząc na jazgot klaksonów.

Wszystko razem tworzyło chaotyczną magmę w ciągłym ruchu. Gotowało się tu jak w kotle, w którym bez przerwy bulgocze ciemna cuchnąca ciecz. Alex zastanawiała się, jak można żyć w takim miejscu. I co ugryzło jej kolegę, jeszcze bardziej milczącego i markotnego niż zwykle. Coraz wyraźniej wyczuwało się ciche pomruki, odgłosy nadciągającej burzy.

Szli na piechotę, sprawdzając rzadko rozmieszczone tabliczki z numerami domów na ścianach starych kamienic. Nie było mowy, żeby dotrzeć tu samochodem. Co jakiś czas przez uchylone obdrapane bramy, jak promień słońca przecinający mrok, dochodził widok wspaniałych ogrodów i bujnych roślin kołysanych przez wiatr.

Kiedy dotarli do domu, który powinien nosić numer 22, stanęli przed wielkim furgonem zastawiającym drzwi do zrujnowanego mieszkania na poziomie ulicy. Dwóch mężczyzn ładowało sprzęty domowe, pudła i sfatygowane meble. Pracę nadzorowała gruba kobieta w średnim wieku, z czarnymi włosami spiętymi plastikową spinką na czubku głowy. Co jakiś czas wydawała polecenia chrypliwym dialektem.

Podeszli i ściągnęli na siebie jej uwagę. Romano zapytał:

– Szanowna pani pozwoli, czy to numer dwadzieścia dwa?

Odwróciła się do nich z zaciętym wyrazem twarzy.

– To zależy. Kogo szukają?

Nie było wątpliwości, że na pierwszy rzut oka zrozumiała, kto przed nią stoi. W tych okolicach policjantów poznaje się z daleka, na węch. Całkiem możliwe, że dokładnie w chwili, gdy wkroczyli do dzielnicy, sztafeta dzieciaków prysnęła do przodu, krzyżąc na cztery strony świata: Uwaga, gliny!

Romano nie miał jednak ochoty się certolić.

– Pani szanowna, albo to jest numer dwadzieścia dwa, albo nie, i to, kogo szukamy, nie ma nic do rzeczy. A według mnie to jest numer dwadzieścia dwa i mam przyjemność rozmawiać z panią Esposito.

Alex doceniła bezceremonialne zachowanie kolegi. Uważniej obserwując kobietę, zorientowała się, że w jej świńskich rysach, rozmytych przez otyłość i przedwczesne starzenie, widać pewne podobieństwo do przepięknej dziewczyny, którą spotkała w zamkniętym mieszkaniu.

Kobieta zarechotała.

– No i co? Tu prawie wszyscy nazywają się Esposito. A skąd mam wiedzieć, o których chodzi? W każdym razie jestem Assunta Esposito. A wy co za jedni?

Dwaj mężczyźni zatrzymali się i z pewnej odległości śledzili rozmowę. Z okna naprzeciwko wyjrzał jeszcze jeden facet, a zaraz za nim pojawiła się kobieta. W powietrzu gęstniała wroga atmosfera. Di Nardo wymacała przez kieszeń płaszcza wybrzuszenie przy swoim pasku i zaraz odzyskała pewność siebie.

Romano nie spuszczał oka z rozmówczyni. Mięśnie szczęki zaczęły mu lekko drgać, Alex przeczuwała, że to zły znak.

– Wasza córka to Esposito Annunziata, lat osiemnaście? Jeśli tak, musimy porozmawiać z panią i z mężem.

Kobieta rzuciła okiem na parę gapiącą się przez okno.

– Chodźcie do środka.

Odwróciła się i skierowała do wnętrza, okazując parze policjantów kolosalny pulchny zad. Alex zastanawiała się, czy cudna istota, którą podziwiała dzień wcześniej, była genetycznie skazana, żeby pójść w ślady matki, czy to tylko kwestia odpowiedniego dbania o siebie.

W suterenie panował typowy dla przeprowadzki rozgardiasz. Kobieta opadła na krzesło, które aż zaskrzypiało pod jej ciężarem. Policjanci rozejrzeli się za czymś, na czym mogliby usiąść, ale nic takiego nie znaleźli, więc stali.

– Co zrobiła moja córka? Dlaczego jej szukacie?

– A kto powiedział, że szukamy? To pani szukaliśmy. Jesteśmy z komisariatu w Pizzofalcone.

Zaśmiała się, zapalając papierosa.

– Jesteście poza swoim rewirem, pani komisarz, my tu podlegamy pod Montecalvario.

Romano nie wytrzymał:

– Pani, jak widzę, obeznana z rewirami! Często mamy do czynienia z policją, co? Jeden z dwóch gości, którzy ładowali rzeczy na samochód, zareagował:

– Co żeś pan powiedział?

Di Nardo lekko odsunęła się w prawo, żeby mieć pod kontrolą całą trójkę. Mężczyźni byli młodzi, a jeden z nich zdradzał wyraźne podobieństwo zarówno do kobiety, jak i do dziewczyny.

Romano, nie odwracając się, zapytał:

– Kim są ci dwaj? Dlaczego pani szanowna ich nie przedstawi? Bo jeszcze pomyślę, że państwo są źle wychowani.

Ten, który się przed chwilą odezwał, zrobił krok do przodu, ale kobieta zatrzymała go ruchem dłoni.

– To moi synowie, komisarzu. Pietro i Costanzo. Pan wybaczy, są nerwowi, bo nie przywykli do pracy, a ja ich zagoniłam do noszenia. Przeprowadzkę mamy, widzi pan.

– Nie jestem komisarzem, ani moja koleżanka. Dokąd się przenosicie?

Zrobiła komicznie napuszoną minę.

– Wynajęliśmy nieco godniejsze lokum.

Romano wskazał na pomieszczenie.

– Aż trudno uwierzyć, tu jest wspaniale. A gdzie?

– Na Corso Vittorio Emanuele. Niedawno odremontowana kamienica.

– Chyba wiem, kto jest właścicielem kamienicy i firmy remontowej. Pani synowie pracują?

Odpowiedział drugi, krępy młodzieniec o ponurym spojrzeniu.

– No jasne, wzięli nas do tej samej firmy, co...

Matka ostro mu przerwała:

– Cicho, durniu. Mów, jak cię pytają. Nie bądź źle wychowany.

– Nowa praca, nowe mieszkanie. Wszystko nowe. Co zaszło nowego w tej rodzinie, szanowna pani? A mąż, jeśli wolno zapytać, gdzie teraz przebywa?

Patrzyła, mrużąc oczy, poprzez gęsty papierosowy dym.

– Poszedł do pracy. Jest kierowcą i pomocnikiem, załatwia sprawy w banku i wozi po mieście żonę i dzieci ważnego człowieka. Dobrze zarabia.

Romano ściszył nieco głos:

– No więc nieźle się wam powodzi. Dobra praca na legalu, z umowami i składkami. Mieszkanie, pieniądze, dobrobyt. Wszystko na plecach tamtej biednej dziewczyny. Wszystko w zamian za córkę.

Chłopak za plecami Romana wysyczał:

– Ożeż ty, kurwa... – I rzucił się na niego.

Di Nardo sięgnęła po pistolet, ale Romano nie odwracając się nawet, wyprowadził cios łokciem i uderzył napastnika w splot słoneczny. Tamten upadł, zaczął wymiotować. Drugi podchodził bardzo powoli. Romano obrócił się lekko i ostrzegł:

– Lepiej tego nie rób, koleś.

Chłopak stanął jak wryty. Kobieta nawet nie drgnęła.

– Mojej córce jest dobrze – odezwała się cicho. – Nigdy w życiu nie żyła tak komfortowo. Mieszka w ładnym domu, ma jedzenie, modne ubrania, telewizor. Meble, całą kuchnię, pełną lodówkę, wszystko ma. Kto kiedy widział tyle różnych rzeczy w lodówce? Mojej córce jest dobrze.

Di Nardo wyjęła pistolet, skierowała go ku ziemi i kątem oka obserwowała obu typków. Jeden, masując sobie brzuch, powoli się podnosił, drugi nadal stał skamieniały ze strachu po słowach Romano. Miała wrażenie, że jej kolega uśmiechnął się z satysfakcją, kiedy przyłożył tamtemu łokciem. Musiała przyznać, że zdobył parę punktów w klasyfikacji bardzo nielicznych mężczyzn, których cenila.

– Dobrze jej? – zapytała, nie patrząc na matkę dziewczyny. – Osiemnastolatka cały czas zamknięta na klucz? Trzymana w domu przez faceta, który mógłby być jej dziadkiem? I pani twierdzi, że Nunzii jest dobrze?

Zapadła cisza. Przez zaułek przejechał z łośkotem skuter, wywołując czyjeś przekleństwa.

Kobieta wyszeptała:

– Sami jej zapytajcie, przekonacie się, co wam odpowie. Piękna buzia nie jest na zawsze. A te zdziury, które w telewizji kręcą tyłkiem na komendę, to według was nie chodzą z facetami trzy razy starszymi? Dzieci muszą pomagać rodzinie. Każde tak, jak potrafi najlepiej. Mówię wam, mojej córce jest dobrze. A teraz, jeśli macie jeszcze coś konkretnego, to słucham, bo musimy się spieszyć z przeprowadzką.

Romano zrobił krok do przodu i wyjął dłonie z kieszeni płaszcza. Alex zorientowała się, że prawą ciągle otwierał i zamykał, jakby mu zdrętwiała.

– Ależ oczywiście, rozumiem, przeprowadzka. Taka okazja już się więcej nie trafi. Dobrze wam radzę, wyciągnijcie, ile się da z tej sytuacji, bo co racja to racja, uroda nie trwa wiecznie. A potem nadchodzą ciężkie czasy. Oj, ciężkie. Niczego nam nie trzeba. Ale pani tak, potrzebuje pani szczęścia. Bo przysięgam, że jak tylko się wychylicie na centymetr, będziecie w dupie tak wielkiej, że pani zad dla przykładu jest cztery razy mniejszy.

Mówił półgłosem, ale było go wyraźnie słychać. Chłopak, który podniósł się z ziemi i już odzyskał oddech, ryknął jak dziki, szybkim ruchem wydobył z kieszeni nóż sprężynowy i rzucił się na policjanta.

Alex lekko ugięła nogi i celowała pistoletem w drugiego, który sięgnął po leżący na ziemi pręt i szykował się do skoku.

– Nie ruszaj się.

Romano wykonał błyskawiczny obrót, chwycił nadgarstek pierwszego chłopaka, ścisnął z całej siły, nóż spadł z brzękiem na podłogę.

Wszystko to trwało niecałą sekundę. Wolną ręką chwycił go za gardło i zaczął dusić. Matka wydała z siebie lament jak skowyt suki. Drugi chłopak odrzucił pręt, nie spuszczając wzroku z broni Alex, jakby to było oko zwierzęcia. Di Nardo zauważyła w źrenicach kolegi dziwny blask. Chłopak na serio zaczynał się dusić, charczał.

Powiedziała cicho:

– Francesco, Francesco, dosyć. Już dosyć.

Jakby się nagle przebudził ze snu, zwolnił chwyt, przeciwnik opadł na podłogę, rozpaczliwie łapiąc oddech. Romano zrobił głęboki wdech, potem odwrócił się do matki:

– Tym razem usługa na koszt firmy, szanowna pani. Nie aresztuję tych dwóch. To byłoby głupie, gdyby cała trójka pani dzieci siedziała w więzieniu. Chociaż akurat córkę sama pani do więzienia posłała. Ale niech pani to zapamięta. Na zawsze. Bo ja zapamiętam.

Wyszedł z sutereny, a za nim Alex, z bronią ciągle gotową do strzału, chociaż schowaną pod płaszczem.

W oknach naprzeciwko nie było żywej duszy. Wsiedli do samochodu w milczeniu. Dopiero kiedy silnik zawarczał, Romano się odezwał:

– Dziękuję. Gdybyś mnie nie powstrzymała, to ja... wiesz, nie mam teraz dobrego okresu...

– Daj spokój – przerwała mu. – Bronił się, tamten kutas dwa razy cię zaatakował.

Jechali trochę w ciszy, potem znów zagaił:

– Ale wiesz, że nie możemy nic z tym zrobić? Nic. Jeśli dziewczyna wyraziła zgodę, nie wyciągniemy jej stamtąd. Jest pełnoletnia.

– Racja. Ale i tak chcę się przejść do tego mieszkania. Sama, jeśli nie masz nic przeciwko. Przy tobie dziewczyna się raczej nie otworzy. Przy mnie jako kobiecie będzie jej łatwiej.

– Dobra. Ale uważaj, nie wystawiaj się na ryzyko. Musisz tam pójść nieoficjalnie, jeśli laska złoży skargę, narobisz sobie syfu w pracy. Pamiętaj, że mają na ciebie haki. Jak na nas wszystkich.

– Jak na nas wszystkich. Ale chcę od niej usłyszeć wprost, że woli siedzieć tam zamknięta. Nie uspokoję się, zanim tego nie zrobię.

Jechali w ciszy, za szybami samochodu wiatr wył przeraźliwie. Wreszcie Romano powiedział:

– Równa z ciebie babka. To zaszczyt z tobą pracować.

XLVII

Kiedy dotarli do kancelarii notarialnej, od razu zauważyli zmianę atmosfery w porównaniu z poprzednim ich pobytem.

W holu czekało sześcioro czy siedmioro interesantów, w okienku za pancerną szybą Imma Arace inkasowała weksle, liczyła pieniądze i wydawała ostemplowane blankiety. Za przeszklonymi drzwiami widać było więcej ludzi – załatwiali sprawy przy biurkach urzędników. Notariusza ani śladu.

Dziewczyna za okienkiem kasowym podniosła wzrok i spostrzegła policjantów. Zmarszczyła czoło, rzuciła okiem w stronę biura, potem poprosiła petenta, żeby poczekał, wyszła z kasy, starannie zamykając drzwi na klucz. Podeszła do nich.

– Witam, czekałam na panów. Uprzedzono mnie, że przyjdziecie. Proszę za mną, szef jest chwilowo zajęty, przyjmie was, jak tylko będzie wolny.

Odprowadziła ich do pokoju, gdzie poprzednim razem prowadzili przesłuchania. Przechodząc przez biuro, odnotowali raczej wrogie spojrzenia, posyłane przez pracowników, zajętych obsługą klientów. Aragona szturchnął łokciem Lojaco i wymamrotał:

– Popatrz na tę.

Miał na myśli Reę, starszą urzędniczkę, która przeszła prawdziwą przemianę. Poprzednia postać, z włosami przyprószonymi siwizną, z wąskimi zaciśniętymi ustami, zmarszczkami, w okularach z grubymi szklami ustąpiła miejsca całkiem innej kobiecie: włosy prosto od fryzjera, ufarbowane na kolor mahoni, usta starannie podmalowane, solidna warstwa makijażu ukrywająca zmarszczki. Poza tym okulary zniknęły, zapewne zastąpione przez szkła kontaktowe. Aragona zdjął swoje okulary typowym wystudowanym ruchem, wytrzymał jej nieżyczliwe spojrzenie, a potem skomentował teatralnym szeptem:

– Myśli, że się wylaszczyła, ale jeszcze gorszy z niej pasztet niż przedtem. – I mrugnął porozumiewawczo do Mariny siedzącej przy komputerze, która się uśmiechnęła nieco zarumieniona.

Lojacono skinął w stronę De Lucii, pracownika, który czasami służył za kierowcę pani De Santis.

Przyszło mu na myśl, że mógłby wykorzystać czas oczekiwania, zadając parę pytań, które mu przysły do głowy po poprzednim przesłuchaniu. Dlatego poprosił Immę, aby przekazała Rei i De Lucii, żeby poświęcili im parę minut, kiedy będą wolni.

Imma przytaknęła i szybko się oddaliła, widocznie takie dostała instrukcje.

Pierwszy zgłosił się De Lucia, ewidentnie mocno poruszony. Lojacono pomyślał, że notariusz i jego adwokat zapewne surowo nakazali pracownikom, żeby nie udzielali informacji. Musiał od razu ostro przejść do rzeczy.

– Panie De Lucia, czekając, aż notariusz nas przyjmie, zapytamy pana i koleżankę o parę spraw. Sam pan rozumie, dla nas to lepiej niż wzywać na komisariat. I dla państwa też, prawda?

Człowieczek drżącą dłonią poprawił zaczeskę.

– Dla nas też, prawda, panie inspektorze. Słucham.

Aragona wznosił oczy ku niebu, już zapomniał, jak urzędnik powtarza ostatnie słowa rozmówcy na początku odpowiedzi.

– Czasami służył pan za kierowcę małżonki notariusza, tak?

– Służyłem za kierowcę małżonki notariusza, tak. Brałem samochód szefa, kiedy miała potrzebę. Zawsze mnie wysyłał, żebym zawiózł ją, dokąd sobie zażyczy.

– Czy pamięta pan, żeby w ostatnich dniach wiozł ją do jakiegoś szczególnego miejsca, innego niż zwykle? Bo ja wiem... jakiegoś nowego sklepu z ubraniami, gabinetu lekarskiego...?

De Lucia usiłował wyteńczyć pamięć.

– Nowego sklepu z ubraniami, gabinetu lekarskiego? Nie, nie wydaje mi się. Pani zawsze jeździła w te same miejsca, miała stałe przyzwyczajenia. Różne imprezy dobroczynne, sklep ze szklanymi kulami na via Duomo, czasami baronowa Ruffolo. Bywała w klubie żeglarskim, ale od wielu miesięcy tam nie zaglądała. Tylko te miejsca.

– A ostatni raz kiedy pan ją woził?

– Kiedy ją wozilem? Jakies dziesięć dni temu chyba. W ostatnim tygodniu szef mnie nie posyłał do małżonki.

– A zauważył pan, że jest zdenerwowana, napięta, zmartwiona czymś?

– Zmartwiona czymś... nie, zawsze pogodna i uprzejma. Pani była, już to mówiłem, świętą osobą. Nigdy się nie złościła, zawsze radosna. W życiu nie widziałem, jak się złości. Biedna pani.

Lojacono westchnął. Jeszcze tego brakowało, żeby się facet przed nimi rozplakał. Odesłał go i poprosił o zawołanie koleżanki.

Przemiana kobiety nie ograniczyła się do wyglądu twarzy. Obaj mogli stwierdzić, gdy weszła do pokoju, że próbowała zrobić jeszcze więcej. Obcisła sukienka, w zamiarze seksowna, w efekcie komiczna, uwydatniała wałki tłuszczu na brzuchu i krępowała ruchy, zmuszając biedaczkę do poruszania się krokiem gejszy, co dodatkowo utrudniały jej wysokie obcasy. Całość wypadła groteskowo.

Lojacono starał się zachować powagę, podczas gdy Aragona zamaskował wybuch śmiechu kaszlem, który nikogo nie był w stanie zwieść. Kobieta posłała mu jadowite spojrzenie.

– Darujcie sobie te ceregiele. Wiem, że wszyscy koledzy się śmieją za moimi plecami – stwierdziła. – Ale mam gdzieś to, co uważacie. Zbyt długo tłumiałam swoją kobiecość. Teraz czas, by ją pokazać.

Lojacono rozłożył ramiona:

– Może pani robić, co się pani żywnie podoba, chciałem tylko zadać parę prostych pytań, związanych z pani pozycją.

Nadęła się.

– Jestem w kancelarii najstarsza stażem i cieszę się największym zaufaniem pana notariusza. Mój profesjonalizm jest niepodważalny i nie pozwolę...

– Na miłość boską. Tu nikt niczego nie podważa. Tylko że jako najbliższa współpracownica szefa mogłaby pani coś więcej powiedzieć o jego działaniach. Na przykład...

– A pan sądzi, że mogłabym się zachować tak nielojalnie i opowiadać o sprawach kancelarii bez wiedzy przełożonego? – wysyczała. – Dla mnie interes pana Festy jest ponad wszystkim, nawet ponad własną reputacją.

Lojacono próbował ją uspokoić:

– Nie, źle mnie pani zrozumiała. Zamierzałem zapytać tylko, czy ma pani dostęp do komputera notariusza. I jeszcze o to, kto mu towarzyszy, gdy wykonuje

czynności służbowe poza biurem. Nic więcej.

Jej powieki zwężyły się jeszcze bardziej. Stanowiła wcielenie nieufności.

– Oczywiście że ja i De Lucia jako starsi stażem mamy dostęp do całej dokumentacji papierowej i elektronicznej. Lanza zajmuje się jedynie tym, co w internecie. Jest tępą, potrafi wyłącznie klikać. Nie dotyka rzeczy, które naprawdę są tu ważne.

Aragona poczuł się obrażony, bo kobieta, która dopiero co dała dowód, że się w nim zadurzyła, została nazwana tępą.

– Taaak? A te naprawdę ważne rzeczy to jakie?

Odpowiedziała z zimną wyższością, nawet nie patrząc na niego:

– Najważniejsze są akty prawne sporządzane na wypadek śmierci. Spisuje się je ręcznie i rejestruje w specjalnym repertorium, z adnotacją zawierającą datę i godzinę. To przede wszystkim testamenty, ale nie tylko. Muszą być sporządzone w obecności notariusza. Tylko ja się nimi zajmuję. Bo cieszę się jego największym zaufaniem.

Lojacono wydawał się zainteresowany:

– I jak to się odbywa? Notariusz przyjmuje klientów i wzywa panią, żeby spisała pani akt?

Rea prychnęła:

– Nie zawsze, oczywiście. Czasami udaje się na miejsce, gdzie przebywa testator, często to osoby chore, nieraz w bardzo podeszłym wieku. Wtedy mu towarzyszę. Tylko my dwoje, on i ja. – Ostatnie zdanie wypowiedziała rozmarzonym głosem.

Aragona rzucił koledze spojrzenie pełne niesmaku. Inspektor dodał:

– No więc to repertorium to taki rejestr, w którym są zapisane akty w kolejności chronologicznej?

Przytaknęła poważnie, zabrzczały przy tym jej wielkie kolczyki.

– Tak jest. A teraz, jeśli panowie pozwolą, wrócę do pracy, zanim moi koledzy narobią jakiegoś bałaganu. Polecę, żeby ktoś was powiadomił, kiedy notariusz będzie wolny.

Aragona śledził ją wzrokiem, kiedy wychodziła. Potem się odezwał:

– Loja', wierz mi, ta kobieta mogłaby być naprawdę niebezpieczna, gdyby nie była taka durna. Według mnie ma nadzieję, że po śmierci żony Festa właśnie ją sobie weźmie. Rany boskie, jest brzydka jak kwit na węgiel.

Inspektor przytaknął:

– Faktycznie, wygląda, jakby się szykowała do przejęcia szefa. Pewnie ma parę przydatnych informacji, ale nie sądzę, że powie nam cokolwiek, co według niej mogłoby zaszkodzić ukochanemu notariuszowi.

Po paru minutach zajrzał De Lucia.

– Pan notariusz jest wolny i czeka na panów.

XLVIII

Jakże był inny, notariusz Arturo Festa. Jak się zmienił w ciągu krótkiego czasu.

Ten wesoły, wysportowany, opalony i energiczny człowiek, którego widzieli, jak wchodzi do biura po niewątpliwie przyjemnym weekendzie, stał się steranym i udręczonym starcem o przetrąconej duszy. Kiedy wszedł do obszernego gabinetu, Lojacono miał pewność, że dla tego człowieka nic już nie będzie takie samo. Mimo to inspektor nie porzucił hipotezy, że notariusz mógł być zabójcą. W swojej karierze zbyt często widział, jak zbrodnia staje się ciosem także dla zabójcy. Jak ofiara, ruszając w ostatnią drogę w mrok, zabiera kawałek duszy tego, kto ją zabił i kto zostaje wśród żywych z wyrzutami sumienia.

Festa był zdruzgotany. Podkrążone oczy, szara cera, twarz pokryta gęstą siatką zmarszczek, których parę dni temu nikt by nie dostrzegł. A może jeszcze ich nie miał. Włosy w nieładzie, kołnierzyk rozpięty nad poluzowanym węzłem krawata. Marynarka pomięta, jakby ją nosił bez przerwy przez wiele dni i nocy.

Spotykając wzrok Lojacono, wykrzywił twarz w smutnym grymasie.

– Dzień dobry, inspektorze. Proszę się rozgościć, dziękuję, że zgodził się pan przyjść tutaj. Doceniam uprzejmość pani Piras, która mi oszczędziła przykrych sytuacji w prokuraturze. Te dziennikarskie hieny czatują, żeby mnie ukrzyżować, chcą wreszcie określić mnie mianem głównego podejrzanego. – Przeciągnął drżącymi dłońmi po twarzy. – Wybaczcie, od trzech dni nie śpię. Boję się tej chwili, kiedy człowiek budzi się z czystym umysłem i nie pamięta, co się stało. A potem nagle wszystko wraca, spada na niego świadomość i znowu czuje cały ten ból, miażdżą go te same myśli.

Aragona zdjął okulary, może tak z czystego odruchu współczucia.

Lojacono przeszedł do rzeczy:

– Dlaczego chciał się pan z nami spotkać? Dlaczego zmienił pan taktykę?

Festa spojrział, jakby nie zrozumiał inspektora. Potem, podnosząc słuchawkę, zapytał:

– Napiją się panowie kawy? Ja muszę. Od trzech dni jadę tylko na kawie.

Lojacono i Aragona potwierdzili, że chętnie się napiją. Przekazał zamówienie przez telefon, potem odpowiedział:

– Pomyślałem po prostu: to nie ja. Że nie... że nie zrobiłem tego, tej strasznej rzeczy. Ale niestety nie mam mocnych argumentów, żeby to udowodnić, więc jeśli wam opowiem, jak wyglądają sprawy, to może sami pomożecie mi wyjść z tej absurdalnej sytuacji. A poza tym...

Aragona wychylił się w jego stronę.

– A poza tym?

– A poza tym porozmawiałem z osobą... która była ze mną podczas weekendu, ale z początku nie chciałem jej w to mieszać. Powiedziała, że mogę, a nawet muszę się z wami spotkać. I podać jej nazwisko. Bo, jak wspominałem, byliśmy razem. Przez ten cały czas.

Weszła Rea z tacą, przyniosła trzy filiżanki i cukier. Szła bardzo chwiejnie na wysokich obcasach. Posłała notariuszowi w zamiarze uwodzicielski uśmiech, ale on nawet na nią nie spojrzał, tylko powiedział sucho:

– Dzięki, Lina, już sobie poradzimy, możesz iść.

Wyszła z obrażoną miną. Aragona odprowadzał ją zniesmaczonym wzrokiem. Lojacono zapytał:

– Potwierdza więc pan wersję z poniedziałku rano?

– Jasne, bo taka jest prawda. Wyjechałem w sobotę rano do Sorrento, chociaż powiedziałem biednej Cecilii, że udaję się na Capri na jakiś kongres. Dobrze wiedziałem, że na pewno nie zechce mi towarzyszyć, bo nie znosiła takich, że tak się wyrażę, sztywnych zlotów. Zajechałem po wspomnianą już przeze mnie osobę i pojechaliśmy razem do willi przyjaciół, którzy zostawili mi klucze. To zamożni przedsiębiorcy z Kanady, bardzo rzadko wpadają do Włoch. Nie ruszaliśmy się stamtąd aż do poniedziałku rano.

Aragona, który skrupulatnie wszystko notował, spytał:

– Potem poda nam pan nazwiska tych przyjaciół i adres willi. A ta osoba to kto?

Dotarli do najważniejszego punktu. Notariusz jeszcze się wahał. Wypił łyk kawy, westchnął i wreszcie wyznał:

– Iolanda Russo.

Lojacono skłonił głowę.

– Czyli ta osoba, z którą od jakiegoś czasu jest pan w związku? Z którą zjawił się pan niedawno w pewnym znanym klubie towarzyskim w mieście, prawda?

Błysk gniewu zamigotał w oczach Festy, ale tylko na moment. Potem znów górę wzięło przygnębienie.

– Ruffolo, co? Teraz jędrza musi mieć niesamowitą radochę. Zawsze mnie nienawidziła. Ona i to całe stado nadętych kretynów, którzy tworzą wyższe sfery miasta. Nigdy tego nie ukrywała, to muszę przyznać na jej korzyść.

– Tak czy owak, właśnie z tą kobietą się pan zjawił w klubie?

Festa potwierdził zgnębiony.

– Tak, z nią. Ja, inspektorze, urodziłem się w biedzie. Moja rodzina mieszka w Basilicacie, uprawia ziemię. Wiele lat harowali, żeby posłać mnie na studia. Ani przez chwilę nie zapomniałem, że wyższe wykształcenie i zawód prawniczy to moja jedyna szansa, żebym nie skończył tak jak ojciec, który pewnego wieczora, gdy pracował w deszczu, dostał zawału i zmarł. A ta szansa ściśle wiązała się też z Cecilią.

Aragona znieruchomiał, z długopisem zawieszonym w powietrzu, niepewny, czy pisać dalej. Lojacono ledwo widocznie zasygnalizował mu, żeby nie przerywał.

– Nie była piękna. Ale dawała mi wszystko, czego potrzebowałem, i nie mówię tu o pieniądzach czy kontaktach towarzyskich, chociaż te też oczywiście miała. Dawała mi radość życia. Mając ją u swojego boku, mogłem się zająć samodoskonaleniem. Domyślam się, co wam mogła nagadać Anna Ruffolo: że pracę zawdzięczam tylko znajomościom Cecylii. To nieprawda, choć może rzeczywiście tak było na samym początku. Mam dużo zleceń, bo w tym, co robię, jestem dobry, bardzo dobry. A w tej branży zdobywasz coś tylko wtedy, gdy jesteś dobry i dyskretny.

Lojacono głośno rozmyślał:

– Jak się panu wydaje: ma pan wrogów? Kogoś, kto...

Festa mu przerwał.

– Nie, myślałem nad tym, długo myślałem, też dlatego że drzwi nie były... Cecilia nigdy by nie otworzyła nieznaney osobie. Ale nikt z tych, z którymi utrzymywałem kontakty zawodowe, nie miał powodu, by zrobić coś takiego. Dbam o osoby, które zwracają się do mnie jako notariusza. Nie jestem prokuratorem ani

adwokatem. Nie wchodzę na kurs kolizyjny z klientami ani nie mogę wyrządzić im szkody.

– Wspomniał pan, że Cecilia nigdy by nie otworzyła nieznajomemu – wtrącił się Aragona. – No więc co pana zdaniem się stało? Ktoś miał klucze?

Lojacono uznał, że jego kolega nie potrafi zrezygnować z tropu wiodącego do rumuńskiego narzeczonego gosposi, który bez trudu mógł jej podwędzić klucze.

– Jasne, tak mogło być. Jedno co wiem, to że tamtego wieczora Cecilia była spokojna. Rozmawialiśmy około dziesiątej i... mój Boże...

Głos mu się załamał, obaj się spodziewali, że zaraz wybuchnie płaczem. Ale schował twarz w dłoniach i szybko się pozbierał.

– Nakłamałem jej. Ciągle ją okłamywałem, to już weszło mi w zwyczaj. A ona udawała, że wierzy w to, co mówię, albo naprawdę mi wierzyła. Była inteligentna, bardzo inteligentna. Może świadomie godziła się z tym, że kłamię. Może miała pewność albo mocną nadzieję, że nigdy od niej nie odejdę. I słuchała moich kłamstw tak, jakby to była prawda. Powiedziałem jej, że jestem na Capri i że wszystko w porządku, że dobrze zrobiła, nie jadąc ze mną, bo straszne nudy.

– A ona co na to?

– Że dobrze się czuje, zamierza iść wcześniej spać, że już się przebrała w szlafrok. Że z powodu strasznej wichury zaryglowała wszystkie okna. Nigdy tego nie robiła, ale tak porywisty wiatr ją wystraszył. Że portier naprawił jedną okiennicę, nie pamiętam którą. A ja, niech mi Bóg wybaczy, spieszyłem się i nie chciałem długo gadać... gdybym wiedział, gdybym cokolwiek przeczuwał... ale zależało mi tylko na tym, by szybko zakończyć rozmowę, bo osoba, która była ze mną... Iolanda nie lubi, kiedy się oddalam na zbyt długo. No więc Cecilia szła już spać. Gdyby na kogoś czekała, toby mi o tym powiedziała.

– A zatem?

– A zatem albo to był ktoś tak dobrze jej znany, że mogła otworzyć w szlafroku, czego w innym przypadku by absolutnie nie zrobiła, albo to był ktoś, kto miał klucze i ona go nagle zobaczyła, jak już wszedł do środka. Nie mam żadnych wątpliwości co do tego.

– Przepraszam, ale muszę o to spytać: jakiego rodzaju stosunki łączą pana z panią Russo? Czy macie jakieś... plany, jakieś zamiary na przyszłość? A żona, pana zdaniem, była tego świadoma?

Pytanie zawisło w próżni. Notariusz gapił się na czubki swoich palców, zagryzając dolną wargę. Cisza trwała tak długo, że inspektor zaczął wątpić, czy Festa w ogóle zechce mu odpowiedzieć. Ale jednak to zrobił.

– Wiele razy w przeszłości miałem... różne przygody. Także z koleżankami Cecilii i wcale nie jestem z tego dumny. Nie umiałem się oprzeć. Ale tym razem to co innego. Iolanda to szczególna kobieta, z takich co nie zgadzają się być w ukryciu, nie mieć kogoś na wyłączność. A kiedy się zorientujesz, jest już za późno. Poza tym sprawy między nami... Inspektorze, nasza relacja jest nieodwracalna, nie mogę zostawić Iolandy. Wkrótce chciałem o tym powiedzieć Cecilii, Iolanda coraz mocniej naciskała, już miałem wszystko uporządkować.

– Czy w trakcie tych dwóch dni byliście osobno? Czy pani Russo się gdzieś oddalała?

Festa zamrugął, jakby po raz pierwszy przyszło mu do głowy coś absurdalnego.

– Kto, Iolanda? Ale... do czego zmierzacie? Nie. Byliśmy zawsze razem, nie wychodziliśmy nawet zjeść, cały prowiant przywieźliśmy ze sobą.

Lojacono i Aragona popatrzyli po sobie. Sytuacja była jasna, doskonale zdawali sobie sprawę, że wszystko bazuje na słowach, których nie da się udowodnić. A notariusz pozostawał głównym podejrzanym, wespół z Iolandą Russo. Oni jako jedyni mieli interes w tym, żeby pani Cecilia De Santis odeszła, zostawiając notariusza wolnym i bogatym.

Właśnie: jak bogatym? Lojacono spytał:

– A jak wygląda pańska sytuacja finansowa... pana żona miała...?

– Spodziewałem się tego pytania. Wszystko było zapisane na nią. Żeby uniknąć zainteresowania urzędów skarbowych, wszystko, co posiadaliśmy, stanowiło własność żony.

To potwierdzało przypuszczenia Lojacono. Pozostawała jedna rzecz do wyjaśnienia, ale musiał to rozegrać ostrożnie, bo nie dostali jeszcze oficjalnego raportu od informatyków z komendy, więc istniało ryzyko, że notariusz zacznie robić uniki.

– Dotarła do nas wiadomość o podróży, jaką zamierzał pan odbyć z żoną. Dalekiej podróży, zwracał się pan o informacje do jednego z biur internetowych. Co może nam pan powiedzieć w tej sprawie?

Notariusz zrobił zdziwioną minę.

– Żona jakiś czas temu poprosiła, żebyśmy wyjechali. Może, żeby odnaleźć jakiś spokój i równowagę między nami, bo ja wiem. Ale odpowiedziałem jej, że w tym czasie przeprowadzam parę naprawdę dużych i skomplikowanych transakcji i nie dam rady się nigdzie ruszyć. Nie wykluczam, że wysłałem jakieś zapytania, ale nie pamiętam, bym w ogóle na serio planował wyjazd.

Było jasne, że nic więcej im na razie w tej kwestii nie wyjaśni. Kiedy nadejdzie oficjalny raport, podrażą dalej.

Poprosili o adres i numer telefonu Iolandy Russo, żeby się z nią umówić. I o zgodę notariusza na dostęp do wszelkich informacji, jakie mogłyby się okazać potrzebne do śledztwa.

Festa odparł bez wahania:

– Ależ oczywiście, wszystko, co chcecie. Myślicie, że jeszcze nie zrozumiałem? Jesteście moją jedyną nadzieją.

XLIX

Alex Di Nardo skryła się w załomie bramy.

Tkwiła tam bez ruchu, wpatrzona w okno naprzeciwko, pomimo wiatru, zresztą trochę już słabszego. Postawiony kołnierz i ciemne okulary nadawały jej wygląd tajnej agentki z tych filmów klasy B, które kolega Aragona z pewnością ogląda na okrągło.

Przypatrywała się starej wiedźmie tkwiącej na swoim posterunku przy parapecie. Na tym odcinku ulicy wszystko było w zasięgu wzroku i nic nie mogło umknąć uwagi donny Amalii.

Jasne, mogła wejść tak po prostu, kto by się przejmował panią Guardascione, która kończy kolejną szydełkową serwetkę – cholera wie, gdzie ją położy, może na desce klozetowej, jeśli jeszcze tam jakaś nie leży. I która zadręcza opiekunkę, nazywa ją zdziwą i szpieguje jej każdy ruch.

Ale z jakiegoś powodu nie chciała dać babie satysfakcji, że wykryła potencjalne przestępstwo. Byłaby to nagroda za postawę, którą uznawała za coś obrzydliwego. Poza tym, od kiedy zobaczyła zastraszone zwierzę w spojrzeniu Nunzii Esposito, które tak kontrastowało z jej przyklejonym do twarzy uśmiechem, i poczuła przez skórę obleśność architekta oraz chciwość matki, wyrobiła sobie jasny pogląd, kto w tej historii jest dobry, a kto zły. Gdy tak patrzyła w górę i zastanawiała się, kiedy przeklęta starucha będzie wreszcie musiała ulec jakiejś fizjologicznej potrzebie, jej myśli powędrowały w stronę Romano. Od koleżanki z komisariatu w Posilippo dowiedziała się, że Francesco łatwo wpada w szal. I dlatego komisarz pozbył się go przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jednak w sytuacji, w której oboje uczestniczyli, nie widziała powodu, żeby go potępiać. Ją też w pewnej chwili zaswędział palec na spuście pistoletu. Ale to nic nowego. Uśmiechnęła się do siebie: niezła z nas para. Tyle że pasujemy raczej do filmu *Zabójcza broń* niż do ulic tego miasta.

Była wdzięczna, że uszanował jej potrzebę działania w tym przypadku w pojedynkę. Według niej tylko tak mogła zrozumieć coś więcej, wyrobić sobie zdanie. Nie miała wątpliwości, że młoda bogini siedzi w tym mieszkaniu wbrew

swojej woli. Gdyby Alex odkryła, jakiego rodzaju jest to przymus, gdyby dostała najmniejszą choćby prośbę o pomoc, uwolniłaby dziewczynę. Już by znalazła sposób.

Wreszcie pani Guardascione się oddaliła. Alex tak bardzo czekała, aż tamta zniknie, że w końcu ją to zaskoczyło i o mało nie przegapiła nieobecności donny Amalii w oknie. Szybko weszła do bramy kamienicy Nunzii. Pierwsza przeszkoda pokonana. Wbiegła po schodach i zapukała. Po paru sekundach rozległ się głos dziewczyny.

– Kto tam?

– To ja, Di Nardo, z policji, ale nie jestem tu służbowo. Wpuścisz mnie?

Długa cisza. Alex rzuciła nerwowe spojrzenie w stronę uchylonych drzwi agencji nieruchomości. W razie czego nie umiałaby wytłumaczyć swojej wizyty przed wścibską pracownicą.

– O co chodzi? Czegoś pani zapomniała?

Zgodnie z przewidywaniami Nunzia grała na zwłokę. Zapewne nie mogła otworzyć, bo nie miała klucza. Ale Alex musiała się upewnić.

– Niczego nie zapomniałam. Chciałam tylko z tobą chwilę porozmawiać.

Kolejna przerwa. Potem znów głos dziewczyny, drżący i niepewny.

– Wolałabym... tak naprawdę to wolę nie otwierać. Nie może pani mówić przez drzwi?

Ależ jej było żal tej dziewczyny.

– Jesteś zamknięta, prawda? Nie otworzyłabyś, nawet gdybyś chciała. Wiem to. Znam twoją sytuację. Byliśmy u twojej rodziny, wszystko widzieliśmy. Siedzisz tam zamknięta. Ale mogę ci pomóc, rozumiesz?

Wydawało jej się, że słyszy westchnienie, nawet łkanie. Kiedy już była przekonana, że nie padnie żadna odpowiedź, głos rozległ się znowu.

– Jest pani sama? Ten pani kolega, policjant, przyszedł z panią?

– Nie, nie. Mówiłam ci, to nieoficjalna wizyta. Chcę zrozumieć, tylko zrozumieć. „Tylko zrozumieć”. Jakby zamierzała się sama przed sobą usprawiedliwić.

Potem, ku wielkiemu jej zaskoczeniu, rozległ się szcęk zamka i drzwi się otworzyły. Wnętrze nie przypominało tego z ich poprzedniej wizyty, nikt nie

przyszykował się na gości. Na kanapie pismo plotkarskie, obok na stoliku paczka czipsów, pod nim sporo okruchów, w szklance ciemny napój, pewnie coca-cola. Ukryte w podwieszanym suficie głośniki nasycaly całe mieszkanie ciepłą muzyką, jazzem z lat sześćdziesiątych.

Dziewczyna miała na sobie szlafrok przewiązany w pasie szarfą. Była bosa, nieuczesana, bez makijażu. I przepiękna. Wyglądała dokładnie na swój wiek. Alex uderzyło, jak Nunzia jest podobna do matki, a jednocześnie jak wiele różni tę istotę od potwora, którego spotkała tego ranka.

Popatrzyły na siebie z bliskiej odległości. Nawet bez butów dziewczyna była wyższa od Alex. Di Nardo, wcześniej pewna, że biedna niewolnica jej nigdy nie otworzy, teraz, mając ją przed sobą, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Przepraszam, że nachodzę. Nie chciałam przeszkadzać, tylko że... myślałam...

Dziewczyna wskazała sufit.

– To jego muzyka. Nie rozumiem jej, wolę Tiziana Ferro. Ale on ma tylko tę muzykę, więc albo ta, albo żadna.

Zrobiła parę kroków, kołysząc się do melodii, i przysiadła z wdziękiem na kanapie. Skuliła nogi pod siebie, sięgnęła po czipsa.

Alex czuła się nieswojo, wciąż nie potrafiła samej sobie wytłumaczyć, co tam robi. Nie miała jednak przed sobą kogoś, kto został przemocą uwięziony.

– Przepraszam, nie powinnam przychodzić. Przykro mi. Myślałam...

Nunzia spojrzała poważnie.

– Wiem, co sobie wyobraziliście. Myśleliście, że nie rozumiem? To samo jemu powiedziałam, kiedy do niego dzwoniłam. A on obiecał, że się zjawi. Przypuszczaliście, że nie mogę się stąd ruszyć, że jestem jakby w więzieniu, tak?

Alex przytaknęła, Nunzia mówiła dalej:

– Pani to pewnie wie lepiej ode mnie. Niektóre rzeczy wyglądają, jak wyglądają, a są całkiem inne. Ale czasami jest dokładnie tak, jak na to wygląda. To prawda: nie mogę stąd wychodzić.

Alex nie nadążała: czy ta dziewczyna robi sobie z niej jaja? Spojrzała na drzwi.

– Ale dopiero co mi otworzyłaś! – zauważyła.

Nunzia zamiast odpowiedzieć, wstała i zerknęła za zasłonę.

– Siedzi tam ciągle, proszę spojrzeć, przy oknie. Jesteśmy obie, ja i ta stara. Patrzymy na siebie. Czasami zasypia z otwartą gębą i wypada jej szczeka. Jest obrzydliwa z wierzchu i w środku. – Odwróciła się w stronę Alex. – On oszalał, wie pani. Parę miesięcy temu przejeżdżał samochodem koło naszego domu. Takim wielkim. Jechał obejrzeć starą kamienicę, którą kupił gdzieś niedaleko, żeby zrobić tam jakieś apartamenty czy luksusowy hotel. Według mnie to głupota, kto będzie chciał mieszkać w hotelu w takiej gównianej dzielnicy? – Sięgnęła po kolejnego czipsa. – Muszę uważać na to, bo inaczej się roztyję gorzej od matki, widziała ją pani? – Zachichotała, zakrywając usta. Alex poczuła, że to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziała. – No więc zgubił się, nie umiał trafić. Zatrzymuje się, opuszcza szybę, żeby zapytać. Ja stałam przed drzwiami, czekałam na koleżankę. Mówi, że jak tylko mnie zobaczył, stracił rozum. Zwariował. Od wtedy wracał codziennie. Raz na piechotę, raz taksówką, kiedy indziej znowu kazał się podwozić kierowcy.

Alex usiadła wreszcie w fotelu.

– A ty? Co o tym myślałaś?

– A co miałam myśleć? Już dwa lata minęły, jak faceci się tak na mnie gapią i gapią. Nawet moi bracia, szczerze mówiąc. Ale on był uprzejmy. Przywoził prezenty dla mnie i dla rodziny. Mnóstwo prezentów. A to kolczyki, a to bransoletkę. Potem któregoś dnia zapytał ojca, czy mogę wyjechać z nim na parę dni, bo musi zwizytować jakąś budowę na północy. A ojciec na to: w porządku.

Alex słuchała jak w transie. Dziewczyna mówiła to wszystko lekkim tonem, jakby rozmawiały o pogodzie.

– Myślałam, że mój architekt zawału dostanie, stary jest przecież. Ale nie dostał. Tylko że jak mnie pierwszy raz zobaczył bez ubrania, to mu gały omal nie wyskoczyły. – Zachichotała, jakby opowiedziała dowcip. Potem, pod wpływem nagłego pomysłu, zwinnie wstała i jednym ruchem rozchyliła szlafrok. Pokazała się cała naga. – Jest pani kobietą, proszę powiedzieć prawdę: jak wyglądam?

Di Nardo aż przełknęła ślinę z wrażenia. Ciało Nunzii było doskonałe. Piersi obfite, ale jędrne, płaski brzuch, smukłe uda, lekko wypukły wzgórek łonowy.

– Jesteś przepiękna. Przepiękna.

Młoda bogini zaśmiała się i zawiązała z powrotem szlafrok.

– Wiem. On mi ciągle to powtarza. Dlatego woli, żebym nie wychodziła. Jest zazdrosny. Nie chce, żeby mnie ktoś widział, bo potem faceci zaczną się tu kręcić jak muchy koło gówna. Poprosił mnie o to, a ja mu obiecałam. Według mnie się boi, że ktoś doniesie jego żonie. Kiedyś ją widziałam, wyszłam raz trochę się porozglądać. O mamusiu, ma trzy lata mniej od niego, ale wydaje się starsza.

– Ale skoro wiesz, że ma żonę... dlaczego z nim jesteś?

Nunzia spoważniała. Zaczęła mówić ciszej.

– Widziała pani to mieszkanie? A widziała pani, gdzie przedtem mieszkałam? Widziała pani moją matkę? A ulicę? I jeszcze pani pyta?

– Ale on taki stary, a ty... jesteś taka... no, młoda!

– No to co? Mnie zależy na mieszkaniu i na tym, jak się ze mną obchodzi. Według pani lepszy byłby młody, nawet gdyby mnie bił od rana do wieczora, zrobił mi dziesiątkę dzieci i trzymał w ciemnej norze pełnej myszy? On jest miły, uprzejmy i daje prezenty. Zadbał o moją rodzinę, cieszę się z tego. A jeśli chodzi o te sprawy, to trwa dwie minuty, potem zaraz zasypia. Prawie nic nie czuję, myślę wtedy o innych rzeczach. To chyba dobra cena za to wszystko, nie?

Alex nie wierzyła własnym uszom.

– A wolność? Siedzisz tu ciągle zamknięta, nie możesz wyjść. Nie brakuje ci nieba, światła?

Nunzia chwilę się zastanawiała.

– Czasami brakuje. Ale to nie potrwa długo. Wie pani, co chcę zrobić? To, co mi radzi matka.

– Czyli?

– Żeby przepisał na mnie mieszkanie. Na razie je wynajmuje, ale przekonam go, żeby kupił i przepisał na mnie. Potem niech mi założy konto i wpłaci trochę pieniędzy. Wtedy, jak to się mówi w moich stronach, będę miała go w garści. Ale tymczasem muszę go zadowalać, dawać, czego chce. A jak sobie życzy, żebym nie wychodziła, bo jest zazdrosny i boi się żony, to dla mnie w porządku. Bo mam tutaj telewizję, radio, jedzenie. Niczego mi nie brakuje.

– Rozumiem. Przepraszam, wcześniej nie rozumiałam, ale teraz już wszystko jasne. Kiedy przyszliśmy tamtym razem... ja i kolega, odnieśliśmy wrażenie, że się boisz. Miałaś wystraszony wzrok. Pomyśleliśmy, że po prostu potrzebujesz pomocy.

– Mieliście rację, no pewnie, że się bałam. Bałam się, że Germano uzna całą sytuację za zbyt niebezpieczną... bo policja i ta jędza, która się wpięprza w nie swoje sprawy. I odeśle mnie do tej nory, do tego ohydneho życia, jakie miałam wcześniej. O to się bałam. Szkoda, że nie widzieliście, jak się trząśł, kiedy wyszliście. Pani kolega napędził mu niezłego stracha. Ale jakoś przekonałam staruszkę, że to nic takiego. Już ja wiem, jak go przekonać. – Zasłoniła usta i zachichotała znowu, stając się na powrót podlotkiem.

Alex szybko wstała. Nagle poczuła przemożną chęć wyjścia z tego mieszkania.

– Dobra, pójdę sobie. Zostawię ci wizytówkę. Gdybyś miała... gdybyś potrzebowała czegoś, tu mnie znajdziesz. Masz też numer komórki.

Nunzia z wdziękiem podniosła się z kanapy, podeszła do Alex i musnęła jej wargi.

– Niech mnie pani czasami odwiedzi, jeśli pani zechce. On przychodzi bardzo rzadko, zawsze za dnia. Wieczorami ciągle siedzę sama. Może mi pani przynieść pizzę, bardzo lubię.

L

Coś.

W umyśle Lojacono coś się turlało jak jakiś odczepiony przedmiot po dnie rozkołysanej łodzi. Zbyt głęboko poniżej progu świadomości, żeby dało się stwierdzić, co to takiego, ale wystarczająco wyraźnie, żeby czuł dyskomfort. Tak jakby coś mu zaburzało porządek.

Coś, co usłyszał? Coś, co zobaczył? Coś, co mu powiedziano albo wręcz przeciwnie: czego nie powiedziano? Starał się zebrać myśli, automatycznie dłubał przy tym widelcem w makaronie na talerzu. Aragona co jakiś czas patrzył na niego, nie przestając mówić. Zatrzymali się na obiad w knajpie. Czekali, aż nadejdzie godzina umówionego spotkania z tajemniczą księgową Iolandą Russo, kochanką notariusza i być może kluczem do rozwikłania zagadki zabójstwa pani Cecylii.

Aspirant wykladał swój tok rozumowania:

– ...no więc jeśli chcą zrobić porządny napad, są do tego zdolni. To wcale nie jakieś uliczne złodziejaski. Czasami robią takie skoki, których zazdroszczą nasi zawodowcy, dają słowo. No więc dla mnie wygląda to tak, że poszli z dorobionymi kluczami, zaczęli zgarniać srebra z pierwszych dwóch pokoi, nadeszła De Santis i cały plan poszedł się gwizdać.

Lojacono odparował:

– I ktoś organizuje akcję niezwykle precyzyjnie: dorabianie kluczy i tak dalej, ale nie bierze pod uwagę, że w niedzielę wieczorem kobieta siedzi w domu i szykuje się do snu? A potem wybiera taką godzinę, chociaż mając klucze, może wejść w środku nocy, kiedy nie dałoby się go łatwo zauważyć, zwłaszcza że szalała ostra ulewa? Nie, ta wersja mi nie pasuje.

Aragona, który bardzo się przywiązał do teorii napadu, był zirytowany, bo nie umiał odeprzeć argumentów kolegi.

– No dobra, może to było paru popieprzonych ćpunów, są zdolni do wszystkiego. Kiedy muszą zdobyć działkę, odbiera im rozum. Kobieta ich zaskoczyła, złapali za

pierwszą rzecz, jaka im wpadła w ręce, i łup. Poza tym srebra to jedyny konkretny, jaki mamy, co?

Lojacono musiał przyznać mu rację. Jedyny poza tym czymś, co turla mu się po głowie, ale czego nie jest w stanie nazwać. Jeszcze nie teraz.

Firma panny Russo miała siedzibę w okolicy pełnej banków i biur. To rejon, zresztą całkiem nieduży, gdzie można sobie przypomnieć, że to miasto jest ważnym ośrodkiem finansowym. Wystawna kamienica z przepastną bramą, w porze tuż poobiedniej prawie nikt się tu nie kręcił. Portiera też nie było. Z mosiężnej tabliczki, powieszonych wśród kilkunastu innych, dowiedzieli się, na które piętro mają wjechać.

Otworzyła im osobiście.

– Dzień dobry. Zapraszam, tędy. Prosiłam o spotkanie teraz, bo moi pracownicy mają przerwę, lepiej zachować trochę dyskrecji.

Kiedy prowadziła ich do środka, Aragona z uznaniem otaksował jej pupę. Russo nie była kobietą, którą można przeoczyć w tłumie. Burza rudych włosów, świdrujące zielone oczy, krótka spódnica odsłaniająca długie jędrne nogi. Była piękna i miała tego świadomość. Ale też trochę agresywna – to także od razu dawało się wyczuć.

– Wiem, że Arturo się z wami spotkał. Powiedział wam, gdzie byliśmy w ten weekend i co robiliśmy. Rozumiecie zatem, że nie kontaktowaliśmy się z nikim i nie mamy świadków.

Aragona przyjął wystudiowaną, podpatrzoną w jakimś filmie pozę i głosem nieco cichszym niż zwykle zapytał:

– Dlaczego się z nikim nie kontaktowaliście?

– Może sytuacja nie jest jeszcze dla panów całkiem jasna. Kiedy kobieta jedzie na weekend z żonatym facetem, w dodatku znanym w mieście, który powiedział żonie, że spędzi ten czas na nudnym kongresie na Capri, to nie prowadzi się z nim po ulicach i nie chodzi na ciasteczka. Panu to się może nie zdarza zbyt często, ale tak to jest.

Aragone zamurowało, jakby dostał w twarz. Lojacono podjął rozmowę.

– Od jak dawna zna pani notariusza Festę?

– Poznałam go pięć lat temu, ale spotykamy się od roku i paru miesięcy. To znaczy: jesteśmy razem.

Inspektor docenił jej szczerść. Była gotowa mówić, bez zbędnej obłudy, przez którą by tylko tracili czas.

– Znała pani Cecilię De Santis?

– Widziałam ją parę razy na mieście. Raz w teatrze San Carlo, potem na aukcji dobroczynnej, którą organizowała przed zeszłymi świętami. Arturo błagał mnie, żebym nie szła, był przerażony. Powiedziałam mu, żeby się uspokoił i że się nie wybieram. Ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i poszłam. Muszę powiedzieć, że zachowała zimną krew, choć bym się tego po niej nie spodziewała.

– Ale dlaczego... – Aragona odzyskał głos. – Wiedziała, że... wiedziała o pani i jej mężu?

Znowu spojrzała na niego wzrokiem entomologa.

– No jasne. Wiedziało o tym całe miasto, wszystkie wścibskie baby z wyższych sfer w kółko o tym plotkowały. To panu się wydaje, że do niej to nie dotarło? Wiedziała od dawna. Nie ma wątpliwości.

Aragona drążył zafascynowany:

– Czy coś się między paniami wydarzyło? Pani De Santis podeszła, wywiązała się kłótnia?

Iolanda zaśmiała się, odsłaniając mocne perfekcyjne uzębienie drapieznika.

– Ależ skąd. To dość inteligentna kobieta. Zdawała sobie sprawę, że coś takiego oznaczałoby jej ostateczną klęskę. Na nic innego nie czekałam, byłoby to dla mnie cudowne. Ale nie zrobiła tego. Podziękowała mi, kiedy kupiłam jedną z tych ohydnych szklanych kul za jakąś kosmiczną cenę.

– A więc wiedziała. Pani i pan notariusz wiedzieliście, że ona wie. Jak można rozwikłać taką sytuację? Na co czekaliście?

Wstała i podeszła do okna. Na zewnątrz znów gęstniały czarne chmury.

– Inspektorze, zna pan choć trochę to miasto? W rzeczywistości są tu trzy miasta. Pierwsze, które naprawdę się liczy, to miasteczko z paroma tysiącami mieszkańców. Drugie zamieszkują ci, co mają jakąś pracę, żyją od pierwszego do pierwszego i marzą o urlopie nad morzem. Trzecie to ponad milion osób, które usiłują jakoś przetrwać.

Wielka kropla wody uderzyła w szybę i zaczęła ściekać na dół.

– Niełatwo dostać się do pierwszego miasta. Nie dlatego, że zamieszkują je ludzie lepsi niż inni. W większości są beznadziejni, powierzchowni i leniwi. Oni nigdy nie musieli się zmagać z żadnymi problemami. Ale mają pieniądze, dużo pieniędzy. I nie wypuszczą ich z rąk w żadnym wypadku.

Obaj policjanci zauważyli, że ten opis idealnie pasuje do tego, co mówiła o swoim środowisku baronowa Ruffolo. Chociaż oglądały ten świat z przeciwległych miejsc, obie panie całkowicie się ze sobą zgadzały.

– Ani ja, ani Arturo nie urodziliśmy się w tym świecie. Nie weszliśmy do niego z racji urodzenia, ani z powodu pełnienia jakiegoś urzędu. Ale jesteśmy od nich lepsi. I to dużo lepsi. Każde z nas przeszło przez swoje problemy, umiemy im stawiać czoło, pokonywaliśmy trudności. A więc umiemy też rozwiązywać ich problemy. – Odwróciła się w ich stronę z założonymi rękoma. – Dlatego się nami posługują. Nie mogą się bez nas obyć. Ale to wcale nie znaczy, że są gotowi nas przyjąć do siebie. Cecilia była świadoma tego, że wysoka pozycja zapewnia jej przewagę, i to wykorzystywała. Udawała, że nic nie wie o mnie i mężu, sądząc, że w ten sposób utrzyma całą sytuację bez zmian. Ale nie wzięła pod uwagę pewnej, powiedzmy, ewentualności. – Zawiesiła głos.

Aragona nie wytrzymał.

– To znaczy?

– Jestem w ciąży, spodziewam się dziecka Artura.

Słowa wybrzmiały jak strzał.

– Jego żona wiedziała?

– Nie, sama dopiero niedawno się zorientowałam, to znaczy parę tygodni temu. Mam bardzo regularne cykle, zrobiłam test po dwóch dniach opóźnienia. Wiemy tylko ja i Arturo. Oznajmiłam mu to prosto w oczy, poszłam do jego biura. Chciałam zobaczyć, jaką zrobi minę.

– No i jaką miał minę?

Okrążyła biurko i usiadła w swoim fotelu.

– Najpierw szczęśliwą, bardzo. On pochodzi z chłopskiej rodziny, instynktownie traktuje dzieci jako błogosławieństwo, a żona mu nie dała potomka. Nie mogła mieć dzieci. Potem, jak się tego spodziewałam, zaczął wymyślać serię problemów.

– To znaczy?

– Jak jej to powiedzieć, co się teraz stanie, co będzie z całym majątkiem, który na nią jest zapisany, co z klientami, którzy są jej znajomymi, i tak dalej. Wszystko dotyczyło Cecyliei. – Znowu krople ściekały po szybie, w zupełnej ciszy. Wbiła swoje zielone oczy w Lojacono: – Inspektorze, bądźmy ze sobą szczerzy: istnienie tej kobiety stanowiło jedyną realną przeszkodę na drodze do tego, czego pragnę. Ja tego mężczyznę wybrałam i wzięłam, zanim on jeszcze zdał sobie sprawę z mojego istnienia. Tak robią kobiety, te prawdziwe, które wiedzą, czego chcą. Jesteśmy z tej samej gliny, świetnie dajemy sobie radę i mamy ostre pazury. Pozycji towarzyskiej Cecyliei potrzebował tylko na początku, ale teraz już może iść dalej samodzielnie. Musiałam go tylko przekonać, a dzięki temu dziecku właściwie już osiągnęłam cel. To była tylko kwestia czasu.

– Żeby co? – spytał Aragona.

Mówiła dalej, wciąż patrząc tylko na Lojacono:

– Żeby wreszcie z nią porozmawiać. On by to w końcu zrobił. Za niedługo.

Inspektor patrzył na nią beznamiętnie.

– Ale nie zrobił tego jeszcze, a tymczasem żona zmarła. Zabita przez kogoś, tak dla ścisłości.

– Oczywiście, rozumiem, że z waszego punktu widzenia wniosok nasuwa się sam. Ale to nie my. Byliśmy razem w willi w Sorrento, urządzając tę samą co zwykle smętną imitację normalnego życia: kobieta gotuje dla swojego faceta, facet rozmawia ze swoją kobietą, śmieją się jakby na zewnątrz nie istniał świat. To nie my to zrobiliśmy. Ale nie możemy tego udowodnić.

Lojacono zadał jej to samo pytanie co poprzednio notariuszowi:

– Dlaczego zdecydowała się pani z nami rozmawiać? Co panią do tego skłoniło?

– Macie znaleźć winnego, czyż nie? Gdybyśmy milczeli, uznalibyście, że mamy coś do ukrycia. Adwokat Artura bał się, że wpadniemy w pułapkę sprzecznych zeznań. Ale jak możemy mieć sprzeczne zeznania, skoro mówimy wam prawdę?

Lojacono przytaknął:

– Rozumiem. Ale nie macie państwo dowodów. A jedyne, co jest pewne, to śmierć pani Cecyliei.

– Tak, jej śmierć jest pewna i nie zaprzeczę, że parę problemów w przyszłości to mi może rozwiązać. Ale tylko jeśli znajdziecie tego, kto ją zabił. Obecny stan rzeczy

jest dla mnie niekorzystny. Bo Arturo wcale nie tak łatwo uwolni się od wspomnień, obrazów, śladów wspólnego życia. Co innego twarz wykrzywiona w krzyku, zapłakana, wypominająca zdradę. A co innego czuły uśmiech i wspomnienie pieszczoty. Jak można walczyć z fotografią?

– A pani zdaniem kto to zrobił? Ma pani jakieś podejrzenia?

Długo się zastanawiała, nim odparła:

– Nie, nie mam. Może jacyś bandyci, w tym mieście jest ich pełno, są całkiem poza kontrolą, bez obrazy. Niewiele wiedziałam o jej życiu. Muszę przyznać, że nigdy nie słyszałam, żeby ktoś źle się o niej wyrażał, a to rzadka rzecz w pewnych środowiskach. Zwłaszcza przy mnie chętnie by wyrzygali z siebie jakieś plotki. Ale nic nigdy. Jediną jej niewinną słabością były szklane kule. Kto wie, może widziała w nich przyszłość. Porządna osoba, nie miałam jej niczego za złe. Po prostu takie rzeczy się zdarzają, ludzie się schodzą i rozchodzą, ot co.

Wyszli prosto w ulewny deszcz. Podbiegli do samochodu, udało im się bardzo nie zmoknąć, zamknęli się w środku. Aragona z kapłańskim namaszczeniem wytarł do sucha okulary papierową chusteczką.

– Idziesz przesłuchać kogoś, mając pewną teorię, a potem musisz ją wyrzucić do kosza. Spodziewałem się zupełnie innego typu człowieka. To zwyczajna kobieta. Dała sobie zrobić dziecko pierwszemu lepszemu palantowi, którego dopadła. Żadna *dark lady* pchająca dojrzałego prawnika do zabójstwa. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

Lojacono przeciągnął dłońmi po wilgotnych włosach.

– Ale była z nami szczerza i jasno powiedziała, że De Santis stanowiła dla niej przeszkodę na drodze do zdobycia upragnionego mężczyzny. Nie można też pominąć faktu, że jest w ciąży. Kobiety w tym stanie nieraz zmieniają swoje postrzeżenie rzeczywistości.

– Może masz rację, ale odniosłem wrażenie, że ona tylko się martwi o przyszłość. Nie wyobrażam sobie Iolandy, jak idzie do domu De Santis i ją zabija. Ani że manipuluje notariuszem, żeby zabił żonę. Za to bardzo bym chciał być obecny w tamtej chwili, kiedy poszła do kancelarii powiedzieć mu o dziecku, a on zaczął coś bełkotać, że tak nie można, że przyjaciele, że klienci, że środowisko. Wyobrażasz sobie jej wrzaski? Pewnie było słyhać na kilometr. – Zachichotał,

ciągle wycierając szkła. Nie od razu dostrzegł, że Lojaco otworzył szeroko oczy i wpatruje się w niego. Znieruchomiał, z chusteczką i okularami uniesionymi w dłoniach. – No co? Co takiego powiedziałem?

Inspektor powoli zaczął się śmiać. Uśmiech wypełnił mu całą twarz.

– Wiesz, Arago', nie doceniałem cię. Jesteś geniuszem, cholernym pieprzonym geniuszem!

Aragona nie miał najmniejszego pojęcia, o co chodzi koledze.

Na zewnątrz deszcz przechodził w gradobicie, ziarenka lodu turlały się po przedniej szybie. Ale w głowie Lojaco już nic się nie turlało. Wszystko znalazło się na swoim miejscu.

To było jak atak gorączki. Czas przyspieszył, jakby ktoś wcisnął guzik przewijania do przodu ich dnia.

Lojacono wyjaśnił swoją teorię Aragonie. Gdy ją przedstawiał na głos, odkrywał, że wszystkie klocki idealnie pasują, każdy element miał swoje oczywiste miejsce, znikwały wszelkie niespójności.

Młody policjant był przeszczęśliwy, jakby dostał cenny prezent.

– Fantastycznie. Fantastycznie. A wszystko mieliśmy przed nosem. No to na co czekamy? Zamykajmy tę sprawę.

Lojacono pokręcił głową.

– Nie, jeszcze nie. Trzeba to i owo posprawdzać. Weźmy się do roboty.

I rozdzielili się, każdy ruszył w swoją stronę. Inspektor wrócił do laboratorium kryminalistycznego. Przetrzył go długo w poczekalni, wreszcie wpadł zaferowany Bistrocchi, który, pamiętając o poprzedniej scysji, od razu zadeklarował pełną gotowość do współpracy.

Lojacono bez wstępnych ceregieli zapytał o to, co go interesuje.

Policjant w białym fartuchu rozłożył bezradnie ręce.

– Nic z tego, inspektorze, nawet tam nie było odcisków. Ewidentnie użyto rękawiczek również w tym momencie. Zresztą na tego typu przedmiotach rzadko znajdują się wyraźne odciski. Prawie nigdy nie dochodzi do bezpośredniego kontaktu z opuszkami...

Lojacono mu przerwał, nie miał czasu słuchać wykładu na temat daktyloskopii.

– Dobra, chciałbym zobaczyć ten przedmiot. Dałoby radę?

Zawiedziony Bistrocchi zniknął na moment i wrócił z zamkniętą przezroczystą foliową torbą, założył rękawiczki i wyjął zawartość. Czyli inną torbę.

– To w niej znajdowały się skradzione srebra. Jak pan widzi, z boku jest naddarta, może któryś z przedmiotów w trakcie przenoszenia rozciął plastik. Albo przy wrzucaniu do śmietnika.

Lojacono interesowało coś innego. Na boku torby widniało nadrukowane logo z napisem.

– Może pan obrócić ją tak, żebym widział wszystkie litery? – poprosił Bistrocchiego. Pochylił się i przeczytał.

Pierwsze potwierdzenie.

Aragona jechał na łeb na szyję do kancelarii notariusza, rozbryzgując na przechodniów fontanny wody, jednocześnie próbował wybrać numer na komórce. Musiał natychmiast skontaktować się z Ottavią. Na szczęście szybko odebrała.

– Cześć, miałam do ciebie niedługo dzwonić. Pamiętasz, prosiłeś o informacje na temat Adriana Florei, konkubenta gosposi notariusza? No więc jest czysty, żadnych konfliktów z prawem, żadnych kontaktów z notowanymi za przestępstwa albo...

Aragona prychnął:

– No jasne, mogłem się domyślić. Chciałem tylko mieć pewność na sto procent, bo od razu wyczułem, że to w porządku chłopak. Dość już tych uprzedzeń, że każdy imigrant to przestępca. Powiedz mi lepiej co innego: mamy oficjalny raport od informatyków?

– Jeszcze nie, nie spieszą się chłopaki. Czego ci trzeba?

– Chcę znać datę i godzinę wysłania maila z rezerwacją podróży do Jakiejstamnezji, który wyszedł z biurowej skrzynki notariusza. Uda się to załatwić?

Kiedy dotarł do kancelarii, miał już tę informację. Poprosił o spotkanie z notariuszem, który od razu kazał go wprowadzić do swojego gabinetu. Musiał się wysilać, żeby po drodze nie wymieniać spojrzeń z pracownikami. Lojacono bardzo go o to prosił.

Kiedy już znalazł się w gabinecie i upewnił, że drzwi są dobrze zamknięte, zadał notariuszowi pytanie, z którym przyszedł. Festa zareagował z niepokojem.

– To bardzo poufne dane. Nie można takich rzeczy pokazywać ot, tak po prostu, jesteśmy zobowiązani do ścisłej poufności...

Inspektor uprzedził go też co do potencjalnych oporów notariusza. Czas naglił, nie można się było bawić w procedury. Dlatego Aragona zagrał tak, jak to uzgodnił z kolegą:

– Jeśli chce pan się z tej sprawy wygrzebać, nie ma innego sposobu. Proszę to zrobić dla siebie, jeśli nie ze względu na pamięć żony.

Po krótkim namyśle Festa podniósł słuchawkę i stanowczym głosem wezwał do siebie Linę.

Lojacono złapał taksówkę i to był dla niego miły moment wytchnienia od lęku przed nagłą śmiercią w wypadku samochodowym albo perspektywą rozjechania tuzina niewinnych ludzi.

Deszcz lał bez ustanku, ruch uliczny jeszcze gęstniał, o ile to w ogóle możliwe, ulice zamieniały się w rwące potoki. Inspektor zapytał taksówkarza, ile im zajmie dojazd do celu, na co w odpowiedzi dostał tylko wymowne wzruszenie ramion.

Próbował dodzwonić się do Marinelli, która po ostatniej ich rozmowie, odbytej tuż po awanturze z matką, więcej się nie odzywała. Ale jej telefon milczał wyłączony.

Wykręcił więc numer Laury Piras, żeby zameldować o postępach prac. Odezwała się po drugim dzwonku.

– Cześć! Co się dzieje? Jakies nowiny?

– Chyba tak. Według mnie już jesteśmy blisko.

– Naprawdę? Weź, opowiadaj. Ze szczegółami.

Lojacono wszystko jej zrelacjonował, zaczynając od wizyty u notariusza, potem streścił rozmowę z Iolandą Russo. Podkreślił przy tym, jak zdanie wypowiedziane przez Aragonę rozdarło zasłonę i pozwoliło stworzyć nową hipotezę, którą teraz próbuje zweryfikować.

Słuchała z wielką uwagą, dopytując czasami o jakiś detal.

– To niesamowite, naprawdę niesamowite – stwierdziła. – Najbardziej mnie zaskakuje to, że istnienie Aragony okazało się mieć jakiś sens. Jak zamierzasz teraz działać?

Opowiedział o tym, co teraz po kolei sprawdzają. Aragona w kancelarii, on w laboratorium.

– Czyli idziesz do sklepu, prawda? – zapytała. – Chcesz zweryfikować napis na reklamówce. Istotnie, to wszystko się składa do kupy. Nie ukrywam, że taki sukces to byłoby błogosławieństwo, można by go rzucić w twarz tym, którzy chcieli

zamknąć Pizzofalcone. Ale na twoim miejscu postępowałabym ostrożnie. Musisz uzyskać pełne przyznanie się do winy, bo jak nie, to byle adwokacina obali twoją hipotezę w dwie sekundy. Macie dużo poszlak, ale żadnego dowodu.

– Jak to poszlak? Wszystko ci wyjaśniłem po kolei, to musiało tak być. Już wiemy, kto zabił De Santis i zapewne też jakie miał motyw.

– Tak, ale nie wydam ci nakazu zatrzymania na tak słabych podstawach. Nie można rozumować tylko przez eliminację wariantów mniej prawdopodobnych, potrzeba pewności, a ty w tej chwili nie masz dowodów. Dlatego uzyskaj przyznanie się do winy. To najtrudniejsze. A ja nie zdołam ci w tym pomóc.

Trawiony niepokojem Lojacono dotarł do sklepu. Od taksówki do wejścia miał ledwie kilka metrów, ale i tak przemókł do suchej nitki. Zagadnął jedną ze sprzedawczyń, udzieliła mu wskazówek. Musiał zejść na niższe piętro, na końcu pomieszczenia z gablotami z zastawą stołową i innymi prezentami ślubnymi stała witryna. Wyglądała jak wierna kopia regałów, jakie widział na miejscu zbrodni.

Podszedł z rękoma w kieszeniach, z płaszczu ściekały mu strużki wody, tworząc kałużę na lśniącej posadzce. Za szybą uwodzicielsko uśmiechała się do niego tancerka z ukulele. Nie odwzajemnił uśmiechu.

Po paru minutach wyszedł ze sklepu z torbą identyczną – poza rozdarciem na boku – jak ta przechowywana w laboratorium kryminalistycznym.

W tym samym momencie zawibrowała mu komórka. Podekscytowany Aragona meldował, że w kancelarii uzyskał potwierdzenie tego, czego szukali.

Teraz muszą tylko zamknąć sprawę, jak to określił aspirant.

Co było, jak z kolei zauważyła Piras, najtrudniejszą rzeczą do zrobienia.

Mając w garści już wszystkie potrzebne elementy, wrócili na komisariat. Odbyła się krótka, ale intensywna narada zwołana przez Palmę. Dla wszystkich było jasne, że od skuteczności wybranej strategii zależy nie tylko rozwiązanie sprawy, ale też dalszy los ich placówki. Lojacono i Aragona opowiedzieli, kim jest zabójca Cecylia De Santis i jak do tego doszli. Ostateczną pewność dało im zestawienie informacji zebranych w laboratorium, w kancelarii notarialnej i w sklepie z luksusowym wyposażeniem wewnątrz. Kiedy skończyli mówić, zapadła pełna skupienia cisza.

Romano i Di Nardo podzielali zdanie Aragony, który rwał się do aresztowania, bo to wszystko, co zostało ustalone, wystarczało jego zdaniem, by sformułować nakaz, który da się obronić pod względem prawnym. Palma i Pisanelli, bardziej doświadczeni, namawiali, by zachować zimną krew. Naoglądali się już dość przypadków, gdy ewidentny przestępca wychodził na wolność, bo policja zadziałała zbyt pośpiesznie i niechlujnie.

Ottavia podzielała tę opinię.

– To prawda. Ale z drugiej strony, jeśli na tym etapie przekazemy nasze ustalenia prokuraturze, to inni dokończą za nas dochodzenie. A jeśli wiemy z całą pewnością, kto zabił, to będzie niesprawiedliwe, że inni zamkną sprawę. Zwłaszcza że od tego zależy nasza przyszłość. Ja bym zaufała inspektorowi, według mnie uda mu się uzyskać przyznanie się do winy. Niech spróbuje, razem z Aragoną.

Pisanelli miał jeszcze obawy, że w ten sposób sprawca błyskawicznie się zorientuje, że już są na jego tropie i zdąży zorganizować sobie odpowiednią obronę. Ale musiał też przyznać, że nie ma innego sposobu, by ocalić komisariat.

Dlatego Lojacono i Aragona stali teraz w strugach deszczu, po bezskutecznych poszukiwaniach jakiegoś choćby częściowego schronienia, w świetle latarni rozbijanej przez wiatr, czekając, aż osoba winna śmierci Cecylia De Santis raczy łaskawie wyjść z kamienicy naprzeciwko.

Obaj byli bardzo spięci i już od dłuższego czasu nie rozmawiali. Aragona co jakiś czas wycierał okulary przemoczoną chusteczką. Lojacono zastanawiał się, jak u diabła, kolega jest w stanie cokolwiek dojrzeć przez te absurdalne niebieskie szkła zroszone deszczem.

Wreszcie ten, na którego czekali, wyszedł z bramy. Przystanął, by oszacować odległość od luksusowej limuzyny, którą trzeba było odstawić do garażu. Westchnął i naciągnął skórzane rękawiczki. Policjanci wyłonili się z cienia i szybko przeszli ulicę, nie dbając o omijanie kałuż. Przystanęli po obu stronach zabójcy Cecilii de Santis.

– Wsiądźmy do samochodu – warknął Lojacono. – Mamy do pogadania.

Aragona usadowił się na środku tylnej kanapy, Lojacono na fotelu pasażera.

– Mamy do pogadania... a o czym mamy do pogadania, panie inspektorze? – zapytał zabójca. – Wszystko, co wiem, już wam powiedziałem. Wszystko.

– Nie, drogi De Lucia, nie wszystko. Wiemy o tym, bo kiedy rozmawialiśmy pierwszy raz, stwierdził pan, że Cecilia siedziała zamknięta na głucho w mieszkaniu, ale przecież nie mógł pan o tym wiedzieć. Notariusz zeznał, że podczas ostatniej rozmowy telefonicznej żona mówiła mu, że dopiero co zamknęła okna i ściągnęła rolety, łącznie z tą, którą nieco wcześniej naprawił portier. A zwykle tego nie robiła. Wiemy o tym, bo tylko pan i pani Rea macie hasła do komputera w gabinecie notariusza, ale koleżanka tak naprawdę nie umie go używać. Z kolei właśnie z tego komputera zrobiono rezerwację podróży z zastrzeżeniem możliwości zmiany jednego z nazwisk w przeddzień wyjazdu. Do zmiany miało być nazwisko notariusza, bo to pan miał ruszyć w tę podróż z jego żoną. Wiemy o tym, bo e-mail z rezerwacją został wysłany o dziesiątej trzydzieści 5 marca, a jak wynika z repertorium aktów notarialnych, o tej godzinie notariusz przyjmował testament w mieszkaniu na via Posilippo. Wiemy o tym, bo reklamówka, w której wyniesiono rzekomo skradzione srebra, a potem wyrzucono je na śmietnik, to ta sama, w której szklana kula, przyszłe narzędzie zbrodni, trafiła do mieszkania. Wcześniej tej kuli tam nie było. To pan ją kupił w sklepie, do którego nieraz zawoził panią Cecilie. Dokonał pan zakupu, twierdząc, że to na zlecenie żony szefa. Sprzedawczynie doskonale to pamiętają. Wiemy o tym, bo brak odcisków palców na miejscu zbrodni wynika stąd, że miał pan te rękawiczki. Używa ich pan, kierując limuzyną notariusza, żeby nie zabrudzić drewnianej kierownicy atramentem z weksli, którymi zajmuje się pan w biurze. Wiemy o tym, bo zażyłość, jaka wynikała z wieloletniej

pracy dla notariusza, czyni prawdopodobną sytuację, że Cecilia De Santis otworzyła panu drzwi w szlafroku. Wiemy wszystko, z wyjątkiem jednego. Dlaczego pan to zrobił.

Nastąpiła cisza, która dla obu policjantów trwała całą wieczność.

Gruby człowieczek siedział z pochyloną głową, zmoczona zaczeska smętnie przylegała do czaszki, dłonie w rękawiczkach nieruchomo spoczywały na kierownicy. Kolejna fala deszczu chlusnęła o przednią szybę.

Wreszcie uniósł oczy, błędząc wzrokiem za jakimiś myślami. I przemówił, zaczynając jak zwykle od powtórzenia ostatniego zdania, jakie usłyszał.

Dlaczego to zrobiłem. A według was sam siebie o to nie pytałem? Według was nie pytam się o to w każdej minucie, od kiedy to się stało? Kto wie, dlaczego to zrobiłem.

Wiem tylko, że zrobiłem, a moje życie skończyło się w tamtej chwili wraz z jej życiem. On na nią nie zasługiwał. Nie zasługiwał. Jest głupim gnojkiem, głupim, nadętym gnojkiem.

Lubi kobiety, żadnej nie przepuści. Ech, ile ja przez te lata się kobiet wokół niego naoglądałem. W każdym wieku: młodych, dojrzałych, czasem ledwo pełnoletnich. Wiedziałem o wszystkim, bo potrzebował mnie, żebym go krył. Ile ja się musiałem nakłamać, kiedy on, zamiast pracować albo siedzieć w domu, uganiał się za dupami na prawo i lewo. A wszystko przecież zawdzięczał żonie, dała mu nawet kasę, kiedy się szykował do zdawania na aplikację. A klienci, znajomości? To dzięki niej poznawał ważnych ludzi. Wszystko jej zawdzięczał.

Moje miejsce to jak fotel w pierwszym rzędzie. Widać mnóstwo rzeczy, dużo można zrozumieć. Przez tyle lat zdążyłem się przekonać, co z niego za facet. I jaka ona jest cudowna. Była. Bo już nie żyje, prawda? Ja ją zabiłem.

On mi mówił: Rino, wyświadcz mi tę przysługę, żona chce pojechać gdzieś tam, zawieź ją dłuższą drogą albo udawaj, że wóz ci się zepsuł, wróć jak najpóźniej, żebym mógł się wyrobić. Kapujesz, nie? I puszczał do mnie oko. Ależ mnie to brzydziło. Mówił: rozumiemy się jak facet z facetem, prawda?

Ale co i jak miałem zrozumieć, siedząc w wynajętym pokoju z książką albo przy telewizorze, kiedy on się rozbijał po najlepszych hotelach z efektownymi kobietami, wydając kasę, którą zarabiał także dzięki niej? Mimo to byłem zadowolony.

Cieszyłem się, bo mogłem z nią przebywać. Cudowna kobieta. Cierpiała, i to jak cierpiała. On sądził, że może z niej robić idiotkę, ale ona wszystko rozumiała, wszystkiego się domyślała. Zachowywała ból dla siebie, nie spotykała się już z nikim, bo każda znajoma osoba zaczynała oczywiście od tego, żeby opowiedzieć o ostatnich przygodach męża. Co za świnię, mówię wam. Sprawia im radość cudze nieszczęście. Czasami nawet w samochodzie, kiedy ją dokądś wiozłem, zagadywali: co ty, nie widzisz? Nie rozumiesz? Tizia przywazyła go na Capri z tamtą, a Caia w Sorrento z jeszcze inną. Cecilia uśmiechała się tylko, rzucała krótko: nic mnie to nie interesuje, i zmieniała temat. Ale wiedziałem, jak w środku ją to boli.

Ze mną rozmawiała. Jako jedyna ze mną rozmawiała. Bo poza tym nikt ze mną nie rozmawiał. Kancelaria to gniazdo żmij, jak posadzić razem trzy kobiety, to jest gorzej niż w Strefie Gazy, nieustanna wojna. Lepiej się nie wtrącać. Prowadzę ciche wycofane życie, nie szlajam się wieczorami. Ona jako jedyna ze mną rozmawiała. A co mieliśmy robić? Cecilia w luksusie, ja w nędzy, ale oboje byliśmy samotni. Mogliśmy się chociaż nawzajem wspierać. I się wspieraliśmy. Zwykliśmy jeździć do Bagnoli nad morze. Jest tam taki mały nędzny barek, rodzaj pawilonu przy plaży, dwa, trzy stoliki. Cisza, spokój i na pewno nie można spotkać nikogo z jej środowiska. Dzwoniła po mnie, mówiła mężowi, że potrzebuje coś kupić, a on od razu: Rino, podjedź po moją żonę i zawieź ją, tylko niech to trwa jak najdłużej. I puszczał oczko. Ale Cecilia też się śmiała, mówiła potem, że to jedyna sytuacja, kiedy to ona robi go w konia.

Siadaliśmy i gawędziliśmy. Zamawiała herbatę, w zimie gorącą, latem mrożoną. Ja płaciłem. Zależało mi na tym. Mężczyzna funduje swojej kobiecie, prawda? Nawet jeśli ona jest bogata, a ty prawie nie masz grosza przy duszy. Festa jest bogaty, przystojny, uwodzicielski. Ale jest z plastiku. Zawsze ją wykorzystywał. A przy mnie nie musiała nawet za herbatę płacić. Trzymaliśmy się za ręce. Pamiętam pierwszy raz, kiedy wzięła mnie za rękę, ja nigdy sam pierwszy bym się nie odważył.

Pytałem, dlaczego to wszystko znosi. Odpowiadała smutno: to mój mąż. Według mnie miała nawet poczucie winy wobec tego gnojka, bo nie dała mu dzieci, bo nie była dość piękna, a tymczasem była bardzo piękna. Nie poznaliście jej, nie widzieliście, jak patrzy na morze albo jak nagle zaczynała się śmiać. Była piękna. W ostatnim roku przeżywała piekło. Bo trafiła się ta ruda. Inna niż te wszystkie zdziwy, które dotąd brał sobie na dwa dni, a potem wyrzucał... elegancka kolacja,

luksusowy hotel, rano bukiet róż, które kazał mi dostarczyć. Wkładał mi do kieszeni pieniądze i karteczkę, mrugając tym swoim pieprzonym okiem. Ta była inna.

Od razu się zorientowałem, kiedy pierwszy raz zjawiała się w kancelarii w jakiejś służbowej sprawie. Ostra, bezpośrednia, twarda. Festa zaraz zrobił maślane oczy, ona się uśmiechnęła, tak jak zwykle każda reagowała. Ale w tym jej uśmiechu widziałem drapieżne zwierzę, które zwęszyło ofiarę. Nie zdziwiłem się, kiedy zaczęli już się ze sobą prowadzić na stałe. Cecilia od razu się dowiedziała. To jasne, że jej koleżanki nie czekały z podzieleniem się dobrą nowiną. Biedna. Miała nadzieję, że mu przejdzie. Ale nie przeszło.

Myślę, że trzymała się tego, że tak czy siak pozostaje jego żoną. Że on po wszystkich przygodach i tak wraca do niej, do domu. Że inne wypełniają mu czas, dają jakąś satysfakcję, chronią go przed lękiem, że robi się stary. Ale to ona jest bezpiecznym portem, pozwala mu okazywać słabość i zwinąć się w kłębek na kolanach mamusi. Może to on był tym dzieckiem, którego razem nie mieli. Może czuła się mamą, a mamy się nie opuszcza. Ruda jednak nie zamierzała dać się potraktować tak jak poprzednie. Chciała go mieć całego. Potrzebowała prestiżu, pieniędzy, znajomości. Wreszcie trafił na taką jak on sam albo jeszcze gorszą. Bystra babka. Powoli przymusiła go, żeby pokazywał się z nią publicznie, nie zważając na to, że facet wychodzi na skończonego idiotę i w dodatku ośmiesza też żonę. Jak taka się uprze, to nikt jej nie stanie na drodze.

Któregoś dnia Cecilia zadzwoniła po mnie, zastałem ją spuchniętą od płaczu. Nie wrócił na noc i nawet jej nie uprzedził. Dzwoniła do niego, a on odebrał i odpowiedział: zostaw mnie w spokoju. W tle słyszała śmiech kobiety. Opowiadała mi o tym w rozpaczy, w naszym barku nad morzem. Staralem się ją uspokoić. Mówiła mi: takiego jak ty faceta powinnam znaleźć. Szukałam poza swoim środowiskiem, bo ono mnie brzydzi. Ale powinnam znaleźć sobie takiego jak ty.

Dopiero wtedy zaczęłam o tym myśleć. Wcześniej nawet mi się nie śniło, że taka kobieta, królowa, bogini mogłaby na mnie inaczej spojrzeć. Ale przecież sama to powiedziała, prawda? Że szkoda, że nie znalazła takiego jak ja. No więc miałem prawo zacząć o tym myśleć, nie?

Powtarzała zawsze, że któregoś pięknego dnia sama odejdzie. Zamieszka gdzieś nad morzem, gdzie są palmy i biały piasek. Śmiała się, że to marzenie każdej kasjerki czy fryzjerki. I że może w głębi duszy jest taką prostą fryzjerką. Odpowiadałem, że w takim razie ja ją w takie miejsce zabiorę. Dalej się śmiała. Mówiła, że

musielibyśmy się ukryć w ładowni statku, jak niewolnicy z Afryki przewożeni do Ameryki. Ależ ona była piękna, kiedy się śmiała, nawet sobie nie wyobrażacie.

Potem któregoś dnia przysłała do kancelarii ta ruda, weszła do jego gabinetu i zaczęła wrzeszczeć jak opętana, wszystko słyszeliśmy. Rea siedziała z głupią miną, cała czerwona. Jest w nim zakochana po uszy, ale on nawet na nią nie spojrzy, oczywiście, mało brakowało, a pobiegłaby go bronić. No więc tamta wrzeszczy, że dziecko w drodze i że nie wytrzyma już takiego życia w cieniu. Że ona da mu dziecko, czego tamta nieszczęsna stara nie mogła mu dać, a więc chce zająć należne sobie miejsce. Tak się wyraziła: tamta nieszczęsna stara. Imma i Marina, te dwie kretynki, popatrzyły po sobie i zaczęły się chichrać.

Nie mogłem tego znieść: dwie gęsi nabijają się z najlepszej kobiety na świecie, z powodu tego żalostnego typu, który nie umie trzymać zamkniętego rozporka. No i wtedy się zdecydowałem. Miałem pieniądze, pomału coś tam odłożyłem, ale nie tyle, żeby starczyło na podróż. Dlatego musiałem skorzystać z konta kancelarii, którego używamy do obrotu wekslami, gdzie wpływają zainkasowane środki. To spore sumy, stan konta zawsze jest wysoki, zorientowałiby się dopiero po miesiącu, a wtedy byłoby już za późno, bo ja i Cecilia odpłynęlibyśmy daleko, daleko. Szczęśliwi. Nareszcie.

Bo jeśli potrafiliśmy być szczęśliwi w Bagnoli przy zardzewiałym stoliku nad brudnym morzem, to w takim magicznym miejscu poczulibyśmy się jak w raju. Zarezerwowałem wyjazd na jego nazwisko, ale upewniłem się, do kiedy można zmienić dane uczestników. Miałem dość czasu. Musiałem tylko jakoś to jej zakomunikować.

Odczekałem do właściwego momentu, kiedy ten kutas znów zorganizował sobie weekend z rudą. Sam ich odwiozłem i wiedziałem, że nie wrócą przed poniedziałkiem. Dobrze się przygotowałem. Musiałem to powiedzieć Cecilii czule, ale stanowczo. Rozumiałem, że to dla niej trudny wybór. Ale konieczny, rozumiecie? Jedyne rozwiązanie, żeby znaleźć chociaż trochę szczęścia, też mieliśmy do niego prawo. Nie mieliśmy prawa do odrobiny szczęścia? Zdecydowałem się przyjść z jakimś stosownym prezentem, żeby od razu zrozumiała, że może na mnie liczyć. Podjechałem do sklepu przy via Duomo, którego była stałą klientką. Zabierała mnie do środka, bardzo się jej podobały te wszystkie kule, boules de neige... śnieżki, jak je nazywała. Kiedyś zapytałem, dlaczego tak je lubi. A ona na to, że kiedy się patrzy w taką kulę, to można marzyć o przyszłości, która nie nadejdzie, ale przez moment

wydaje się prawdziwa. Była przepiękna, kiedy się uśmiechała, chyba już wam to mówiłem. Pojechałem więc do sklepu i poszukałem kuli, która by opowiadała o miejscu, dokąd chciałem Cecilię zawieźć. W ten sposób chciałem ogłosić jej tę nowinę. Nie mogła już siebie oszukiwać, udawać, że nie widzi rzeczywistości. Ruda urodzi dziecko, a mąż odejdzie. To jasne.

Warto było więc uprzedzić jego ruch i wyjechać. Pieniądze mogły zostać wszystkie przy nim, ja bym o nią zadbał. Coś bym wymyślił, coś znalazł.

Otworzyła mi od razu, ze strachem w oczach. Na zewnątrz szalała wichura i ulewa, fale dochodziły do czwartego piętra, pozasłaniała wszystkie okna. Ale otworzyła mi od razu i pierwsza rzecz, to zapytała, czy coś mu się stało złego. Temu gnojkwowi. To nie wróżyło dobrze na początek, co? Może powinienem się zorientować po tym pytaniu i się wycofać. Byłaby żywa, a ja wolny. Ale wolny do czego? Uspokoilem ją, że nie, że z notariuszem wszystko w porządku, że czuje się lepiej ode mnie i od niej razem wziętych. Że jak zwykle siedzi w willi w Sorrento, popijając na golasa szampana z rudą i rozmyślając o ich przyszłości. Przyszłości szczęśliwej rodzinki – on, ona, ich dzieci i pieniądze Cecylii. Byłem twardy, wydawało mi się, że najwyższa pora, aby przejrzała na oczy i zrozumiała to, co dla mnie było jasne. Aż za jasne.

Słuchała, patrzyła na mnie i milczała. Musiałem podnieść głos, wiatr i morze waliły o okna, jakby chciały wdrzeć się do mieszkania. Wszystko wyglądało jak na filmie. Powiedziałem, że musimy wyjechać, że my też mamy prawo do szczęścia. Powiedziałem, że mamy zarezerwowany wyjazd, że nie musi niczego zabierać, tylko siebie, że ja się zajmę całą resztą. Ślizgała się wzrokiem po tych swoich śnieżnych kulach, widzieliście, ile tego jest. Setki, setki, ułożone według krajów, pełne różnych historii, pokazujące wyśnioną przyszłość jak kula Cyganki na jarmarku.

Potem przemówiła. Stwierdziła, że w głębi serca czuje, że nie może być dla niej szczęścia bez niego. Że go kocha, zawsze kochała. Że on na pewno wróci, bo zawsze wracał. Że go przyjmie z powrotem, nawet z dzieckiem. Że wszystko można rozwiązać pieniędzmi, jak zwykle. Że bardzo jej przykro, że jest jej mnie szkoda, ale nie ma zamiaru donikąd wyjeżdżać.

I odwróciła się do mnie tyłem.

Nie wiem, czy to słowa, że jej mnie szkoda, czy dlatego, że się odwróciła. Poczulem się skreślony, wyrzucony. I trochę oszukany. Jak śmiała tak sobie odejść?

Byłem nikim? Nie zasługiwałem na przytulenie, na parę łez? Na to, żeby się trochę uzalić?

Przypominam sobie, jak się wściekłem w tamtej chwili. Nie pamiętam, co myślałem i co zrobiłem. Ale zrobiłem. Ciągle stałem pośrodku pokoju, w rękawiczkach, w których prowadzę ten samochód, z reklamówką w jednej ręce i szklaną kulą w drugiej. A ona się odwraca i odchodzi.

Może zamierzałem ją tylko zatrzymać. Może pragnąłem pozbyć się tej kuli, znaku wszystkich moich złudzeń. Kto wie? Faktem jest, że nią rzuciłem. Prosto w głowę, kiedy Cecilia szła do sypialni, żeby płakać w poduszkę, jak co noc.

Po jakimś czasie zobaczyłem, jak leży na ziemi i nie oddycha. Zacząłem szybko myśleć, bałem się. Zgarnąłem trochę sreber, które stały pod ręką, wsadziłem do torby i wyszedłem. Potem znalazłem kontener na śmieci i wszystko wyrzuciłem. Usiadłem na murku, miałem nadzieję, że morze jest tak wzburzone, że mnie zabierze. Może aż na tamtą daleką wyspę.

Może tam bym ją zobaczył, na plaży, jak czeka na mnie z uśmiechem.

Była piękna, kiedy się śmiała. Przepiękna.

Mówiłem wam, jaka była piękna?

Brat Leonardo, proboszcz parafii Santa Maria Annunziata, westchnął teatralnie:

– Teodorze, posłuchajże wreszcie, jesteśmy zakonnikami, rozumiesz? Nie możesz nas pytać codziennie, co chcemy zjeść na obiad, proponując dania, których nawet w restauracji nie uświadczysz. Rób, co chcesz, ale wydawaj oszczędnie, bo marnie stoimy z kasą, to chyba dla ciebie jasne.

Brat Teodor podrapał się w łysą głowę.

– Znaczy, jak jesteśmy zakonnikami, to mamy nic nie jeść? Przestrzegam wszelkich nakazów i postów. Wiem, co można jeść, a czego nie można. Mięsa staram się unikać, wydaję jak najmniej. Ale co w tym złego, że nawet soczewicę staram się przyrządzić jak najsmaczniej? To w końcu dar Boży, jak wszystko inne.

Leonardo przyjął pozę na tyle frasobliwą, na ile pozwalał mu wzrost niewiele przekraczający półtora metra. Zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu wchodzić w dłuższe spory z kucharzem, zwłaszcza kiedy za drzwiami zakrystii czeka kolejka wiernych do spowiedzi.

– Dobra, rób jak uważasz, muszę iść spowiadać, zresztą mógłbyś raz czy drugi mi pomóc, a nie wciąż chować się za obowiązkami kuchennymi. Bo jak nie, to nasi wierni zmieniają zdanie i zamiast wyznawać stare grzechy zaczną popełniać więcej nowych.

Teodor, który w przeciwieństwie do Leonarda był postawny i tęgi, zarumienił się lekko.

– Wiesz, że ja do spowiadania... no, jeśli mogę, wolę tego unikać. Czuję się skrępowany, nie umiem tego wyjaśnić, wiele razy o tym rozmawialiśmy. Wydaje mi się, że zaglądam ludziom do domów, do ich najciemniejszych pokoi.

Drobny zakonnik przerwał nagle zakładanie szat liturgicznych i spojrzał zdumiony na współbrata.

– Teodo', mam nadzieję, że żartujesz, bo jeśli nie, jest to grzech ciężki. Kapłan ma święty obowiązek spowiadać, składałeś śluby posłuszeństwa. Wiem, że to niełatwe, a może nawet nasze najtrudniejsze zadanie, ale wyobrażasz sobie, co by się

działo, gdybyśmy się od niego uchylali? Kto by dał pociechę tym udręczonym duszyczkom? Kto pomógłby im odnaleźć spokój? Masz więcej nie gadać takich rzeczy!

Teodor patrzył zmieszany na ziemię.

– Masz rację, na pewno. Ale jeśli dałoby radę, prosiłbym o zwolnienie mnie od spowiadania. Mogę zajmować się wszystkim innym, a ty masz jeszcze Pietra, Roberta i Samuela, nie? Jeśli to absolutnie konieczne, jestem tu, ale gdyby udało się uniknąć...

Leonardo poczuł, że robi mu się żal tego wielkiego chłopca z tak miękkim serduszkim. Podszedł i klepnął go w ramię.

– Spoko, nie martw się. Wiem, że nie lubisz, i jeśli zdołamy tego uniknąć, to unikniemy. Ale teraz pozwól mi już iść. Na obiad zrób, co tam sobie wymyślisz. Na pewno znowu będzie dobre, że aż palce lizać. I nikt z nas nie pożałuje, że wstąpił akurat do tego zakonu.

Ogarnął go chłód przepastnego kościelnego wnętrza. Szum ulewy dochodził tu przytłumiony, wielkie witraże wpuszczały nieco szarego światła. Doświadczonym wzrokiem omiótł ławy. Poza tymi samymi co zawsze trzema staruszkami, które przychodziły na wieczorny różaniec dla zabicia czasu, była grupka młodych z gitarą – ćwiczyli śpiewy przed niedzielą – i cztery osoby w pobliżu konfesjonału, tego najbardziej oddalonego od ołtarza.

Uklonił się jednej ze staruszek z chustką na głowie, pogwarzył chwilę z młodymi, chwając ich gorliwość i wreszcie zbliżył się do oczekujących na spowiedź.

Westchnął. Teodor wiedział, co mówi, czasami trudno wziąć na swoje barki cierpienia i mroczne sprawy, które każdy nosi w sobie. Na szczęście wielu wiernych Leonardo znał na wylot, tak jak troje z tych obecnych. Wdowa w podeszłym wieku – wciąż ma nieczyste myśli i dość nieprzyzwoite sny, których wstydzi się natychmiast po przebudzeniu; pobożny młodzieniec – przeżywa kryzys dorastania i czasami ulega pokusie dręczenia zwierząt i szpecenia ścian budynków sprayem; żona zdradzająca nieświadomego męża z sąsiadem, który jest biologicznym ojcem jej dziecka. Drobnymi seryjni grzesznicy, oczyszczający duszę paroma modlitwami, zanim ją zbrukają w ten sam sposób.

Czwarta osoba była całkiem nowa. Kiedy zmierzał pospiesznie w stronę konfesjonału, w zbyt obszernych szatach podobny do dzieciaka wystrojonego w sukienkę matki, Leonardo na moment przypomniał sobie o Pisanellim. Bo coś mu go przypominało w sylwetce tego mężczyzny klęczącego w oczekiwaniu na spowiedź, w jego zafrasowanej minie.

Spowiadając wdowę i chłopaka, raz po raz myślał o policjancie. Po samobójstwie żony Pisanelli coraz bardziej tracił wolę życia i oddalał się od świata. Nawet do syna dzwonił coraz rzadziej. Przyjaciel wyznał mu kiedyś, że czuł się niezręcznie, kiedy pytał o szczegóły życia swojego potomka, który stał mu się już całkiem daleki nawet we wspomnieniach. Poza tym ta choroba... pomimo napomnień zakonnika wicekomisarz wcale nie chciał jej leczyć.

Leonardo bardzo lubił Giorgia. Było mu przykro, że jego stary druh nie odnajduje żadnej pociechy w wierze, ale wiedział, że tego nie da się komuś narzucić. Chciałby, żeby odzyskał ochotę na życie albo żeby się już z nim rozstał na dobre. Ta zawieszona w próżni rozpacz i obsesja na punkcie badania przypadków samobójstw zapewniały mu energię niezbędną do przetrwania, ale było w tym coś chorego.

Nigdy niewidziany w tym kościele mężczyzna podszedł, ukląkł przy konfesjonale i ciężko westchnął.

– Ojczy, wybacz mi, bo zgrzeszyłem – zaczął.

Opowiedział, że jest emerytem, żyje samotnie od wielu lat i że do niedawna przy życiu trzymała go tylko praca. Nie ma przyjaciół, nie utrzymuje kontaktów z krewnymi.

Leonardo poczuł, że jeszcze bardziej przypomina mu Giorgia.

Mężczyzna przyznał, że miał przez wiele lat relację uczuciową z zamężną koleżanką z pracy, to była długa i niespełniona miłość. Opowiedział o nagłej śmierci kobiety kilka tygodni temu i o pustce, jaką to zostawiło w jego sercu. Wyznał, że nie popełnił żadnych cięższych grzechów, nie w konwencjonalnym sensie. Ale że od pewnego czasu ogarnia go silne pragnienie śmierci. Jest wierzący i wie, że takie tęsknoty to grzech ciężki. Nie ma odwagi położyć kresu swemu życiu, zresztą ono nie należy do niego. Ale czy to nie grzech, ojczy, pragnąć śmierci i modlić się o nią do Boga każdego ranka? Czy to nie jest odwracanie się plecami do woli Pana?

Gaz, pomyślał Leonardo. To jest typ w sam raz do śmierci przez otrucie gazem. Żyje w mieszkaniu sam. Nikt go nie odwiedza, nikt nie dzwoni. Znajdą go za późno,

jeśli okna będą dość szczelne.

Giorgio, biedny mój przyjacielu, pomyślał Leonardo. Nie rozumiesz, jaka to wielka łaska, kiedy ktoś chce rozstać się z życiem, z egzystencją złożoną z milczenia i pustki, gdzie każde wspomnienie to cios w serce, jaka to wielka łaska spotkać kogoś, kto weźmie cały ciężar na siebie? Nie zdajesz sobie sprawy, jak trudno wspierać tych nieszczęśników, pozwalając, by nie plamili swoich sumień strasznym grzechem? Nie widzisz, że ten, kto czyni ten akt najwyższego miłosierdzia, prowadzi ich prosto do raju?

Mężczyzna przerwał spowiedź, żeby wypłakać się nad własną samotnością. Czekając, aż mu przejdzie, Leonardo rozmyślał o anielskim chórze, który ustawi się szpalerem, gdy ten człowiek będzie wstępował do Królestwa Niebieskiego. Wszystkich tych ludzi jego troskliwa dłoń przeprowadziła na anielską stronę, pomogła wykonać ten ostatni krok, którego dotąd nie mieli odwagi zrobić samodzielnie. Na pewno jeden za drugim powtórzyli Ojcu w niebiosach, jakim jest świętym braciszkiem.

Udzielił rozgrzeszenia mężczyźnie. Wyciągając z kieszeni habitu kartkę i długopis, poprosił:

– Synu, zapisz mi swój adres. Przyjdę kiedyś ci potowarzyszyć. I udzielić pociechy.

To Ottavia wpadła na pomysł z kolacją po pełnym zamieszaniu poranku.

Telefon nie przestawał dzwonić ani na chwilę. Wozy transmisyjne głównych stacji telewizyjnych od wczesnego ranka tłoczyły się przy bramie, utrudniając przejazd samochodom, które niemiłosiernie trąbiły w deszczu. Guida przy wejściu kierował ruchem dziennikarzy i kamerzystów. Ktoś z komendy zadzwonił i kazał Palmie wziąć udział w konferencji prasowej, podczas której wyjaśni w szczegółach, jak udało się ustalić winnego. Później komisarz opowiedział swoim podwładnym, że się wykręcił, mówiąc, że to był naturalny skutek współdziałania wszystkich osób, które dostał do swojej dyspozycji. I niech konferencje prasowe sobie urządzają ci, co mają parcie na szkło, oni w Pizzofalcone nie szukają rozgłosu, są tylko policjantami.

W zespole uzgodnili, że nie będą wskazywać na Lojaco i Aragonę jako tych, którzy poprowadzili dochodzenie. Dla ludzi z zewnątrz to miał być wspólny sukces całej ekipy. „A teraz niech spróbują nas zamknąć” – skomentował kwaśno Aragona, w duchu trochę żałując, że nie wystąpi przed kamerami. W końcu miał niewątpliwą zasługę: gdyby nie wspomniał mimochodem o awanturze, którą Russo urządziła w kancelarii, krzycząc na cały głos, że jest w ciąży, Lojaco nigdy nie wzięłyby pod uwagę faktu, jak duże wrażenie to zajęcie wywarło na De Lucii. Właśnie w tamtym momencie zakochany Rino poczuł, że ma prawo zorganizować potajemną ucieczkę z żoną notariusza.

Zabójca przyznał się do winy i podpisał zeznanie. Nie wybrał sobie adwokata, otrzymał więc obrońcę z urzędu. De Lucia wyglądał na kogoś, kogo przestał obchodzić własny los. Palma zawiadomił notariusza, a ten nie mógł uwierzyć własnym uszom. Komisarz podejrzewał, że Festa nosi w sobie poczucie winy za wszystko, co się zdarzyło. Około pierwszej, gapiąc się na wciąż dzwoniący telefon, Ottavia zaproponowała:

– A co byście powiedzieli, gdybyśmy wieczorem poszli na pizzę gdzieś, gdzie nie ma zasięgu?

Palma, stojąc przy oknie mokrym od deszczu, zawołał:

– Świetny pomysł, ja stawiam, oczywiście.

Romano dał znak, że się zgadza, Pisanelli również, Alex przytaknęła.

Lojacono zaproponował:

– Znam odpowiednie miejsce. Zaraz zadzwonię i zarezerwuję.

Aragona zaśmiał się serdecznie.

– Dobrze sobie, jedyny przyjezdny i znasz najlepsze lokale?

Letizia przeznaczyła dla nich osobną salkę. Palma zaproponował im, żeby przyprowadzili ze sobą, kogo chcą, ale nikt nie przyszedł w towarzystwie.

Aragona skomentował, że równie dobrze mogli zamówić pizzę na komisariat i że oto widać jak na dłoni, że policjanci to samotne wilki. Na ten cytat z jakiegoś amerykańskiego serialu odezwał się gromki chór protestów. Palma zapytał Ottavię, dlaczego nie pojawiła się z mężem. Zarumieniła się i odparła, że wolał zostać w domu z synem. Nie miała odwagi wyznać, że nawet nie spytała, czy mąż ma ochotę przyjść.

Letizia była uważną i uroczą gospodynią wieczoru. Przyniosła gitarę i zaśpiewała kilka piosenek w dialekcie, budząc powszechny entuzjazm. Parę razy koledzy robili aluzje do jej tęsknych spojrzeń rzuconych w stronę Lojacono, który opowiedział, w jaki sposób się zaprzyjaźnili z właścicielką tego przybytku.

– Ciekawe, jakim cudem nie ważysz sto pięćdziesiąt kilo? – rzucił Pisanelli, mocząc kolejny kawałek chleba w sosie.

– Przede wszystkim nie rozumiem, czemu nie idziesz z nią do łóżka. – Aragona popatrzył łakomie na obfity biust Letizii obsługującej w tej chwili stolik w sąsiedniej sali.

Romano szturchnął go z całej siły łokciem.

– No co? Co ja takiego powiedziałem? Nic w tym złego – bronił się aspirant. – Sympatyczna, świetnie gotuje, odlotowo ładna, Lojacono jej się podoba. Jest policjantem, nie księdzem.

– Przyjaźń to piękna rzecz, Arago'. Nie można jej popsuć.

Di Nardo skomentowała cicho:

– Seks wcale nie niszczy przyjaźni. To tylko dodatkowy sposób komunikacji, nic więcej.

Lojacono rozważał w duchu te słowa. Przyszła mu na myśl Laura Piras. Sposób komunikacji. A tymczasem Marinella nie odpowiadała na jego telefony. Jutro będzie

musiał zadzwonić do jej matki, żeby się dowiedzieć, co się dzieje.

Świetne jedzenie, dobre wino, śpiew, ogólna euforia sprawiły, że pomimo obaw wieczór okazał się wielkim sukcesem. Aragona, zdecydowanie już pijany, wstał i zawołał:

– Niech no ktoś się teraz odważy nazywać nas Bękartami z Pizzofalcone. Albo, wiecie co? Niech dalej tak mówią, to fajna nazwa. Powinniśmy sami sobie wymyślić dobre ksywy. Takie jak na amerykańskich filmach. Ty, Lojacono, możesz być Chińczykiem. A Romano – klepnął kolegę w ramię – będzie Hulkiem!

Francesco spojrzał krzywo.

– Nie opłaca ci się ta zabawa, bo na pewno zostałbyś Krzywym Ryjem.

Całe towarzystwo śmiało się do rozpuku i właśnie w tej chwili weszła Laura Piras, ściągając na siebie uwagę wszystkich mężczyzn. Miała na sobie jasne dzinsy, wysokie buty, granatowy płaszcz zarzucony na prostą białą bluzkę. Sportowy styl jeszcze ją odmładzał, tym bardziej że ściągnęła włosy w koński ogon.

– Cześć wam, przeszkadzam?

Palma wybiegł jej na spotkanie.

– Pani prokurator, co za miła niespodzianka! Proszę z nami usiąść, zaraz coś zamówimy.

– Nie, dziękuję, już jadłam. Może tylko kieliszek wina.

Letizia jakby wyposażona w podsłuch natychmiast zjawiła się w salce. Obie kobiety stanęły naprzeciwko siebie. Wysoka pulchna restauratorka i drobna zaczepna prokurator. Tylko Ottavia wyczuła momentalne napięcie w uśmiechu, który wymieniły. Widziały się po raz pierwszy, ale sporo słyszały o sobie nawzajem od Lojacono.

Letizia zwróciła się do nowo przybyłej oficjalnym tonem:

– Czym mogę pani służyć?

– Niczym, dziękuję, zaraz wychodzę. – Odwróciła się w stronę grupy. –

Wpadłam, żeby wam powiedzieć, że po południu odbyło się zebranie na najwyższym szczeblu przedstawicieli komendy, władz miejskich i prokuratury. W świetle ostatnich wydarzeń postanowiono, że komisariat w Pizzofalcone pozostaje, a jego obecna obsada staje się tym samym stałą kadrą. Palma, dostanie pan za parę dni pismo w tej sprawie. Mam nadzieję, że jesteście zadowoleni.

Rozległy się oklaski, aż ludzie z sąsiedniego pomieszczenia zajrzeli z ciekawości.

Wieczór wreszcie dobiegł końca, wszyscy się wesoło rozchodzili. Nie tworzyli paczki przyjaciół i trudno byłoby stwierdzić, czy kiedyś nimi zostaną. Ale stanowili niewątpliwie zgraną grupę. Już na zewnątrz Laura podeszła do Lojacono.

– Przyjechałam samochodem. Powiedz, masz ochotę, żebym cię podwiozła?

Letizia udawała, że z uwagą obsługuje stół ostatnich gości, ale starała się zrozumieć, o czym tamci dwoje rozmawiają. Inspektor pożegnał ją czułym całusem w policzek i bardzo się z tego ucieszyła, ale teraz, kiedy Letizia widziała go, jak rozmawia z tą mikruską o wielkich piersiach i szklistych oczach, ogarniał ją wielki niepokój.

Lojacono upewnił się, że koledzy i koleżanki sobie poszli. Wiedział, że zwłaszcza Aragona, gdyby zobaczył, że oddała się ze sławną, pożądaną, ale nietykalną prokuratorką Piras, zamęczyłby go potem obleśnymi docinkami. Przyjął propozycję i udał się w stronę jej samochodu, nieświadomie łamiąc serce Letizii. Widząc, że Lojacono i pani prokurator oddalają się razem, zdecydowała, że skoro wojna, to wojna, ona na pewno pierwsza nie ustąpi.

W czasie drogi nie wymienili zbyt dużo słów. Laura prowadziła pewnie i szybko, zatrzymywała się jednak na czerwonym świetle i respektowała zakazy, co dla Lojacono po trzech dniach jazdy z Aragoną stanowiło miłą odmianę. Za każdym razem, gdy zmieniała bieg, jej ręka muskała jego udo.

Co jakiś czas spoglądał na jej profil na tle poświaty latarni ulicznych. Wydawał jej się trochę egzotyczny, ale w jakiś sposób znany, jakby odnalazł ją, grzebiąc w dawno zapomnianej przeszłości.

Spojrzała na niego, odrywając wzrok od jezdni.

– Co jest? Czemu na mnie patrzysz?

Nic nie odpowiedział. Część jego osoby zadawała sobie pytanie, co się wydarzy, kiedy dotrą pod jego dom. Czy poprosi ją, żeby weszła razem z nim? Czy ona się zgodzi? Czy będą się całować? Z lekkim przerażeniem pomyślał też przez moment o kawalerskim bajzlu, jaki ma w mieszkaniu. Wszędzie wałające się brudne ubrania, w lodówce jakieś resztki jedzenia. Ale pocieszał się, że oprócz tego na pewno stoi tam jedna butelka białego wina.

Wreszcie dojechali, deszcz właśnie znowu się wzmagił.

– Odprowadzę cię do bramy, nie masz parasola – zaproponowała Laura, co na chwilę odsuwało jeszcze rozstrzygnięcie jego wewnętrznych rozterek.

Przebiegli szybko ulicę, ze śmiechem przeskakując kałuże. Weszli do bramy, wciąż się śmiejąc, i nie zauważyli ciemnej postaci przyczajonej w głębi.

Sylwetka wysunęła się o krok z cienia w stronę strefy oświetlonej przez jarzeniówkę.

Dziewczyna wpatrywała się skośnymi migdałowymi oczami w oczy Lojacono. Pociągnęła nosem, wreszcie się odezwała:

– Cześć, tatku.

Podziękowania

Niektóre historie mają wiele par oczu. Patrząc w nie, można dopiero zbudować te historie, a więc opowiedzieć. Oto do kogo należą oczy tej historii.

Ed McBain, niedościgniony model.

Anioły miasta: Fabiola Mancone, Valeria Moffa, Luigi Bonagura, Luigi Merolla, które tyle mi opowiedziały o jego dobrych i złych stronach.

Giulio Di Mizio, który opowiadał mi o śmierci.

Dino Falconio, mój brat, który opowiedział mi, jak wygląda życie i praca w kancelarii. I Anna Giulia – już ona sama wie, co i dlaczego.

Laura Pace i Annamaria Torroncelli, które opowiedziały mi o autyzmie.

Eliana i Chiara, które opowiedziały mi o miłości.

Mój Roberto, który opowiedział mi o cierpieniu.

Francesco Colombo, który zaufał moim słowom.

Severino Cesari, który dostrzegł moją historię pośród wielu innych.

Paolo Repetti, który uwierzył w nią i ją wspierał wbrew wszystkiemu.

Maria Paola Romeo, która niesie ją w świat.

Książka *Déjà Dead*, przy której się narodziła.

I wreszcie moje oczy, moje spotkanie i każde moje słowo dla mojej Paoli.